MALAJKAT:
ROZMOWA O MOBBINGU, STRACHU I UPOKORZENIACH W SZKOŁACH AKTORSKICH

ANDRIJANIĆ:
ISLAM TEŻ TRACI WYZNAWCÓW? ZASKAKUJĄCE DANE

CZARNECKI:
PREZYDENT DUDA MA SZANSĘ NA ONZ

SIECI

KOŁODZIEJSKI:
EPIDEMIA – W MAJU BĘDZIE LEPIEJ

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 14 (436) 2021
6–11 kwietnia 2021
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

WŁOSKIE LABORATORIUM

TEŻ POTWIERDZA TROTYL

MAREK PYZA I MARCIN WIKŁO O TYM, ŻE JEDNAK ZBLIŻAMY SIĘ DO PRAWDY O PRZYCZYNACH TRAGEDII NARODOWEJ Z KWIETNIA 2010 R. A GLENN JORGENSEN WSKAZUJE PIĘĆ DZIAŁAŃ KONIECZNYCH DO DOKOŃCZENIA BADANIA KATASTROFY

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

Zawsze w trendzie wzrostowym

Najstarszy magazyn ekonomiczny w Polsce

Portal pełen informacji i opinii o gospodarce

Pobierz aplikację na:

DOSTĘPNE W Google play

Dostępne w App Store

ODKRYWAJ W AppGallery

eprasa.pl 579f46c997

Demokracja umiera w ciemności

Próba wpłynięcia na opinię publiczną za pomocą spisku polityków, fabryki trolli, szerzenia kłamstw i dezinformacji, przy użyciu nieujawnianych źródeł finansowych, uchodzi dziś w świecie demokratycznym za zbrodnię niewybaczalną. Taki był mechanizm podejrzeń manipulacji amerykańską opinią publiczną w trakcie dwóch ostatnich wyborów prezydenckich. Powszechnie było to tam traktowane jako atak na demokrację, instytucje państwowe, prawa obywateli. Uruchomiono wszelkie możliwe narzędzia kontrolne – zrobili to i demokraci, i republikanie.

Nie ma powodów, by u nas podchodzić do tego inaczej. To, czego dowiadujemy się o powiązaniach fabryk kłamstwa i pogardy pod zbiorczą nazwą SokzBuraka, jest przerażające. Potwierdzają się w pełni wyniki dziennikarskich śledztw tygodnika „Sieci", głównie Marka Pyzy i Marcina Wikły, którzy twardo chodzili przez lata za tematem. Wykazali oni, że za tą siecią dezinformacji internetowej, kłamstw i oszczerstw stoi człowiek związany z Platformą Obywatelską – Mariusz Kozak-Zagozda. Teraz do tego obrazu TVP Info dołożyło kolejną cegiełkę, ujawniając korespondencję pomiędzy mecenasem Romanem Giertychem a Kozakiem-Zagozdą.

Zapis tych konwersacji zmusza do postawienia bardzo poważnych pytań.

Czy potężną siatkę dezinformacji finansowali mecenasi i politycy związani z częścią opozycji?

Czy kampania świadomie szerzonych kłamstw przesądziła o wyniku wyborów w Warszawie?

Czy oferowano takie usługi także innym środowiskom politycznym?

Czy Facebook dopuszczał do pompowania w ten sposób nielegalnych pieniędzy w kampanie wyborcze niektórych kandydatów? Czy standardy tego portalu pozwalają na długotrwałe i masowe szerzenie nienawiści wobec konserwatywnej strony życia publicznego?

Czy w tę fabrykę kłamstwa zaangażowane były także niektóre wielkie media komercyjne?

Czy teksty tam podrzucali prominentni publicyści i dziennikarze lewicowi?

Czy nagrodą dla twórców tej nielegalnej siatki były posady w samorządzie?

Na te pytania trzeba odpowiedzieć. Trzeba zablokować możliwość takich ataków na polską demokrację w przyszłości. Trzeba też skończyć z bezkarnym niszczeniem ludzi, zwłaszcza tych, którzy przeciwstawiają się dominującemu nurtowi życia medialnego i kulturalnego.

Dlatego wezwałem Sejm do utworzenia komisji śledczej w tej sprawie. Bo inaczej mechanizm znów zostanie użyty przed kolejnymi wyborami. Sytuacja jest wyjątkowa, poważna i niebezpieczna. Pojawiło się zagrożenie dla uczciwości życia publicznego.

Reakcje są zróżnicowane. Mój pomysł wsparła część dziennikarzy, jak redaktor Wojciech Reszczyński, i polityków, jak wieloletnia dziennikarka, dziś poseł PiS, Joanna Lichocka. „Zbadanie tego przez komisję sejmową tak, żeby opinia publiczna mogła bardzo dokładnie się przyjrzeć, zobaczyć ten mechanizm, byłoby uzdrawiające dla debaty publicznej" – powiedziała w rozmowie z portalem wPolityce.pl. Tak, sądzę, że tu jest istota sprawy, w pytaniu o mechanizm nakręcania mowy nienawiści. Sądzę, że to, czego się dowiedzieliśmy, jest zaledwie wycinkiem, a im głębiej zajrzymy, tym więcej trzewi jakiegoś brudnego systemu medialnego, ukrytego za oficjalnym parawanem, nam się odsłoni.

Komentarze przeciwników mojego pomysłu były zaskakująco przewidywalne. Przywoływali media, których nie lubią, które są wobec nich krytyczne, i mówili: „To też hejt". To są jednak sytuacje nieporównywalne. Bo nawet gdy jakaś redakcja kogoś skrzywdzi, nawet jak nakłamie albo się pomyli, mamy narzędzia obrony. Wiemy, kto za tym stoi, kto finansuje, możemy iść do sądu, protestować. Dzieło Kozaka-Zagozdy i wspierających go prawników, polityków oraz niektórych prywatnych koncernów medialnych, nie wiadomo przez kogo finansowane, ma inny charakter. Przypomina rosyjskie farmy trolli, jest anonimowym, masowym, zorganizowanym sianiem nienawiści i kłamstwa.

Jeżeli tak to zostawimy, agresorzy pójdą dalej. Jak wiadomo, demokracja umiera w ciemności.

Michał Karnowski

Autopromocja

SIECI

spis treści

44 *Platforma picu*
Stanisław Janecki

52 IPN, czyli element infrastruktury krytycznej państwa
Piotr Gontarczyk

55 Pięta achillesowa światowej gospodarki i polityki
Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 NOWY WSPANIAŁY LIDER
Krzysztof Feusette

9 WSZYSTKIE CHWYTY DOZWOLONE
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 FELIETONY
Jan Pietrzak, Dominik Zdort

13 SOK POLITYCZNY
Bronisław Wildstein

14 WALIZKA PROF. WOJCIECHA FAŁKOWSKIEGO
Michał Korsun

16 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

17 ZDROWIE POLKÓW RACJĄ STANU
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 FELIETON/POGAWĘDKA
Tomasz Łysiak, Jolanta Gajda-Zadworna

TEMAT TYGODNIA

20 RZYM POTWIERDZA: TO BYŁ TROTYL!
Marek Pyza, Marcin Wikło

24 JAK DOKOŃCZYĆ BADANIE SMOLEŃSKA?
Glenn Jorgensen

KRAJ

34 KIEDY TO SIĘ SKOŃCZY?
Konrad Kołodziejski

37 PAŃSTWO NIE SPROSTAŁO...
Jan Rokita

40 Z RYSZARDEM CZARNECKIM
rozmawia Michał Karnowski

44 PLATFORMA PICU
Stanisław Janecki

47 Z WOJCIECHEM MALAJKATEM
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

OPINIE

50 CIERPIENIA MASHY GESSEN
Jakub Augustyn Maciejewski

52 IPN, CZYLI ELEMENT INFRASTRUKTURY KRYTYCZNEJ PAŃSTWA
Piotr Gontarczyk

ŚWIAT

55 PIĘTA ACHILLESOWA ŚWIATOWEJ GOSPODARKI I POLITYKI
Marek Budzisz

58 ISLAM W ODWROCIE?
Goran Andrijanić

SIECI KULTURY

61 NA STRONĘ KINA PRZECIĄGNĄŁ JĄ BOND
Jolanta Gajda-Zadworna

63 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

64 NIEDZIELA MIŁOSIERDZIA
Robert Tekieli

65 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

66 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

68 Z ZOFIĄ PARYŁĄ
rozmawia Maciej Wośko

KUCHNIA

74 MOJE SMAKI: ANNA WINNA
Jolanta Gajda-Zadworna

75 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

76 WYPŁUKIWANIE MEDIALNEGO ZŁOTA
Hanna Karp

78 ODZNACZENIE
Alina Czerniakowska

80 FELIETONY
Lech Makowiecki, Piotr Cywiński

81 WIELKANOC W GÓRACH
Leszek Długosz

98 SOK W... GŁOWIE
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl 579f46c997

Na zawsze w pamięci Polaków

Prezydent Lech Kaczyński z małżonką Marią Kaczyńską zginęli 10 kwietnia 2010 r. w katastrofie smoleńskiej wraz z całą polską delegacją, udającą się na państwowe uroczystości upamiętnienia ofiar zbrodni katyńskiej.

Fot. Jacek Turczyk / PAP

eprasa.pl 579f46c997

Sygnalista nadaje

„Czy tę sprawę też skręcą?" – pytał w połowie 2019 r. tygodnik „Sieci", opisując sprawę pijackiego rajdu Kamila Durczoka. Sąd skazał byłą gwiazdę TVN na rok więzienia w zawieszeniu na dwa lata, zakazał prowadzenia pojazdów przez pięć lat i nakazał wpłatę 30 tys. zł na Fundusz Sprawiedliwości. Nasza intuicja nie zawiodła. Jednak skręcili.

Jan Śpiewak, który w sądach nie ma lekko, wyrok skomentował następująco: „Sąd okazuje się bardzo wyrozumiały dla człowieka, który pijany i naćpany stworzył ogromne zagrożenie dla życia innych ludzi. (...) Mamy coraz bardziej autorytarne sądy, które atakują wolność słowa, broniąc bogatych i znanych, jednocześnie odwracając wzrok od ich występków". Cóż, ktoś musi powiedzieć społeczeństwu, że przesadziło z tymi marzeniami o demokracji, równości i sprawiedliwości.

I żeby było jasne: być może Kamil Durczok rzeczywiście nie powinien iść do więzienia, może naprawdę głęboko żałuje tego, co się stało. Ale w takim razie kara powinna być realnie dotkliwa dla sprawcy poważnego przecież zagrożenia. W tym przypadku tak nie jest. To jest żart.

Gdy pięć lat temu hejterska strona SokzBuraka całkowicie fałszywie zarzuciła Małgorzacie Wassermann, że posłanka dokonała w przeszłości aborcji, Roman Giertych wsparł ją w mediach społecznościowych, pisząc: „Ja na miejscu p. Poseł nie odpuściłbym takim draniom. 50 tys. plus przeprosiny". Niedługo później mecenas doradzał osobom prowadzącym stronę, w jaki sposób uniknąć odpowiedzialności za szkalowanie niewinnych ludzi – czego dowiodły ujawnione przez TVP zapisy rozmów. To już chyba jest nietzscheizm.

Małgorzata Wassermann tak skomentowała na łamach portalu wPolityce.pl całą sytuację: „Roman Giertych pokazał twarz potwora. Zaczął od skakania na demonstracjach, by następnie uczestniczyć w szkalowaniu innych osób. Jednocześnie wciąż odnosi się on do wiary i do religii. To jest coś obrzydliwego". Nic dodać, nic ująć.

Zdaniem ministra edukacji i nauki Przemysława Czarnka ***Roman Giertych*** powinien być usunięty z listy adwokatów i nie wykonywać tego zawodu, ponieważ „pomagał w procederze hejtowania". Rada Adwokacka rzeczywiście zabrała głos, ale... w obronie Giertycha, sprzeciwiając się „praktykom naruszającym fundamentalny charakter tajemnicy adwokackiej". Naruszenia innych fundamentów nie dostrzeżono.

Sprawa SokuzBuraka zirytowała Platformę. Szef klubu KO Cezary Tomczyk uznał, że to wszystko wina TVP. „Telewizja państwowa z telewizją publiczną ma niewiele wspólnego, więcej wspólnego ma pewnie z domem publicznym" – atakował, i trudno się dziwić tej frustracji. Dotykamy bowiem czegoś więcej niż hejterskiej strony; to cały system medialno-polityczny, za pomocą którego testowano w Polsce putinowskie metody manipulowania

Kinga Rusin wciąż walczy: „TVPis nie może pogodzić się z tym, że piąty miesiąc mieszkam i pracuję na Malediwach, ale nie odpuszczam patologicznej polskiej władzy. I żadna odległość i żadne okoliczności przyrody, ani żadne próby chamskiego dyskredytowania mnie tego nie zmienią!". Nie szkoda życia na tak jałowe, mocno niezdrowe zajęcie? PS Prosimy szanować miejscowych, bo w Polsce ich nie szanowaliście i straciliście władzę.

eprasa.pl 579f46c997

opinią publiczną. Metody, przy których dom publiczny to oaza standardów.

Jeśli już o standardach mowa. Gdański radny klubu „Wszystko dla Gdańska" Andrzej Stelmasiewicz tak oto skomentował chorobę Piotra Semki, który walczy o zdrowie i życie: „To niechrześcijańskie, ale trudno mi współczuć temu panu". To nie tylko niechrześcijańskie, ale także po prostu nieludzkie. I głupie, bo Piotr Semka dla Gdańska i dla Polski zrobił sto razy więcej niż radny Stelmasiewicz.

A tzw. Strajk Kobiet posuwa się coraz dalej w celebrowaniu przemocy. Zdjęcie obrzuconego petardami kościoła w Warszawie opatrzono takim oto opisem: „Tak na dobrą noc. [Hasło] »Ordo Iuris wypierdalać« zawisło dzisiaj na kościele Zbawiciela w Warszawie. Jest duch w narodzie". W narodzie duch jest, ale naród świątyń nie atakuje. Naród świątyń broni.

Posłanka ***Joanna Senyszyn*** nie oparła się pokusie i zaatakowała uchwałę upamiętniającą ks. Franciszka Blachnickiego w 100. rocznicę urodzin. „Klub Lewicy jest przeciwny bałwochwalczemu upamiętnianiu kolejnego przedstawiciela kleru, tym razem pod pretekstem setnej rocznicy jego urodzin". W sumie nie można się dziwić: ten kapłan dołożył sporą cegiełkę do obalenia komuny. W III RP komuniści dobrze się urządzili, ale swojej klęski politycznej przeboleć wciąż nie mogą.

W swoim wystąpieniu Senyszyn mówiła także o „coraz większej bezczelności i panoszeniu się Kościoła katolickiego w Polsce": „Nawet teraz, w czasie pandemii, episkopat nie współpracuje z rządem, nie godzi się na zamknięcie kościołów, żąda dla siebie szczególnych przywilejów kosztem życia i zdrowia Polaków" – grzmiała. Trudno o większe zakłamanie. To Kościół jest dziś w Polsce ofiarą. A gdy minie pandemia, okaże się, że proporcjonalnie straty wśród księży są wyższe niż w społeczeństwie. Bo oni naprawdę służą innym.

Czasem padną słowa kontrowersyjne. Ks. prof. Tadeusz Guz tak oto wypowiedział się na temat obostrzeń związanych z pandemią: „Zakazami, do których państwo nie ma prawa, kompletnie się nie przejmujcie. Róbcie to, do czego was Bóg powołuje. A jak was zapytają jakieś służby, dlaczego pracujecie, skoro jest zakaz, to powiedźcie, że »my pracujemy dla Boga, a nie dla diabła jak wy«. Trzeba od razu się powołać i od razu użyć najmocniejszego argumentu, »my jesteśmy na Ziemi, aby pełnić wolę bożą. Jak wy pełnicie wolę diabła, to pełnijcie, to pogrążycie siebie w piekle i państwo polskie w piekle«". No tak też nie można. To droga donikąd.

Hołownia – jak zwykle w biskupim stylu – naucza, że trzeba twardo: „Nie można wychodzić i uprzejmie zwracać się razem z biskupem Mizińskim do proboszczów i księży, żeby byli tak łaskawi i przestrzegali prawa, tylko trzeba potraktować Kościół jako budynek. (...) Bóg po to dał nam rozum, prawa fizyki i znajomość praw biologii, żebyśmy wyciągali wnioski, a te prawa są jasne – kościół to też budynek i wirus tam też może transmitować". Jak to mawiał Armand Jean Richelieu: „Boże, strzeż mnie od przyjaciół, z wrogami poradzę sobie sam".

Wspomniana Lewica rozpędza się coraz bardziej. Na kanwie odznaczenia Lewandowskiego przez prezydenta Dudę głos zabrała aktywistka Maja Staśko, która wypomniała piłkarzowi drogi zegarek: „Czyli Polska to taki kraj, gdzie mało kogo oburza, że milioner nosi zegarek wartości mieszkania, gdy kobiety muszą mieszkać ze swoimi oprawcami, bo nie mają gdzie się wyprowadzić. Oburza za to »zaglądanie do kieszeni«. Prawa kieszeni ponad prawami człowieka". Może Polaków to nie oburza, bo wiedzą, czym się kończy próba dzielenia wszystkiego absolutnie po równo?

Przed meczem z Anglią pojawiło się pytanie, czy na Wembley polscy piłkarze powinni klęknąć tamtejszym zwyczajem, oddając hołd czarnoskórym ofiarom wszelkiej niesprawiedliwości. „Jaką to winę mamy na sobie wobec ludzi o innym kolorze skóry? Czy to nam czarnoskórzy niewolnicy przywożeni w nieludzkich warunkach pod pokładami statków wybudowali imperium?" – pytał na portalu wPolityce.pl prof. Aleksander Nalaskowski. Ostatecznie nasi nie klęknęli. Słusznie. Klękamy tylko przed Bogiem i jeszcze przed żoną.

Marszałek Senatu ***Tomasz Grodzki*** odradza PiS wchodzenie w alianse z Salvinim i Orbánem: „Ich sympatie prorosyjskie są ewidentne, jeśli pan premier chce z tymi dwoma panami tworzyć frakcję prorosyjską w Parlamencie Europejskim, to radziłbym, aby się dwa razy zastanowił, to może nas wpędzić w gigantyczne kłopoty w relacjach z naszymi sojusznikami". Ciekawa opinia, biorąc pod uwagę, że PO i PSL są w jednej frakcji z niemieckimi chadekami – dzielnymi budowniczymi gazociągów Nord Stream, którymi w jedną stroną płynie gaz, a w drugą pieniądze na rosyjskie zbrojenia.

Fot. Mateusz Zelnik, Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk, M. Czutko

eprasa.pl 579f46c997

Nowy wspaniały lider

KRZYSZTOF FEUSETTE

Sprawa jest prosta: najpierw przemiana, potem odmiana, reasumując: zmiana, nie zamiana. Bo nie zmienia się lidera podczas ciężkiej przeprawy. A na końcu potrójne salto mortadela zakończone telemarkiem i to mimo niepomyślnych, za przeproszeniem, wiatrów. Tak to będzie leciało.

Ależ ja się zmieniłem. Te ciućmoki od Schetyny grzeją czoła, żeby coś wymyślić, a ja w tym czasie wyprzedzam epokę. Chcieliście zaszufladkować budkę, to szufladka zabudkuje... zabudkafluje... to brudszafka... Dobra, to nie jest śmieszne, a tu powinien być dowcip. To i tak jest nie do uwierzenia, że ja, po Kidawie, jeszcze stoję na nogach. I – szczerze – naprawdę się czeszę... Kurde, nie „czeszę", tylko „cieszę"! Jak powiem, że się czeszę, to całe orędzie szlag trafi. Więc może tak: jestem rad, i to wielce, że udzieliłem słynnego już wywiadu „Gazecie Wyborczej", gdyż w moim prywatnym rankingu pozostaje on jednym z najważniejszych wydarzeń w polskiej polityce od „okrągłego stołu", albo i dalej. Z otwartą przyłbicą rzuciłem na stół odkryte karty. I to nie są jakieś tam walety czy damy albo nie damy, ale karty wyborcze. Nie będę, oczywiście, tłumaczył, „co poeta miał na myśli tym wywiadem", bo mężowie stanu tak nie robą, ale zwracam państwu uwagę na fragment, w którym ujawniłem tematykę moich rozmów z najbliższym otoczeniem.

Otóż otrzymuję od moich współpracowników różne wyrazy, przede wszystkim wsparcia. I to oni, jak podkreślam w wywiadzie, zażądali wręcz, abym nareszcie zaczął podejmować decyzje. Początkowo myślałem, że Schetyna ich przysłał, bo widzę, jak nasz Gregory Pech nogami przebiera. A bardziej na minę mnie wpakować nie można. No, sorry, wyobrażacie sobie taką prowokację? To niby, że Tusk podejmował decyzje? I może Schetyna też? Nie róbcie z tata wariata. Ale oni, ci współpracownicy, odpowiadali mi na to: „Borys (bo »Borysław« to ja jestem tylko dla tego diadersa), przestań się konsultować, debatować i obwąchiwać z tematem. Bądź liderem!".

Kiedy to powiedziałem ludziom z „Wyborczej", patrzyli dziwnie. Ale mnie to tylko utwardziło w wewnętrznym przekonaniu, że jednak nie pozwolę sobą pomiatać. Posiadam mandat demokratycznych wyborów przewodniczącego partii i ani kroku w tył. A potem się okazało, że to działa! Weźmy choćby jedną z pereł rzuconych przeze mnie przed niewdzięczny elektorat, np. tę, że całym tym „ruchem Rafała" to myśmy wszystkich „wyrafalali". I gdzie jest moja osoba? Na szczytach cytowań! A czy to moja wina, że złotemu chłopcu Platformy wystarczyło energii na trzy miesiące, a potem to już było po Czajce? Kidawa bredzi, wina Budki. Nowak siedzi, wina Budki. Co wy chcecie ze mnie Tuska zrobić?

Podsumowując: od dziś żadnych konsultacji. Demokracja nie zdaje egzaminu od dobrych kilku lat, a czas leci, jak notowania w sondażach. I dlatego właśnie w ramach nowych uprawnień nadanych mojej osobie na mocy Pierwszego Samodzielnego Dekretu Przewodniczącego PO spieszę poinformować, iż oprócz likwidacji wszystkich i wszystkiego, z czym nie jest nam po drodze, czyli CBA, IPN, TK, TVP Info – zetniemy także odrastające głowy takim kierunkom studiów jak historia czy teologia. Bo czas zapytać głośno: po co nam historia? Czy możemy ją zmienić? Czy z faktu, że pierwszym królem był Mnieszko, to znaczy Mieszko... Pierwszy albo drugi, to są szczegóły... A nie, przepraszam – ale to też pokazuje, jak historia ogłupia – pierwszym był, oczywiście, Bolesław Szczodry... To znaczy Drobny... Kuźwa, Sławek, jak podpowiadasz, to nie szeleść tymi kartkami, bo nic nie słyszę! Jaki?! Hardy? Jak Hardy Peter? Jaki „Pioter"? Mówiłeś, że Bolesław! Dobra, potem sprawdzimy. I smartfona sobie naładuj! Co zaś się tyczy teologii, to też jest beznadziejna. To już więcej sensu miałaby peologia, czyli nauka o dziejach naszej formacji. Ale bez historii, gdyż ta toczy się na naszych oczach. Moich, Sławka Nitrasa, Czarka Tomczyka czy Arkadiusza Myrchy.

Dobra, muszę odsapnąć, bo mi znowu spodnie spadną. Kurczę, fajnie jest od czasu do czasu trochę sobie podecydować. Zwłaszcza zdalnie. To są plusy pandemii – po pierwsze, nie będziemy musieli spotykać się za każdym razem, gdy lider opozycji będzie chciał zakomunikować coś ponadczasowego rodakom, a po drugie, spełnią się oczekiwania mojego najbliższego otoczenia. Zatem idąc za ciosem: urzędy skarbowe. One także, i to w trybie natychmiastowym, będą dopisane do listy obiektów przeznaczonych do likwidacji zaraz po osiągnięciu przez nas większości sejmowej. Powód jest jasny: ta nazwa Polakom kojarzy się źle. Trzeba te złe skojarzenia zmienić w dobre i stąd moja propozycja: CePePe. Centra Pomocy Podatnikom. Chodzi o to, żeby po naszym powrocie do władzy w każdym takim urzędzie lekarz mógł udzielić pierwszej pomocy, gdyby podatnik uznał, że jednak wcześniej było mu lepiej.

Podsumujmy: wielką budowę nowej Polski zaczniemy od zburzenia kilkunastu instytucji, mitu ruchu Rafała, wydziałów humanistycznych, szpitali tymczasowych... Zaraz, jak to „szpitali"?! Co za przygłup mi to przepisał ze starej kartki?! Wykreślić! Nie wiecie, co się dzieje?! Nie szpitale, tylko likwidację wykreślcie, patałachy! A co mnie obchodzi, co Szczerba z Jońskim mówili? To będą mówić odwrotnie. A jak nie potrafią, to niech zmienią partię. U nas trzeba umieć wszystko. Zwłaszcza odwrotnie. Jasne? Z kim ja muszę nie pracować!

A teraz oddaję głos przyszłej ministrze zdrowia, ale także szczęścia i pomyślności nas wszystkich. Chodź tu, Beata, nie wstydź się. No i czego płaczesz, głupia? Przecież ci mówiłem, że wrócimy.

eprasa.pl 579f46c997

Wszystkie chwyty dozwolone

Nie mieści mi się w głowie życzenie śmierci czy choroby komukolwiek w jakichkolwiek okolicznościach

Hejt, który wylał się w sieci w związku z informacjami o złym stanie zdrowie redaktora Piotra Semki, szokował i przytłaczał. I to nawet nie dlatego, że wygenerowała go strona niosąca ponoć kaganek postępu i tolerancji. Głównie dlatego, że życzenia śmierci w męczarniach słał człowiek człowiekowi.

Debata publiczna w Polsce jest ostra, zacięta. Różne strony dyskursu nie zgadzają się ze sobą niemal w niczym. I to nie szokuje. Można nie lubić rządu, polityków, dziennikarzy, siebie nawzajem, gdzie indziej widzieć interes publiczny, inaczej definiować patriotyzm, inaczej wyobrażać sobie przyszłość własnych dzieci, gospodarki, kraju. Takie są reguły demokracji. Jednak bycie bydlakiem w obliczu rzeczy ostatecznych, życzenie śmierci człowiekowi, który walczy o życie, wymyka się wszelkim kategoriom oceny i pojmowania. Nie można nawet mówić o zezwierzęceniu, bo żadne zwierzę nie zrobiłoby czegoś takiego.

Nigdy nie przyszłoby mi do głowy złorzeczyć komuś w takiej sytuacji. Generalnie nie mieści mi się w głowie życzenie śmierci lub choroby komukolwiek w jakichkolwiek okolicznościach. W chorobie, problemach wyciągnęłabym rękę do każdego, kto potrzebuje pomocy. Śmierć nie patrzy na poglądy, na cmentarzu nie widać barw partyjnych, tam nikt już nikt nie krzyczy: „Moja jest tylko racja i to święta racja. Bo nawet jak jest twoja, to moja jest mojsza niż twojsza. Że właśnie moja racja jest racja najmojsza!".

Zadaną przez partię matkę pracę domową nad niszczeniem wrażliwości w debacie publicznej, nad przekraczaniem kolejnych granic, sięganiem dna raz za razem, zabijaniem słowem wzorowo odrobił Janusz Palikot. Tak w wywiadzie rzece „Moi rodzice" mówiła o przemyśle pogardy Marta Kaczyńska:

„Kampania nienawiści, złośliwości i oszczerstw, która ruszyła krótko po zaprzysiężeniu, była dla mnie sporym zaskoczeniem. Ojciec zaczął być systematycznie niszczony. W styczniu przed katastrofą Janusz Palikot przyznał: »Trwale uszkodziliśmy liderów PiS-u i całą formację, która jest już niezdolna do zwycięstwa. Nikogo już nie uwiodą, bo są fundamentalnie ośmieszeni«. Chodziło o całkowite odarcie mojego ojca z godności, żeby w ten sposób osłabić jego szanse na reelekcję czy też może szerzej: szanse na istnienie w polskiej polityce. Platforma Obywatelska wyznaczyła Januszowi Palikotowi specjalną rolę polegającą na niszczeniu Lecha Kaczyńskiego. Do Palikota dołączył jeszcze Stefan Niesiołowski. Popularność Palikota »rozkwitła« w czasie, gdy najbardziej atakował i szydził z mojego ojca i jego brata. Polityk znany z wcześniejszych niekonwencjonalnych zachowań (w tym z gadżetów przynoszonych na konferencję prasową) idealnie pasował do roli błazna i nie odgrywał jej przypadkowo – trudno się bowiem oprzeć wrażeniu, że była to strategia Platformy Obywatelskiej".

W ostatnich latach pałeczkę Janusza Palikota przejęli Mariusza Kozak-Zagozda i hejterski Sok z Buraka, z tym że przemysł pogardy się uzawodowił, a sam Kozak-Zagozda w przeciwieństwie do Palikota długo był anonimowy. Poza tym w Soku wszystkie chwyty są dozwolone: kłamstwo, manipulacja, nienawiść, odzieranie z godności, szydzenie, wyśmiewanie. I, podobnie jak w przypadku Palikota, zleceniodawca się zgadza, czyli jest nim zwalczająca mowę nienawiści partia miłości.

W tym miejscu warto przypomnieć szczyptę badań naukowych. Chętnie wracam do raportu Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW, z którego wynika, że postawy zwolenników partii opozycyjnych wobec zwolenników PiS są bardziej negatywne niż postawy zwolenników PiS wobec sympatyków opozycji. Z raportu wynika też, że niechęć do oponentów przybiera po stronie zwolenników partii opozycyjnych formę dehumanizowania ich, czyli „odmawiania przedstawicielom grup obcych cech ludzkich. Jak pokazują badania psychologów społecznych, odczłowieczanie innych pociąga za sobą szereg konsekwencji, takich jak dążenie do izolacji dehumanizowanych grup czy agresja wobec nich. Jednym z rodzajów dehumanizacji jest dehumanizacja animalistyczna, polegająca na porównywaniu członków grup obcych do zwierząt".

To dzięki działalności Palikota i Soku z Buraka doszliśmy do tego, że artyści chętnie rozprawiają o pisowskich ryjach, otumanionej zakale świata, a ludziom nie zadrży ręka, gdy piszą oczywiście anonimowo: „Zdychaj, grubasie".

Dorota Łosiewicz

Fot. AP Photo/Evgeniy Sofrychuk

Przypadki chodzą po ludziach

Rosja

Szpital w Omsku (na zdj.) prześladuje dziwna epidemia zgonów. W lutym w wieku 55 lat zmarł nagle zastępca ordynatora tamtejszego oddziału ratunkowego Siergiej Maksymiszyn, a w minionym tygodniu szef oddziału traumatologii i ortopedii, 63-letni Rustam Agiszew. Oficjalnie w obu przypadkach mamy do czynienia ze zgonami z powodów naturalnych. Pierwszy lekarz zmarł na zawał serca, drugi na udar. I być może tak jest, jednak wątpliwości budzi to, że obaj pracowali w szpitalu, w którym leczono z zatrucia Aleksieja Nawalnego.

Tym bardziej że Nawalnego udało się uratować wyłącznie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Przede wszystkim dlatego, że pilot samolotu, którym wracał do Moskwy rosyjski opozycjonista, zdecydował się na lądowanie w Omsku. Gdyby choć przez kilkanaście minut dłużej pozostał w powietrzu, Nawalny zmarłby na pokładzie. Drugą szczęśliwą okolicznością było to, że lekarze z oddziału ratunkowego, którym kierował Maksymiszyn, od razu się zorientowali, że opozycjonista może być ofiarą otrucia i podali mu środki spowalniające działanie toksyn.

Podróżujący z Nawalnym jego współpracownicy relacjonowali, że w omskim szpitalu natychmiast pojawili się funkcjonariusze służb specjalnych próbujący zatrzeć ślady zamachu. Jednym z elementów tej fałszywej narracji było utrzymywanie przez pierwsze dni, że przyczyną problemów Nawalnego jest niedobór cukru lub „problemy metaboliczne". Tę ostatnią wersję lansował naczelny lekarz szpitala w Omsku, który niedługo potem został regionalnym ministrem zdrowia. Jego zastępca, który w pierwszych godzinach nadzorował leczenie Nawalnego, wkrótce potem zwolnił się ze szpitala i zaczął pracę w prywatnej klinice, bo – jak donoszą lokalne media – „bardziej lubi chirurgię niż administrowanie". Z kolei Maksymiszyn i Agiszew nagle zmarli. Sporo tu dziwnych przypadków.

Cała sprawa przypomina ciągle niewyjaśnioną serię zamachów bombowych w Rosji w 1999 r., które otworzyły Putinowi drogę do władzy. Również wówczas niemal wszyscy, którzy byli świadkami wydarzeń lub zadawali niewygodne pytania, dość szybko rozstawali się z życiem.

Marek Budzisz

Oddawanie pola

Szwecja

Po raz kolejny wizja Michela Houellebecqa z „Uległości" ma odbicie w rzeczywistości. Jeden z czołowych szwedzkich teologów bowiem stwierdził, że Mahomet powinien zostać uznany za jednego z proroków chrześcijaństwa. To stanowisko wpisuje się w modny w Szwecji trend ustępowania przez chrześcijan miejsca wyznawcom islamu.

Teolog i religioznawca Jakob Wirén wysnuł tezę o Mahomecie jako proroku chrześcijaństwa w swojej książce „Czy zrobić miejsce dla drugiego?". Napisał tam, że chrześcijanie powinni traktować Mahometa tak jak proroków ze Starego Testamentu. Odpowiedział mu chrześcijański autor Fredrik Wenell, który zwrócił uwagę w magazynie „Dagen", że taki postulat jest sprzeczny z chrześcijaństwem. „Czego takiego brakuje we wcieleniu, życiu i odkupieniu Jezusa na krzyżu oraz w Jego zmartwychwstaniu, że musi to zostać wypełnione przez Mahometa? Niczego" – napisał. Tyle że poglądy Wiréna trafiają na podatny grunt. Postępowi teologowie w Szwecji przyklaskują jego opiniom o antysemickich cechach liturgii. „Argument o Mahomecie jako proroku jest oznaką zerwania z destrukcyjnymi uczonymi teologami. To budzi nadzieję i wyzwala odwagę" – zachwycał się były prymas szwedzkiego kościoła państwowego i arcybiskup Uppsali Karl Gustav Hammar.

Takie opinie duchownego nie powinny zaskakiwać w kraju, w którym chrześcijanie coraz bardziej ulegają muzułmanom. Gdy w 2018 r. wyznawcy islamu z miasta Växjö otrzymali zgodę władz na emitowanie z minaretu nawoływań do piątkowej modlitwy, poparł ich biskup miasta Fredrik Modeus. Wówczas wybuchła dyskusja, czy trwające 3 minuty i 45 sekund głośne nawoływania utrudniają, czy też pomagają w asymilacji muzułmanów. Chrześcijanie popierający prawo do głośnych minaretów przekonywali, że skoro kościoły mają prawo do bicia w dzwony, to taka sama wolność powinna dotyczyć meczetów. Przeciwnicy zaś podkreślali, że należy dbać o prawa tych, którzy nie życzą sobie głośnych religijnych proklamacji.

W 2015 r., czyli w szczycie debaty o problemach z napływającą do Europy falą imigrantów, biskup Sztokholmu Eva Brunne (pierwsza lesbijka wyświęcona na biskupa) postulowała usuwanie chrześcijańskich symboli z przestrzeni publicznej i otwierania kościołów dla muzułmanów, aby mogli się w nich modlić. Brunne wsławiła się też stwierdzeniem, że ma więcej wspólnego z muzułmanami niż prawicowymi chrześcijanami, bo w jej przekonaniu mają oni na sumieniu wyprawy krzyżowe oraz palenie czarownic.

Badania Pew Forum z 2018 r. szacowały populację muzułmanów w Szwecji na 8–9 proc. mieszkańców kraju. W 2050 r. ma stanowić ona ponad 30 proc.

Łukasz Adamski

eprasa.pl 579f46c997

François Mitterrand utrzymywał osobiste, silne i bezpośrednie relacje z rwandyjskim przywódcą Juvénalem Habyarimaną

Francja

Uwikłani w masakrę

Nie było współudziału, ale była „poważna i przytłaczająca odpowiedzialność" Francji za ludobójstwo Tutsi w 1994 r. Taka jest konkluzja raportu specjalnej komisji pod kierownictwem historyka Vincenta Duclerta na temat roli, jaką Paryż odegrał w Rwandzie w latach 1990–1994. Dokument został przekazany prezydentowi Francji Emmanuelowi Macronowi, na którego zlecenie powstał.

Historycy wskazują w nim na osobistą odpowiedzialność prezydenta François Mitterranda za zbliżenie z „rasistowskim, skorumpowanym i brutalnym" reżimem Hutu rządzącym Rwandą do 1994 r. „Francuski prezydent utrzymywał osobiste, silne i bezpośrednie relacje z ówczesnym rwandyjskim przywódcą – Juvénalem Habyarimaną" – głosi raport. Według ONZ od kwietnia do lipca 1994 r. w Rwandzie zginęło co najmniej 800 tys. osób. Wcześniej, w latach 1990–1993 w Rwandzie trwała wojna domowa między wspieranymi przez Francję siłami rządowymi a rebeliantami Tutsi z Rwandyjskiego Frontu Patriotycznego (RPF). „Związki Francji z Rwandą doprowadziły do dostarczenia reżimowi dużych ilości broni i amunicji, a francuskie siły zbrojne były bardzo zaangażowane w szkolenie armii rwandyjskiej" – zaznacza dokument.

Rola Francji podczas ludobójstwa obciąża jej obecne stosunki z Rwandą, której prezydentem od 2000 r. jest lider RPF Paul Kagame. Jednak politycy, którzy byli w latach 1990–1994 odpowiedzialni za politykę w Afryce, mają inne zdanie. Jak powiedział ówczesny sekretarz generalny Pałacu Elizejskiego Hubert Védrine, Francja pomagała rządowi Hutu, bo był atakowany z sąsiedniej Ugandy. Według niego Francja była „jedynym krajem, którego sytuacja w Rwandzie w ogóle interesowała. Może byliśmy nieco naiwni, ale Amerykanów to w ogóle nie obchodziło" – zaznaczył były sekretarz.

Za sporem o ocenę francuskiego zaangażowania w Rwandzie kryje się szerszy problem. Francja nadal żyje cieniem swojej kolonialnej glorii i jest przywiązana do idei Afryki jako strefy swoich specjalnych interesów. Za politykę afrykańską nie odpowiada francuski MSZ, lecz prezydent, a w Pałacu Elizejskim działa specjalna komórka afrykańska. Te neokolonialne stosunki między Paryżem a Afryką są nazywane „Françafrique". Jest to osobliwa sieć zależności opierająca się na klientelizmie oraz wyzysku gospodarczym. Nierzadko jest też związana z francuską obecnością militarną, jak obecnie w Mali.

Francja szczególnie mocno angażowała się w ochronę swoich interesów gospodarczych w Afryce właśnie za epoki Mitterranda. Wówczas wybuchła tzw. afera Elf, wokół koncernu naftowego Elf-Aquitaine, który miał za pomocą łapówek wpływać na politykę Gabonu oraz Republiki Konga, aby pozbyć się amerykańskiej konkurencji. Do dziś francuskie koncerny (Total, Areva, Bouygues, Bolloré) mają uprzywilejowaną pozycję w dawnych koloniach. Niewiele się więc zmieniło.

Aleksandra Rybińska

Fot. PIERRE GUILLAUD/AFP

Tadżykistan

Kult jednostki w rozkwicie

Po upadku komunizmu rekordzistą w dzierżeniu władzy na obszarze postsowieckim jest bez wątpienia Emomali Rahmon, który rządzi twardą ręką w Tadżykistanie nieprzerwanie od roku 1992. W marcu w Duszanbe otwarto muzeum poświęcone jego osobie. Znajduje się ono na terenie Uniwersytetu Narodowego, gdzie studiował on w latach 1977–1982. Na ekspozycji zgromadzono ok. 1,2 tys. przedmiotów związanych z życiem obecnego prezydenta.

Do muzeum nie mają wstępu zwykli obywatele. Nawet studenci mogą je zwiedzać tylko po wcześniejszej rezerwacji i w specjalnie wyznaczonych dniach. Na prezentację placówki z okazji obchodzonego 11 marca Dnia Dziennikarstwa Tadżyckiego dopuszczono zaledwie kilku pracowników państwowych mediów. Jeden z nich dzielił się później swoimi wrażeniami: „Jednym z najważniejszych momentów był dla nas ten, gdy zobaczyliśmy pisma prezydenta z jego autografem, kiedy był jeszcze studentem – to była emocjonująca chwila".

Prezydent niegdyś nazywał się Emomali Szarifowicz Rahmonow i był członkiem Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Tadżyckiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Od 2017 r. nosi oficjalny tytuł „Twórcy Pokoju i Jedności Narodowej – Przywódcy Narodu". Zgodnie z prawem tytuł ten nie może być ani skracany, ani streszczany pod groźbą surowych kar.

W Tadżykistanie panuje dyktatura i kult jednostki. Żaden zachodni przywódca nie upomina się jednak o demokrację i prawa człowieka w tym kraju. Powód jest prosty: Rahmon rozprawił się z opozycyjnymi ruchami dżihadystów, wspieranymi m.in. przez Al-Kaidę i talibów z sąsiedniego Afganistanu. Dzięki temu zyskał wdzięczność zarówno Amerykanów, jak i Rosjan, którym zależy na spokoju w Azji Środkowej i na spacyfikowaniu islamistów w regionie. W ten sposób postkomunistyczny przywódca dostał od dwóch mocarstw wolną rękę na autorytarne i dożywotnie rządy. W 2016 r. zniesiono bowiem limit kadencji prezydenckich. Rahmon wygrał wybory już pięć razy. W szóstych zapewne też będzie jedynym faworytem.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 579f46c997

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Marsjanie i orzechy

Jan Pietrzak

Kontenerowiec zablokował Kanał Sueski, co jest wydarzeniem symbolicznym w czasie, gdy koronawirus zablokował życie społeczne i gospodarcze. Robi wrażenie ogrom nieszczęść w naszej globalnej wiosce. W tym samym okresie Ziemianie wysłali na Marsa łazika, który już łazi w poszukiwaniu możliwości osadnictwa dla ofiar ziemskich kataklizmów, takich jak Stuhrowie, Janda, Nurowska, Rusin... Mam nadzieję, że nie zawloką tam covida.

W jakimś stopniu czuję się związany z marsjańską wyprawą. W 1971 r. dostałem główną nagrodę na festiwalu w Opolu za pieśń „Marsjanie nie zagrażają Ziemi, Ziemi zagraża człowiek", od następnego dnia przez dziesiątki lat zakazaną, jak większość mojej twórczości. W każdym razie wskazałem kierunek myślenia, który po półwieczu dotarł do Grety Thunberg, ONZ i Komisji Europejskiej. (Uwaga: to był żart. Wyjaśniam, ponieważ zrozumienie ironii sprawia kłopot czytelnikom, kształconym przez reformatorów oświaty typu Hall czy Szumilas).

Mam świadomość, że sprawiam kłopoty różnym osobom. Np. konferansjer telewizyjny Orzech ogłosił: „Nie pozwolę sobie moją twarzą popierać pana Pietrzaka". Zaskakujące oświadczenie. Nie miałem pojęcia, jak silne emocje wywołuję, nie występując prawie w telewizji. Do głowy mi nie przyszło, że Orzech pozwoli sobie popierać mnie swoją twarzą. Zaproponowano mi udział w programie „Szansa na sukces". Termin zaklepałem i tyle, nie mając nawet świadomości, kto prowadzi, zaaferowany nadciągającą szczepionką. Parę dni przed rejestracją przeczytałem w internecie, że Orzech wpadł w szał. Dlaczego z mojego powodu? Ja z jego twarzą nie miałem nic wspólnego.

Nie bardzo orientuję się w obecnych teleukładach. Nie wiem, jaka intryga kryje się za tą awanturką. Może oni tam, u Kurskiego, miłośnika telewizji roztańczonej, planują wystawienie baletu Piotra Czajkowskiego „Dziadek do orzechów" i cały ten zgiełk jest wstępną promocją? Wiadomo powszechnie, że ja świetnie tańczę, co do Orzecha są wątpliwości, bo tańczy się nogami, a on poza twarzą nie ma nic.

Widzą państwo, jak to z felietonami bywa. Z wyżyn ambitnej problematyki kosmicznej spada się na ziemię, zaśmieconą łupinami od orzechów.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Pomnik, który wiele mówi

Dominik Zdort

Tę sprawę należy opisać sine ira et studio. I wyciągnąć wnioski. Otóż w Czechowicach-Dziedzicach w roku 1953 (wtedy miasto nazywało się Czechowice) z inicjatywy lokalnego komitetu partii komunistycznej (zwanej dla niepoznaki PZPR) odsłonięto monument poświęcony 35. rocznicy powstania Armii Czerwonej. Napisano na nim: „Wspólnie przelana krew na polach bitew scementowała na zawsze polsko-radzieckie braterstwo broni". Pomnik autorstwa Stanisława Marcinowa, plastyka o rodowodzie przedwojennym, został stworzony w stylu klasycznym dla czasów stalinowskich: dwaj żołnierze, polski i sowiecki, stoją ramię w ramię, dzierżąc sztandar. Jaki – nie wiadomo, bo pomnik jest z granitu, więc koloru nie da się rozpoznać. Ale łatwo się domyślić.

W 2008 r. rondu, przy którym stoi monument, nadano imię Solidarności. Szczerze mówiąc, musiało być dość komicznie: pomnik Armii Czerwonej przy rondzie Solidarności. Stał tam i budził emocje. Choćby w grudniu roku 2018, gdy 79-letni były radny miejski wymalował cokół czerwoną farbą, domagając się usunięcia żołnierzy z centrum miasta. Jednak decyzję o przeniesieniu monumentu – kilkaset metrów dalej – podjęto dopiero teraz, ponad 30 lat po upadku komunizmu.

Zaprotestował przeciw temu dzielny poseł Lewicy Przemysław Koperski wraz z miejscowymi wielbicielami PRL i sowieckiego oręża. Nie zgadzają się na przestawienie monumentu, proponują tylko zmianę jego nazwy na „pomnik Poległym na Frontach II Wojny Światowej".

Co moim zdaniem jest pomysłem pociesznym. Szkoda, że jesienią 1989 r., gdy burzono pomnik Feliksa Dzierżyńskiego w Warszawie, nie wpadł na to Aleksander Kwaśniewski: wszak wystarczyło dać nową tabliczkę z napisem „pomnik Polskiego Lewicowca Walczącego za Wolność Naszą i Waszą".

Inicjatywy takie jak posła Koperskiego (rocznik 1974) są cenne, bo pokazują, jak głęboko polska lewica – choćby nie wiem, ile zmian pokoleniowych w niej zaszło, ile przyciągnęłaby partyjek typu Wiosna i Razem – jest zanurzona w totalitarnym dziedzictwie komunizmu i tradycji podległości Sowietom. Bardzo wiele mówi też oburzenie „Gazety Wyborczej" na plan przeniesienia pomnika. Zdaniem autorki tekstu monument „chyba nikomu w mieście nie kojarzy się z komunizmem". No proszę. Ciekawe, z czym się kojarzy?

Gdyby ktoś kiedyś szukał idealnego przykładu, jakich dziennikarzy hoduje pismo Adama Michnika, to voilà.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 579f46c997

BRONISŁAW WILDSTEIN

Sok polityczny

Fot. Andrzej Wiktor

TVP udowodniła, że jeden z bardziej odrażających wykwitów internetu w Polsce, SokzBuraka, szczujnia, która propagowała ostentacyjne kłamstwa oraz insynuacje, aby odczłowieczyć działaczy PiS, sponsorowana była przez PO, współpracowały z nią media opozycji i ich celebryci w rodzaju Tomasza Lisa, a jej „mózgiem" był znany adwokat Roman Giertych. Afera ta powinna wstrząsnąć naszą sceną polityczną i spowodować zasadnicze przewartościowanie, a... nie będzie miała żadnych konsekwencji. Na pewno w przewidywalnym czasie.

Pisząc to, w żadnym wypadku nie kwestionuję pracy dziennikarzy, którzy odkryli ją i nagłośnili. Być może z czasem informacje te zaczną procentować w świadomości obywateli i przełożą się na ich wybory. Nie znamy dalszych konsekwencji własnych poczynań i dlatego, tym bardziej, trzeba robić, co należy. Dlaczego jednak skandal, który powinien skompromitować nie tylko PO, lecz w ogóle strategię polityczną, która sprowadza się do coraz dalej idącego antypisizmu, nie przyniesie chwilowo żadnych konsekwencji? Ano dlatego, że przynajmniej czas jakiś przynosiła wymierne korzyści i zasadniczo odkształciła polską scenę polityczną.

Lipiec 2007 r. W TVP debata między liderami dwóch obozów politycznych: szefem PO Donaldem Tuskiem a urzędującym premierem Jarosławem Kaczyńskim. Dobrze zorganizowana publiczność Tuska zachowuje się jak w trakcie meczu, przeszkadza jego rywalowi, przerywa wypowiedzi, śmieje się w ich trakcie, zbija go z tropu. Publiczność ze strony PiS ogranicza się do oklaskiwania lidera. W efekcie Kaczyński przegrywa pojedynek. Prawdopodobnie przegrywa wtedy wybory. Oto zbliżenie metody, którą od porażki w 2005 r. przy wsparciu establishmentu III RP stosuje opozycja, a raczej to ten pierwszy dyktuje ją opozycyjnym aktywistom. Politykę zastępuje piar. Negatywny.

Po zwycięstwie PO sytuacja tylko się zintensyfikowała. Niesławnej pamięci Palikot był tego egzemplifikacją. Przegrana w 2015 r. sugeruje wyczerpanie się antypisizmu. Establishment III RP, jego media i ośrodki opiniotwórcze wydają się tego nie rozumieć, zwłaszcza że cieszą się bezwarunkowym poparciem głównych sił UE, które zrobią wszystko, aby ich klienci wrócili do władzy. Odpowiedzią ma być więc więcej tego samego.

W tym wymiarze sytuacja nie zmieniła się od PRL. Przeciwnicy systemu byli wówczas odczłowieczani i niszczeni. Po jego upadku establishment III RP, który stworzyła zarówno postnomenklatura, jak i dokooptowana do niej część dawnych buntowników, przejął tę samą metodę. Ci, którzy protestowali przeciw status quo i chcieli ożywić demokrację, piętnowani byli jako „dzielący Polaków". Jak w PRL. Również w III RP funkcjonował system odwróconych pojęć: oligarchia to demokracja, monopol to pluralizm, a knebel dla inaczej myślących to tolerancja. System zachwiany aferą Rywina i wyborami 2005 r. jego rzecznicy wszystkimi siłami usiłowali i usiłują przywrócić.

Polski konflikt wpisał się w narastające na Zachodzie cywilizacyjne starcie. Ideologicznie zorientowana, liberalno-lewicowa oligarchia, której narzędziem okazała się m.in. UE, zderza się z coraz silniejszym oporem broniących swojej tożsamości i demokracji narodami. Ruchy, które stanowią emanację tego oporu, są stygmatyzowane jako populizm i zwalczane z całą bezwzględnością. Ostatnie wybory w USA przekształcone zostały w kampanię przeciw Trumpowi, w której wielki biznes, media, centra kultury, ośrodki opiniotwórcze i niemal wszystkie znaczące instytucje społeczne użyły wszelkich dostępnych sobie środków, aby odsunąć prezydenta od władzy. W trybie apologetycznym opisane zostało to m.in. przez „Time'a". Konflikt między siłami oligarchii a demokracji zawsze był gwałtowny, o czym wiedzą choćby czytelnicy Tukidydesa.

Poglądy dużej grupy Polaków ukształtowane zostały przez dominującą i nieliczącą się z niczym kampanię wymierzoną w PiS. Nie wszystkim z nich muszą się podobać metody SokuzBuraka, ale treści tam pomieszczone nie różnią się specjalnie od ich wyobrażeń. Jeśli rządzący są tak straszni, jak pokazuje to establishment III RP, to najważniejsze jest odsunięcie ich od władzy, choćby metody podejmowane w tym celu budzić mogły wątpliwości. To wojna, a na wojnie skrupuły przestają mieć znaczenie. W efekcie przeciwnicy PiS zawieszają jakiekolwiek wątpliwości i uczą się, że standardy w polityce stanowią pozór. To wielki sukces osób takich jak Tusk czy generalnie przedstawiciele elity III RP, którzy w zdrowym systemie politycznym nie mieliby czego szukać. Być może ofiarą ostatniej afery padnie Giertych. Ale kto to jest Giertych?

eprasa.pl 579f46c997

Walizka prof. Wojciecha Fałkowskiego

dyrektora Zamku Królewskiego, historyka, profesora Uniwersytetu Warszawskiego

Są trzy miasta, które lubię i często odwiedzam. Paryż, gdzie spędziłem parę lat, wykładając na Sorbonie, i jego Dzielnicę Łacińską z placykiem Contrescarpe. Fascynujący Rzym, gdzie na każdym kroku widać dwa i pół tysiąca lat historii Europy. Tutaj moim ulubionym miejscem są okolice Panteonu oraz Zatybrze, tam zawsze się zatrzymuję w hotelu koło bazyliki Santa Cecilia z pięknymi mozaikami. Trzecim, bliskim memu sercu miastem jest Wenecja, która niestety poddaje się komercyjnym, nieuchronnym zmianom. Mimo to cały czas posiada czar, któremu ulegam przy każdej wizycie. Moje szczęście polega na tym, że w każdym z tych z miast są placówki kulturalne, z którymi współpracuję – wenecka Gallerie dell'Accademia, rzymski Palazzo Barberini oraz paryska Sorbona i École Normale Supérieure.

ROCZNIK

Jestem jego redaktorem naczelnym od ćwierć wieku. Wychodzi wyłącznie w językach kongresowych. Gdy jadę spotkać się z kolegami za granicą, to daję go w prezencie, ponieważ jest to bardzo dobra wizytówka polskiej mediewistyki, polskich badań nad średniowieczem, równocześnie jest pismem o zasięgu światowym z redaktorami z czołowych uniwersytetów na świecie. m.in. Princeton, Cambridge itp.

ALBUM (Rembrandt see it)

Doskonała wizytówka Zamku Królewskiego, a zarazem prezent dla kolegów muzealników. Polsko-angielska prezentacja dwóch najlepszych portretów autorstwa Rembrandta, które znajdują się w naszych zbiorach.

KRAWATY

Jestem ich kolekcjonerem i co ciekawsze egzemplarze przywożę z wyjazdów zagranicznych. Jeden z nich kupiłem w Londynie. Inspirowany jest obrazem „Niedzielne popołudnie na wyspie La Grande Jatte" namalowanym przez francuskiego impresjonistę Georges'a Seurata. Drugi krawat przedstawiający jednorożce pochodzi z Metropolitan Museum w Nowym Jorku.

eprasa.pl 579f46c997

NOTESIK

Jest mały, poręczny i zawsze zmieści się w walizce. W skórzanej okładce ze złoconymi krawędziami kartek nawiązuje stylem do starych ksiąg. Notuję w nim jeszcze tradycyjnym zwyczajem wszystkie sprawy, spotkania i numery telefonów. Ponieważ zawsze mi dobrze służy, co roku dostaję taki sam pod choinkę.

OBUWIE

Ponieważ nie przepadam za miejską komunikacją, wszystkie odległości podczas zwiedzania Rzymu, Wenecji czy Paryża pokonuję pieszo. A do tego są potrzebne wygodne sportowe buty.

SŁODYCZE

Nie jem czekolady ani ciastek. Jedynie pozwalam sobie na tzw. kamyki z orzechami arachidowymi. Gwoli ścisłości, nie spożywam ich w bibliotekach, tylko w domu.

KARTA WSTĘPU

Do biblioteki w prestiżowej École Normale Supérieure, gdzie prowadziłem badania naukowe, dzięki którym napisałem dwie książki o Karolu Wielkim.

BIAŁY SER

We Francji jest ponad 500 gatunków serów, ale mój ulubiony biały ser jest tam nieosiągalny. Dlatego gdy pracowałem na Sorbonie, zawsze wracając z Warszawy, przywoziłem dwa opakowania twarogu.

WILNO

Reprint przewodnika po polskim Wilnie z 1937 r., który jest bardzo pomocny podczas wyjazdów do tego miasta.

ARCYDZIEŁA Z WATYKANU

Podróże to także te o charakterze służbowym. Owocem jednej z nich będzie wystawa „Arcydzieł z Watykanu", która łączy opowieść o Karolu Wojtyle, jako kapłanie, intelektualiście i poecie, z prezentacją wybitnych dzieł sztuki europejskiej. Pokażemy sztukę, która otaczała bohatera wystawy nie tylko w Wadowicach i Krakowie, ale również w Rzymie.

LEKTURA

Gdy jadę do Włoch, zawsze ją zabieram. Jeden z tomów „Żywotów najsławniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów" napisanych w XVI w. przez Giorgia Vasariego. To dzieło jest pierwszym słownikiem biograficznym artystów włoskich od XIII w. Autor nakreślił portrety najważniejszych włoskich artystów, opisał ich prace, okoliczności ich powstania, środki wyrazu i gdzie się znajdują. Dla polskich miłośników sztuki „Żywoty..." przetłumaczył Karol Estreicher.

PARASOL

Zabieranie go w podróże zaczyna się mijać z celem, bo ile razy pada deszcz, tyle razy jak grzyby po deszczu wyrastają na ulicach przekupnie sprzedający właśnie parasolki. Ale do Londynu zawsze go zabieram.

PRZEWODNIKI

Stare przewodniki po Rzymie i Florencji, o czym mogą świadczyć ceny podane jeszcze w lirach. Są pełne moich odręcznych notatek uzupełniających informacje o danych miejscach i zabytkach.

Wysłuchał i zapisał: Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 579f46c997

OGNIEM NA WPROST

Kto sieje wiatr...

Wbrew temu, co robi administracja Joego Bidena, gubernator stanu Arkansas Asa Hutchinson podpisał ustawę, która zabrania tzw. transpłciowym kobietom udziału w żeńskich drużynach reprezentujących szkoły podstawowe, średnie i uczelnie. „Podpisałem to prawo jako fan sportu kobiet, od koszykówki po piłkę nożną [...]. Głosi ono po prostu, że zawodniczki nie powinny być zmuszane do rywalizacji w sporcie z uczniem płci męskiej" – argumentuje. Niestety przepisy dotyczą jedynie sportu szkolnego. Ponadto mogą zostać zablokowane na drodze prawnej. Sam pomysł, by wspomniane transpłciowe kobiety, czyli faceci, którzy chcą być babami i jako takie brać udział w kobiecym sporcie, wydaje się jak z wariatkowa. Bo cóż gość udający kobietę może szukać zarówno w damskim sporcie, jak i damskiej toalecie? Ale w USA tęgie głowy doszły do wniosku, że czas pokazać kobietom w sporcie, gdzie ich miejsce i zastąpić je mężczyznami noszącymi damskie ciuchy. Widać można i tak. To drugi stan po Missisipi, który nie zgadza się na lewacką ideologię gender w sporcie. Istnieje obawa, że za tym przykładem pójdzie 20 kolejnych stanów. Kiedy dotrze to do prezydenta Bidena, może się zwalić jeszcze raz ze schodów.

Świątynia Szatana to satanistyczna organizacja w USA. Jej szef na ziemi Lucien Greaves, w wywiadzie udzielonym brytyjskiemu „Attitude", stwierdził, że „przynajmniej 50 proc. członków to osoby LGBT". „Ziemski kierownik księcia ciemności" lubi podkreślać „tolerancję" satanistów, wśród których wszyscy są „prawie jednym i tym samym". Nie trzeba chyba dodawać, że sataniści wraz z „niebinarnymi" czy jak tam się zwą, promują aborcję i walkę z przeciwnikami zabijania nienarodzonych. „Od samego początku, gdy jedną z naszych wczesnych akcji była różowa msza, wiele osób LGBT szukało innej społeczności, która nie postrzegała ich jedynie przez pryzmat orientacji seksualnej" – wyjaśnia. „Szukajcie, aż znajdziecie" – jak powiada Pismo i nie myli się.

Jak podaje portal euroislam.pl, holenderskie wydawnictwo usunęło fragment o Mahomecie i jego imię z nowego wydania „Piekła" Dantego. Fragmenty opisujące piekielne kary papieży, gejów i Żyda Judasza pozostawiono bez zmian. „Wiedzieliśmy, że jeśli zostawimy ten fragment, to niepotrzebnie urazimy wiele osób" – powiedziała tłumaczka Lies Lavrijsen. U Dantego Mahomet znajduje się w ósmym kręgu piekła, ponieważ był „siewcą niezgody", tworząc nową religię, która zagrażała chrześcijaństwu. Myrthe Spiteri, właścicielka i szefowa wydawnictwa Blossom Books, tak wytłumaczyła usunięcie Mahometa: „U Dantego Mahomet cierpi okropny, poniżający los, tylko dlatego, że był twórcą islamu". Cenzurując „Piekło", wydawnictwo znalazło się nieoczekiwanie dla siebie w dość specyficznym gronie hiszpańskiej inkwizycji i chińskich komunistów. Inkwizycja zamazywała w wydrukowanych egzemplarzach fragmenty, które uważała za niecenzuralne – tyle że dotyczyły one nie Mahometa, lecz papieży. Natomiast cenzura w Chinach nakazała wydawcy tłumaczenia brytyjskiej książki o Dantem usunięcie 20-stronicowego fragmentu o stosunku Dantego do muzułmanów. Książka w końcu nie ukazała się w Państwie Środka, ponieważ autor tłumaczenia wykazał się dużo większą odwagą i umiłowaniem prawdy niż obie Niderlandki razem wzięte. Na odchodne powiedział skośnookim cenzorom, „gdzie mogą sobie wsadzić te fragmenty, które chcą wyciąć. A w piekle czeka na nich specjalne miejsce".

Co to jest homokomando? Pomijając nazwę, która kojarzy się z niemieckim Einsatzkommando czy Sonderkommando, czyli z agresją oraz przemocą, jest to grupa sportowa, która powiedziała heteroseksualnej reszcie: „Mili to już byliśmy". Ponieważ do tej pory nie było żadnej organizacji, która by biła homoseksualistów, to geje powołali do życia strukturę z założenia mającą lać katolików. Jej szefem został Linus Lewandowski, a credo wygłosił zdeklarowany gej, niejaki Dominik Puchała w czasie demonstracji środowiska LGBT. „Czas na delikatną walkę o nasze prawa się skończył. Praw się nie dostaje, o prawa się walczy. To tutaj teraz robimy. (...) Tak naprawdę chcemy pokazać, że jesteśmy silni i nie pozwolimy siebie tak traktować" – powiedział. Do wymarzonych starć doszło dość szybko. Pobito Linusa Lewandowskiego wraz z partnerem – mają siniaki, pierwszy złamany ząb i podbite oko. Potem, kiedy na ćwiczenia gimnastyczne ruszyło Homokomando Trójmiasto, w parku Reagana w Gdańsku wyszło z krzaków z 20 chłopa, którzy wykrzykiwali hasła anty-LGBT i stłukli na kwaśne jabłko dwóch homokomandosów, którzy próbowali z nimi nawiązać dialog. Tak w każdym razie opisuje te zdarzenia trójmiejski organ gazety z Czerskiej. Ale jeśli nawet byłaby to prawda, to jak powszechnie wiadomo, „kto sieje wiatr, ten zbiera burzę".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 579f46c997

Zdrowie Polaków racją stanu

Marta Kaczyńska-Zielińska

Zapewnienie obywatelom skutecznej służby zdrowia było dla Lecha Kaczyńskiego jednym z najistotniejszych zadań państwa. Był pierwszym po upadku komunizmu prezydentem Warszawy, który zadbał o poprawę warunków leczenia chorych w miejskich szpitalach. W 2004 r. rozpoczęły się remonty w Szpitalu Bielańskim i w pozostałych placówkach opieki medycznej, których organem założycielskim są władze miasta.

W czasie rządów PiS w latach 2005–2007 i prezydentury Lecha Kaczyńskiego nakłady na służbę zdrowia wzrosły znacząco jak nigdy wcześniej. Problemy związane z nierównym dostępem do świadczeń medycznych oraz niskimi nakładami na publiczny system ochrony zdrowia były zarówno przez prezydenta, jak i ówczesny rząd uznawane za główne wyzwania stojące przed reformą systemu opieki zdrowotnej w Polsce. Zasada solidarności społecznej, zdaniem Lecha Kaczyńskiego, winna zajmować nadrzędne miejsce w systemie ochrony zdrowia. W czasie kampanii prezydenckiej wielokrotnie powtarzał, że zagwarantowany Polakom w konstytucji dostęp do służby zdrowia nie może być uzależniony od poziomu zamożności poszczególnych obywateli, a zdrowie nie powinno się stać elementem gry rynkowej. W jednym z wystąpień skierowanych do środowiska medycznego powiedział: „Dwie wartości w życiu ludzi, rodzin, całego społeczeństwa, powinny być w stosunkowo małym stopniu, najmniejszym jak to jest możliwe, objęte zasadami rynku. To jest dostęp do zdrowia i dostęp do wiedzy".

W 2006 r. z inicjatywy prezydenta powołano zespół Polskie Zdrowie 2010, który przy udziale przeszło 90 ekspertów przygotował założenia naprawy systemu ochrony zdrowia w Polsce, które były realizowane przez ministra zdrowia prof. Zbigniewa Religę. W styczniu 2008 r. zaprosił przedstawicieli wszystkich klubów parlamentarnych i rządu, by zaproponować podjęcie wspólnych prac w celu naprawy systemu ochrony zdrowia w Polsce. Inicjatywa nie doczekała się odpowiedzi ze strony klubu parlamentarnego Platformy Obywatelskiej i rządu. W marcu 2008 r. z inicjatywy prezydenta odbyła się narada z udziałem najwybitniejszych polskich ekspertów, której celem było przyspieszenie prac nad rozwojem zdrowia publicznego w Polsce. Kancelaria Prezydenta nawiązała również aktywną współpracę z europejskim biurem Światowej Organizacji Zdrowia, a w szczególności z komisją zajmującą się społecznymi determinantami zdrowia. Było to z pewnością powodowane przekonaniem prezydenta o tym, jak istotna jest profilaktyka.

Za kadencji Lecha Kaczyńskiego Kancelaria Prezydenta RP organizowała konferencje poświęcone zdrowiu, m.in.: ochronie zdrowia psychicznego, walce z chorobami nowotworowymi, ochronie zdrowia dzieci, uzależnieniom od zakupów, internetu, hazardu, kredytów. Jesienią 2008 r. prezydent zgłosił weto, podtrzymane przez Sejm, do ustaw, które jego zdaniem mogły się finalnie stać przyczynkiem do prywatyzacji szpitali publicznych, sprzecznej z zasadą solidarności i groźnej z punktu widzenia bezpieczeństwa zdrowotnego Polaków.

Prezydentura Lecha Kaczyńskiego przypadła na czas światowego kryzysu ekonomicznego. W tym trudnym okresie prezydent opowiadał się za otoczeniem szczególną opieką grup, które są najbardziej zagrożone zdrowotnie: dzieci, osób starszych oraz bezdomnych, które to w sprywatyzowanym systemie opieki społecznej byłyby narażone na pozbawienie dostępu do świadczeń medycznych, a z pewnością do tych na najwyższym poziomie.

W 2009 r. Lech Kaczyński powołał grupę ekspertów do spraw reformy służby zdrowia, która miała przygotować odpowiednie rozwiązania w formie inicjatywy ustawodawczej głowy państwa. Jedno z rozwiązań legislacyjnych miało służyć zabezpieczeniu majątku służby zdrowia przed przejęciem go przez lobby nastawione wyłącznie na szybkie osiągnięcie zysku. Na kilka tygodni przed śmiercią prezydenta i członków jego delegacji minister Paweł Wypych zapowiadał, że projekty ustaw dotyczących służby zdrowia mają zostać przedstawione.

REKLAMA

36/0321/F

eprasa.pl 579f46c997

RZECZY POSPOLITE

Czarny śnieg

Tomasz Łysiak

Szczerze powiem, że włos się jeży. Nie tylko ze względu na to, co robią tacy autorzy jak prof. Grabowski i prof. Engelking – kontynuując nie tylko w publikacjach, lecz i w mediach, także tych społecznościowych, ostrą kampanię wymierzoną w wizerunek Polaków i ich postawy w trakcie II wojny światowej. To już od jakiegoś czasu wiemy – trwa zakrojona na szeroką skalę próba zmiany naszej roli: z ofiar totalitaryzmów na współsprawców niemieckich zbrodni. Problemem szerszym i głębszym staje się spora grupa medialnych akolitów – usłużnych dziennikarzy, którzy i w Polsce, i na świecie tę narrację niosą dalej. Nie chodzi tylko o Mashę Gessen i jej artykuł w „The New Yorkerze", wokół którego zrobiło się bardzo gorąco i w końcu sama redakcja dokonała jakichś drobnych korekt w tekście (co i tak nie zmieniło jego wymowy). Mówię o całej reszcie – innych światowych dziennikarzach, najczęściej związanych z lewicowymi lub izraelskimi dziennikami, oraz o rzeszy internautów, którzy uczestniczą w powielaniu fali kłamstw.

Najgorsze w tym wszystkim jest niestety to, iż w tej dyskusji żadne racjonalne argumenty czy wprost podawane fakty do nich nie trafiają. Ot, choćby pani Katarzyna Markusz (Jewish Telegraphic Agency), która na Twitterze w odpowiedzi do Jana Pawlickiego stwierdziła, iż w czasie okupacji żydowska policja „podlegała polskiej policji". Na sprostowanie Pawlickiego, który słusznie wytknął, że to najzwyklejsza nieprawda (obie formacje podlegały niemieckiej Ordnungspolizei), dodała, że takie tezy to... „brednie".

I jak tu prowadzić dyskusję? Ktoś twierdzi, że śnieg jest czarny. Gdy się mu wytknie, że śnieg jest biały, i tak będzie się upierał przy swojej wersji. Być może nawet znajdzie w przepastnych wodach internetu zdjęcie, na którym śnieg (leżący na dachu obok komina) nabrał czarnej barwy. I nadal będzie twierdził, że mówienie o tym, iż śnieg jest biały, to wymysł faszystów, nazistów, homofobów, szowinistów, polskiego rządu i polskich nacjonalistów. I to jest ten zasadniczy problem: jak w takiej sytuacji w ogóle można prowadzić dyskusję?

Podjąć rękawicę

Z Robertem El Gendym, dziennikarzem TV, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jest pan wojownikiem?

Robert El Gendy: Od kiedy pamiętam, o coś walczę. Gdy uwierzyłem, że marzenia się spełniają – tylko trzeba im pomóc – postawiłem na nie. Pierwszym wielkim pragnieniem była praca w telewizji. Sprawdzam się w niej od 20 lat i każdego dnia czegoś się uczę. Myślę pozytywnie. Dla mnie szklanka jest zawsze do połowy pełna. Staram się też nie przeoczyć kolejnych marzeń. Jeśli pojawiają się trudności, jeszcze mocniej pracuję, więcej z siebie daję, walczę. Jak w drugim odcinku „Dance, Dance Dance", gdy musiałem pokonać sporo przeszkód.

Taniec okazał się wyzwaniem nawet dla byłego sportowca i wciąż aktywnego fizycznie dziennikarza, także sportowego?

Na własnych mięśniach się przekonałem, jak wyczerpująca jest to dyscyplina. Wysysa całą energię. Dla kogoś, kto nigdy nie tańczył, to jak nauka chodzenia.

Z potknięciami, ale też masą emocji, które sprawiają, że nawet „silne chłopaki płaczą". Wytłumaczył pan swoje wzruszenie synom?

Nie musiałem. Oni wiedzą, że wrażliwość jest też siłą człowieka. I rozumieją, co to empatia. Walczyłem ze swoim ciałem i skutkami kontuzji, ale równocześnie czułem, jak trudny czas przechodzi moja taneczna partnerka. Znalazło to wydźwięk na scenie.

Staram się przekazać synom (Maćkowi – lat 18, Kubie – lat 9 i Oliwierowi – 7), by nigdy się nie poddawali, sprawdzali się, próbowali, bo dopiero, gdy spróbują, będą mogli sobie odpowiedzieć, czy to jest dla nich, czy nie. Najpierw jednak trzeba podjąć rękawicę.

Fot. Jan Bogacz/TVP

eprasa.pl 579f46c997

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

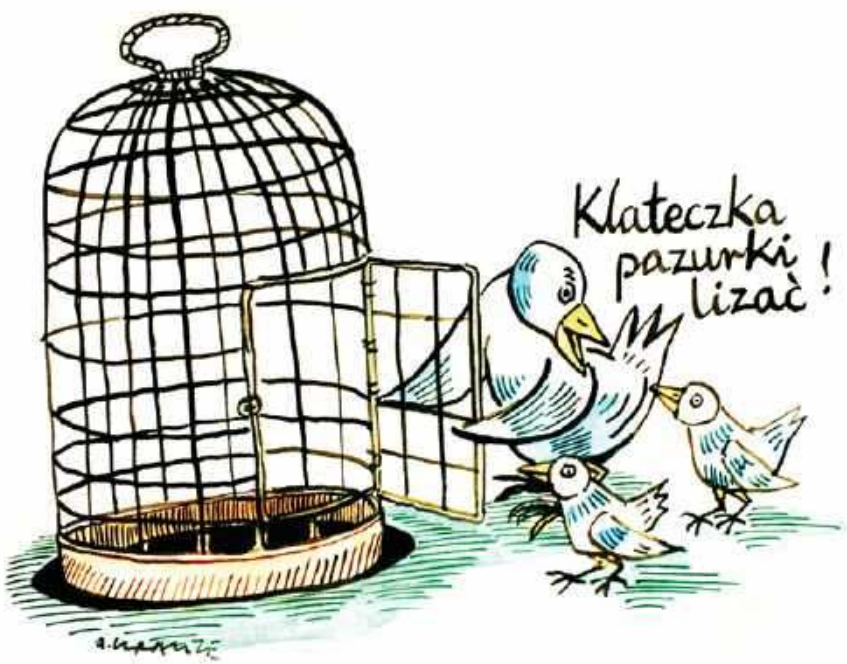

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, JANUSZ ŻYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: INSECTWORLD/SHUTTERSTOCK, FRATRIA (4), BBSTUDIO/PHOTO/SHUTTERSTOCK, MAKSYM PORIECHKIN/SHUTTERSTOCK, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER/EASTNEWS

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

nasz sondaż

Proszę sobie wyobrazić, że w wyborach startują poniższe partie. Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

Kto według Pani/Pana obecnie najbardziej zasługuje na miano lidera opozycji w Polsce?

Według osób deklarujących chęć głosowania na Zjednoczoną Prawicę:

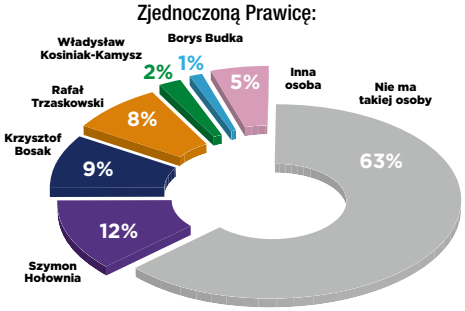

Czy policja i służby porządkowe powinny bardziej surowo niż dotychczas egzekwować obowiązek noszenia maseczek i karać osoby, które nie zakładają maseczek tam, gdzie to jest wymagane?

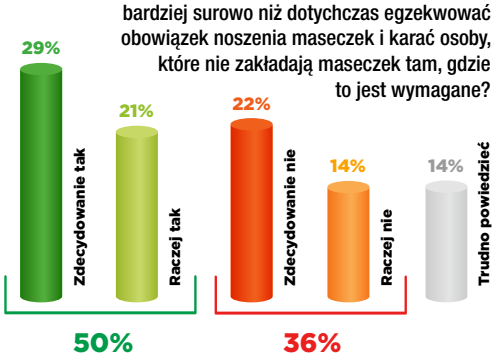

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1094.

Zakres czasowy badania 26–29 marca 2021 r.

eprasa.pl 579f46c997

Wtedy, 11 lat temu, to też była sobota po Wielkanocy. Poświąteczny nastrój prysł jednak wraz z porannymi doniesieniami z rosyjskiej ziemi. Trudno nie wracać wspomnieniami do największej tragedii w powojennej Polsce, trudno też uciec od pytań, co dziś wiemy o jej przyczynach. A dowiadujemy się coraz więcej. Już drugie zagraniczne laboratorium potwierdza: na wraku samolotu znajdowały się materiały wybuchowe

Rzym potwierdza: to trotyl!

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Sytuacja epidemiczna sprawia, że nie jesteśmy nawet w stanie powiedzieć, czy zostaną zorganizowane i jak będą wyglądały państwowe uroczystości upamiętniające prezydenta Lecha Kaczyńskiego i 95 osób towarzyszących mu w podróży do Katynia.

Koronawirus wywrócił do góry nogami naszą rzeczywistość, wpływa na politykę i gospodarkę. Także na pracę bardzo wielu instytucji, również tych, które są zaangażowane w wyjaśnianie przyczyn katastrofy smoleńskiej. Przeciągają się terminy, do umów dopisuje się aneksy wydłużające realizację zleceń. Mozolnie, ale praca trwa.

POTWIERDZENIE Z RZYMU

Z naszych informacji wynika, że włoskie Laboratorium Kryminalistyczne Korpusu Karabinierów, do którego przesłano próbki do badań, wykryło na nich materiały wybuchowe. Ekspertom z Rzymu przekazano do analizy ślady zabezpieczone podczas sekcji zwłok i pochodzące z foteli polskiego tupolewa. Po badaniach w Rzymie wiadomo, że są na nich ślady trotylu oraz RDX (heksogenu). To potwierdzenie badań brytyjskich prowadzonych w Forensic Explosives Laboratory (FEL) w Kent, o których na łamach tygodnika „Sieci" pisaliśmy w marcu 2019 r. Tam także „na zdecydowanej większości z 200 próbek przekazanych przez Prokuraturę Krajową w maju 2017 r. [...] odkryto ślady materiałów wybuchowych".

Do włoskiego laboratorium przekazano również próbki gleby z okolicy wrakowiska. Chodziło o to, by się

Fot. Fratria

eprasa.pl 579f46c997

upewnić, czy znalezione na fragmentach samolotu materiały wybuchowe nie pochodzą z ziemi, na którą upadł. Zwracano uwagę, że to możliwe, bo w pobliżu położone są lotnisko i jednostka wojskowa. W badanej glebie ze Smoleńska niczego jednak nie było.

Laboratorium w Rzymie odwiedziliśmy, jako jedyni dziennikarze, latem 2017 r. Od karabinierów usłyszeliśmy o naprawdę szeroko zakrojonym zadaniu, które postawili przed nimi nasi śledczy. – Otrzymaliśmy prośbę od polskiej prokuratury. Została w niej wskazana lista kilkunastu materiałów wybuchowych, których obecność mamy potwierdzić lub wykluczyć w dostarczonych dowodach rzeczowych – mówił nam płk Adolfo Gregori. – Mamy odpowiednie doświadczenie w tej kwestii i dysponujemy technikami, które pozwolą nam przebadać dostarczone materiały oraz przeanalizować ich skład. Nasze laboratorium jest jednym z najnowocześniejszych na świecie, mamy instrumenty i posługujemy się metodami, które pozwalają nam odnajdywać nawet najmniejsze ślady materiałów wybuchowych – usłyszeliśmy od oficera. Ówczesne ustalenia mówiły o tym, że analiza ma potrwać co najmniej pół roku, ale w międzyczasie sporo się zmieniło. Dosyłano do Włoch kolejne próbki, pojawiały się nowe metody badań wymagające nowej kalibracji maszyn, no i ostatni rok, w którym z powodu COVID-19 prace były co chwila przerywane.

CO TO ZNACZY?

Włoscy eksperci nie przysłali pisemnego podsumowania badań, bo nie zostały one jeszcze zakończone. Umowa od początku była jasna, że dopiero po przebadaniu wszystkiego sporządzą dokument. Wtedy będzie można mówić o zamknięciu pierwszego z czterech etapów analizy kryminalistycznej.

W teorii wygląda to tak, że pierwszym stopniem jest wynik z chromatografu, który zero-jedynkowo stwierdza, czy szukany materiał jest w badanym śladzie, czy nie. Przypomnijmy, że polska prokuratura zleciła poszukiwania 20 substancji. W standardzie szuka się czterech–pięciu. Tak szeroka gama to zmniejszenie do minimum marginesu błędu, ale i zdecydowane wydłużenie czasu badania. To, że trotyl i RDX są na badanych elementach, już wiemy po zamkniętych badaniach w Kent i kończących się w Rzymie. Na marginesie warto wspomnieć, że podobne wnioski należało wyciągnąć z badań prowadzonych w 2013 r. w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym Policji, lecz CLKP tak je zmanipulowało (a wojskowa prokuratura to zaakceptowała), by w żadnym wypadku nie móc przyznać, że hipoteza wybuchu ma jakiekolwiek podstawy w materiale dowodowym.

Drugim etapem jest opinia, która ma dać odpowiedź, co ten wynik oznacza dla konkretnej sprawy. W przypadku 10/04 kluczowe będzie ustalenie, czy ślady materiałów wybuchowych na badanych elementach znalazły się tam po eksplozji, czy w wyniku kontaminacji (zanieczyszczenia próbek z zewnątrz). Jakimś tropem może być tutaj brak trotylu w badanej glebie, ale do ostatecznej opinii jeszcze bardzo daleko. Sporządzi ją zagraniczny ekspert, który już ma umowę z Prokuraturą Krajową i do którego na bieżąco trafiają dokumenty i wyniki badań z laboratoriów.

Następne etapy to już będzie zadanie dla prokuratorów, którzy biorąc pod uwagę zlecone opracowania, zdecydują na samym końcu, czy i komu można stawiać zarzuty.

> Do włoskiego laboratorium przekazano również próbki gleby z okolicy wrakowiska. Chodziło o to, by się upewnić, czy znalezione na fragmentach samolotu materiały wybuchowe nie pochodzą z ziemi

CO ROBI PODKOMISJA?

Sporo emocji, niestety negatywnych, budzi podkomisja kierowana przez Antoniego Macierewicza. „Udało się znacznie mniej, niż liczyliśmy, że się uda. Nie jestem jedyną rozczarowaną, bo takich rodzin jak ja jest więcej" – tak Magdalena Merta, wdowa po wiceministrze kultury Tomaszu Mercie, recenzuje na łamach „Gazety Wyborczej" prace gremium, na którego czele stoi były szef MON.

Powodem rozczarowania jest brak postępu w pracach czy znikoma komunikacja z rodzinami. Irytuje także ponawiająca się zapowiedź raportu, który ma zebrać w całość pięcioletnie prace. Rodziny coraz śmielej apelują do ministra Mariusza Błaszczaka, by ten zarządził audyt działań podkomisji, która formalnie działa w ramach MON.

Ostatnie doniesienia mówią o tym, że na kolejną rocznicę pojawi się kolejny raport, ale wciąż nie ten „ostateczny". Ma być to „raport techniczny 2.0". W licznych wypowiedziach publicznych Antoni Macierewicz twierdził, że finalnego dokumentu nie da się sporządzić, bo zagraniczni eksperci z powodu epidemii nie mogą się zjawić w Polsce i złożyć podpisów pod dokumentem. Tylko że nie ma czego podpisywać. Nie tylko dlatego, że część analiz nie jest skończona (m.in. te prowadzone w USA przez instytut NIAR), lecz także z powodu braku zgody w podkomisji co do niektórych okoliczności katastrofy. Gdyby miała ona kończyć prace dziś, mielibyśmy dwa albo trzy sprzeczne z sobą raporty.

Dużym wstrząsem był artykuł Glenna Jorgensena, który opublikowaliśmy w tygodniku „Sieci": „Badanie tragedii smoleńskiej – co się dzieje?". To obszerna publikacja, w której były członek podkomisji wytyka jej szefowi liczne nieprawidłowości i zaniedbania.

Reakcją przewodniczącego nie była jakakolwiek refleksja, lecz atak na Duńczyka i oskarżenia o próbę uniemożliwienia dojścia do prawdy, niszczenie dorobku komisji i kolportowanie insynuacji oraz kłamstw.

eprasa.pl 579f46c997

ŚLEDZTWA: STOP!

Przed rocznicą katastrofy trzeba stawiać pytania, jak państwo polskie z jej wyjaśnieniem radzi sobie dziś? Gdzie jesteśmy, jeśli chodzi o wypełnienie obowiązków Rzeczypospolitej wobec tragicznie zmarłych i ich rodzin?

Niedawno ujawnione nagranie ze spotkania Donalda Tuska z Edmundem Klichem każe też zapytać: jak teraz wyglądają narady w tej sprawie? Czy takowe w ogóle się odbywają? Czy na posiedzeniach rządu rozmawia się na temat Smoleńska? Czy jest to przedmiotem troski ministrów spraw zagranicznych, obrony narodowej, sprawiedliwości? Czy działają jakieś specjalne zespoły międzyresortowe, które służą pomocą przy kłopotach prokuratury (jest ich cała masa) i podkomisji (choć tu kłopotów nie ma żadnych – oficjalnie)? Jak wygląda współpraca dwóch instytucji wyjaśniających katastrofę? Potraktujmy te pytania retorycznie...

Bałaganu w podkomisji – o którym piszemy od dawna – jakoś nikt nie kwapi się posprzątać. W prokuraturze zaś główne postępowanie zmierza co prawda we właściwym kierunku (mamy na myśli plan prowadzenia śledztwa, a nie weryfikowanie konkretnych hipotez), ale dzieje się to w nieprawdopodobnie wolnym tempie. Dość powiedzieć, że śledczy nie dysponują jeszcze np. opinią biegłych z zakresu medycyny sądowej po zakończonych w 2018 r. (!) sekcjach zwłok ofiar.

Przedłużają się prace zespołu biegłych z zagranicy powołanych do wydania interdyscyplinarnej opinii o przyczynach tragedii (to m.in. doświadczeni byli pracownicy FBI i NTSB, amerykańskiej instytucji badającej katastrofy lotnicze). Miała być gotowa w marcu, ale śledczy właśnie wydłużyli termin o rok.

Jest za to nowa opinia fonoskopijna nagrania z czarnej skrzynki sporządzona przez specjalistów m.in. z ABW i Instytutu Ekspertyz Sądowych przy wykorzystaniu nowoczesnych technik komputerowych. Jak słyszymy, „jest kompleksowa, ostateczna, odnosi się do różnych bzdur wypisywanych wcześniej przez ludzi bez najmniejszych kompetencji". Jej szczegółów nie znamy. Wiemy jednak, że definitywnie wykluczono, by którykolwiek z głosów zarejestrowanych przez rejestrator CVR można było przypisać gen. Andrzejowi Błasikowi.

Ale poza podstawowym śledztwem w PK toczy się jeszcze kilka innych. To m.in. postępowanie w sprawie odpowiedzialności karnej prokuratorów wojskowych za działanie na szkodę śledztwa poprzez nieprzeprowadzenie wielu czynności w 2010 r. – m.in. sekcji zwłok. Ale też mało znany wątek nieprawidłowości w Agencji Wywiadu, o którym pisaliśmy w tygodniku „Sieci" jesienią. Sprawa dotyczy skandalicznych decyzji z 2010 r., kiedy to do polskiej ambasady w Moskwie zgłosił się informator przekonujący, że tragedia w Smoleńsku nie była zwykłą katastrofą, lecz zamachem. Placówka dyplomatyczna poinformowała o tym AW. A ta... przekazała temat Rosjanom, podając dane „sygnalisty". Nieoficjalnie dowiadujemy się, że śledztwo jest zakończone, lecz decyzji procesowych brak (na marginesie dodajmy, że według naszych informatorów nie widać śladów aktywnej roli służb specjalnych przy wyjaśnianiu sprawy – również po 2015 r.).

> Nowa opinia fonoskopijna nagrania z czarnej skrzynki definitywnie wyklucza, by którykolwiek z głosów zarejestrowanych przez rejestrator CVR można było przypisać gen. Andrzejowi Błasikowi

Podobnie rzecz się ma z postępowaniem dotyczącym tzw. zdrady dyplomatycznej. Ten temat powrócił niedawno, gdy w „Magazynie Śledczym" Anity Gargas ujawniono fragmenty narady z 23 kwietnia 2010 r. z udziałem premiera Donalda Tuska i akredytowanego przy MAK Edmunda Klicha.

– Wszystkie zaniedbania sprzed 11 lat, poza oczywistymi naruszeniami prawa, miały jeden wspólny mianownik – próbę ułożenia dobrych stosunków z Federacją Rosyjską. Dziś mam wrażenie, że niepociąganie do odpowiedzialności Donalda Tuska jest składane na ołtarzu dobrych stosunków z Unią Europejską. Odsłanianie kolejnych pomników czy tablic nie jest substytutem śledztwa – komentuje bliski jednej z ofiar.

Z naszych informacji wynika, że w tym postępowaniu rzeczywiście nic się już nie dzieje, bo cały materiał dowodowy jest dawno zebrany. Łącznie ze wspomnianym nagraniem. Dlaczego w takim razie nie są stawiane zarzuty?

OBROŃCY RZĄDU TUSKA

Donald Tusk bez wątpienia zasługuje na akt oskarżenia, i to już od dekady. Konflikt z prawem jego postępowania powinni byli zauważyć prokuratorzy nadzorowani przez Andrzeja Seremeta, i to już w 2010 r., krótko po katastrofie. Ale wtedy „niezależny od rządu" prokurator generalny uchybień nie widział. „Prawicowe" media alarmowały, wskazywały palcem, pisane były na ten temat książki, również naukowe (np. na Uniwersytecie Jagiellońskim – Natalia Wojtanowska „Aspekty prawne katastrofy smoleńskiej"), a kolejni „niezależni" prokuratorzy albo odmawiali wszczynania śledztw, albo w kuriozalny sposób je umarzali. W sprawie zdrady dyplomatycznej odmówili ścigania w 2010 r. i 2011 r. Dopiero w 2016 r. pochylono się nad tym zagadnieniem.

Uporczywie wracamy do przymiotnika „niezależny", bo pod takim pozorem w 2010 r. obóz PO-PSL rozłączył funkcje ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Efekt? Premier grillował co rok Seremeta, bo ustawa o „niezależnej" prokuraturze dawała mu możliwość nie-

eprasa.pl 579f46c997

Laboratorium w Rzymie odwiedziliśmy, jako jedyni dziennikarze, latem 2017 r. Od karabinierów usłyszeliśmy o naprawdę szeroko zakrojonym zadaniu, które postawili przed nimi polscy śledczy

Fot. Fratria

przyjęcia corocznego sprawozdania zwierzchnika wszystkich śledczych i wystąpienia do Sejmu z wnioskiem o jego odwołanie.

W egzekwowaniu prawa nie pomagała też Naczelna Prokuratura Wojskowa, z jej szefem – reliktem minionego systemu (w prokuraturze od 1983 r.) płk. Krzysztofem Parulskim, który wręcz markował śledztwo w sprawie przyczyn katastrofy w jego kluczowym momencie. W sierpniu 2010 r. dostał od prezydenta Komorowskiego awans na stopień generalski (wcześniej blokował to śp. Lech Kaczyński).

Charakterystykę tego człowieka najlepiej oddaje historia postrzelenia się w styczniu 2012 r. w policzek poznańskiego prokuratora wojskowego płk. Mikołaja Przybyła. Trwał wówczas konflikt Seremeta z Parulskim. Ten ostatni, choć formalnie był zastępcą tego pierwszego, miał jednak sporą autonomię i walczył o zachowaniu tego stanu.

W czasie konferencji prasowej Przybył wyprosił na chwilę dziennikarzy i... postrzelił się w policzek. A może tylko markował postrzelenie (zszywano go dopiero po dziewięciu godzinach, a chwilę później udzielał już wywiadów)? W każdym razie w Polskę poszedł przekaz, że pułkownik chciał targnąć się na życie, bo źli cywile próbowali zamachnąć się na wzorowych wojskowych śledczych.

Istotą tej sprawy był skandal z pobraniem od operatorów komórkowych billingów dziennikarzy śledczych („Rz" i TVN24), by ustalić źródło przecieków w sprawie prawdziwych powodów odwołania prokuratora Marka Pasionka z nadzorowania śledztwa smoleńskiego (pełnił tę funkcję od 8 maja 2010 r., był jedynym cywilem w WPO, dziś jest zastępcą prokuratora generalnego i znów nadzoruje śledztwo smoleńskie). Nawet Adam Bodnar alarmował, że to łamanie tajemnicy dziennikarskiej. Pasionek zawinił tym, że – wespół z Bogdanem Święczkowskim, b. szefem ABW – spotkał się z oficerami łącznikowymi FBI i CIA w Warszawie, by prosić o pomoc w postępowaniu. Parulski uznał to za niedopuszczalne kontakty z obcym państwem i zawiesił Pasionka. A jego podwładni z Poznania postanowili złamać przepisy i inwigilować dziennikarzy. Ściągnięcie billingów pilotował osobiście płk Przybył. Kurtyna.

Aż żal wspominać, jak te wszystkie postacie były zaangażowane w to, by Tuskowi i jego najważniejszym współpracownikom za katastrofę nie spadł włos z głowy. A z drugiej strony instytucje podległe premierowi torpedowały prace prokuratury, np. nie przekazując żądanych dokumentów. Wiele z nich „odnalazło się" po 2015 r. (choć wcale nie tak od razu...), część „nie odnalazła się" do dziś.

Gdy z głównego śledztwa wyłączono tzw. wątek organizacyjny wizyty, śledczy z warszawskiej Pragi długie miesiące prowadzili czynności, zgromadzili dziesiątki tomów akt, by wreszcie – piórem Józefa Gacka (to prokurator, który zasłynął próbą wyrwania laptopa Sylwestrowi Latkowskiemu w redakcji „Wprost") – napisać 400-stronicowe umorzenie postępowania, w którym obficie opisano nieprawidłowości, jakich dopuścili się urzędnicy gabinetu Tuska, lecz zdecydowano się ich nie ścigać, bo... nie przewidywali, że ich zaniedbania mogą doprowadzić do katastrofy.

Ten błąd po części naprawiono całkiem niedawno, gdy w wyniku złożenia przez rodziny ofiar subsydiarnego aktu oskarżenia przeciwko urzędnikom z KPRM warszawski sąd skazał m.in. Tomasza Arabskiego (na karę w zawieszeniu, które minie w czerwcu). Wyrok dotyczył win, których nie dopatrzyła się prokuratura nadzorowana przez Andrzeja Seremeta.

Dlaczego to przypominamy? Bo takich – mniej i bardziej szczegółowych – wątków jest mnóstwo, a tylko pamiętając o nich, możemy zrozumieć, jak przez pięć lat mataczono w tych sprawach, by ochronić wysokich urzędników, i jak nieodwracalne straty wyrządzono poszukiwaniu prawdy. Części z nich nigdy nie da się odrobić. Inne (badania fizykochemiczne, cyfrowe rekonstrukcje wraku) po latach są w naturalny sposób dużo bardziej żmudne.

Ale nie można się też dziwić zniecierpliwieniu bliskich i opinii publicznej. Bo trudno wytłumaczyć bezczynność prokuratury w wątkach już dawno zakończonych oraz olbrzymi chaos, którego generowanie do mistrzostwa opanowała podkomisja. Czas wyciągnąć wnioski.

eprasa.pl 579f46c997

Jak dokończyć badanie Smoleńska?

Pięć kroków na podstawie doświadczeń MH17

***Glenn Jorgensen**, były członek podkomisji smoleńskiej, pisze, co jego zdaniem trzeba zrobić, by w 19 miesięcy sfinalizować prace nad badaniem przyczyn katastrofy i zamknąć je sporządzonym zgodnie z międzynarodowymi standardami raportem końcowym, który pozwoli Polsce dochodzić sprawiedliwości*

Każdy dzień działa na korzyść sprawców i na niekorzyść bezpieczeństwa Polski. Po pięciu latach badania Smoleńska przez Podkomisję ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego z 10 kwietnia 2010 r. mamy „dom" bez części fundamentów, z nie wszystkimi ścianami nośnymi, choć niektóre z tych, co zostały postawione, są bardzo solidne. Wiele ścian ma dziury, niektóre w ogóle nie powstały. Budowany był on w ekstremalnie długim czasie przez dużą grupę, w której tylko kilka osób wykonywało przydatne prace. Część tych prac jest nawet na najwyższym poziomie jakości. Co często jest jednak marnotrawione, bo głównodowodzący grupy budujących konsekwentnie bronił się przed stworzeniem projektu architektonicznego, a sam nie ma kompetencji. Są małe szanse, że w ramach takiej budowy „dom" zostanie ukończony lub „przyjęty" przez jakąkolwiek „inspekcję" z zewnątrz. I po kolejnych latach w tym układzie może w wielkim trudzie powstać następna ściana, ale nigdy ukończony dom, którego wszyscy bardzo potrzebujemy.

* * *

Niecałe 15 miesięcy po zestrzeleniu samolotu Boeing 777-200ER przez rosyjski pocisk Buk Holandia z powodzeniem zakończyła cztery poważne dochodzenia zgodnie z międzynarodowymi standardami, dokumentując swoje ustalenia

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 579f46c997

w kompletny, wiarygodny sposób w raportach końcowych, które mogą zapewnić podstawę respektowaną w działaniach prawnych na arenie międzynarodowej. Przyjrzyjmy się bliżej, jak tego dokonano, i porównajmy ze sprawą smoleńską.

K.E. Beumkes z Holenderskiej Rady Bezpieczeństwa wyjaśniał na konferencji Międzynarodowego Towarzystwa Badaczy Bezpieczeństwa Lotniczego (ISASI) w 2016 r.: „Ważnym celem śledztwa było dostarczenie społeczności międzynarodowej i bliskim ofiar dokładnego i prawdziwego obrazu przyczyn katastrofy samolotu. Krewni ofiar mają prawo poznać odpowiedzi na swoje pytania w rozsądnym terminie po wypadku. Dokładne dochodzenie ustala przyczyny katastrofy, dostarcza faktów i usuwa niepokój spekulacji. Zapewnia wiedzę i pomaga pogrążonym w żałobie krewnym ofiar".

Praca komisji śledczej składa się z dwóch równie ważnych części. Pierwsza dotyczy wydarzeń, do których doszło w przeszłości, i udowadnia ponad wszelką wątpliwość, co się wydarzyło, jak do tego doszło i dlaczego nie udało się temu zapobiec. Druga część badania ma zapewnić bezpieczeństwo lotów oraz bezpieczeństwo państwa w przyszłości na podstawie wyników badań uzyskanych w części pierwszej. Trzeba wyraźnie wskazać, co powinno się zrobić, przez kogo powinno to być zrobione oraz jak można zabezpieczyć państwo polskie w przyszłości. I należy to zrobić poprzez badanie własne podkomisji wszystkich poziomów procesów decyzyjnych, które miały wpływ zarówno na tragedię, jak i na następujące po niej śledztwo. Niepowodzenie w ukończeniu obu tych części badań byłoby poważną porażką w wywiązaniu się ze zleconego obowiązku i otwartym zaproszeniem do powtórzenia podobnej tragedii w przyszłości. Trzeba podkreślić, że to nie są czynności śledztwa prokuratorskiego.

Oczywiście istnieją różnice w stopniu trudności polskiego i holenderskiego badania, jednak nie tłumaczą one drastycznej przepaści w podejściu do badania, czasu i efektów uzyskanych przez państwo polskie.

Obecnemu badaniu – a właściwie pierwszej jego części – jest daleko do ukończenia, poniżej w tekście wyjaśnię dlaczego, i nie jest to spowodowane brakiem czasu, którego upłynęło ekstremalnie dużo, za dużo. Od tragedii mija 11 lat, w tym ponad pięć lat podkomisją kieruje Antoni Macierewicz – w sposób, który według mnie był bardzo daleki od planowania, kompetentnych decyzji i gospodarowania czasem. Druga część badania moim zdanie praktycznie nawet się nie rozpoczęła.

A czas odgrywa tu kluczową rolę. Każdy dzień zwłoki gra na korzyść sprawców i na niekorzyść Polski, a także jej bezpieczeństwa. Może niektórzy ludzie liczą, że czas ostatecznie doprowadzi do naturalnej śmierci tematu, zmęczenia społeczeństwa, coraz mniejszej świadomości i utraty szerokiego zainteresowania – co niestety już się dzieje w sprawie smoleńskiej. Nie usunie to jednak ran społecznych ani cierpienia najbliższych, nie zażegna kłótni narodowej, dla której pożywką są nie tylko dezinformujące media i część polityków, lecz także sprzeczne i błędne komunikaty szefa podkomisji oraz fragmentaryczne uzasadnienia. Co najważniejsze, a co wydaje się często pomijane: nie naprawi bezpieczeństwa państwa.

Dlatego tak ważne jest, aby prawda nie tylko została wyrażona, lecz w sposób kompleksowy i nie do podważenia udowodniona, przy wyeliminowaniu wszystkich innych hipotez za pomocą zebranych dowodów. Badanie powinno być prowadzone, a następnie udokumentowane w raporcie końcowym według rozpoznawanych na świecie schematów.

Oczywiście istnieją różnice w stopniu trudności polskiego i holenderskiego dochodzenia, jednak nie tłumaczą one drastycznej przepaści w podejściu do badania, czasu i efektów uzyskanych przez nasze państwo

Opierając się na wiedzy z mojej edukacji badacza wypadków, praktyki członka Międzynarodowego Towarzystwa Badaczy Bezpieczeństwa Lotniczego, który pracuje nad tą sprawą od wielu lat, w tym przez cztery lata jako członek Podkomisji ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego 10 kwietnia 2010 r., chciałbym przedstawić na przykładzie śledztwa dotyczącego zestrzelonego holenderskiego samolotu MH17, w jaki sposób dochodzenie smoleńskie może zostać pomyślnie zakończone w pięciu krokach.

Wobec zamętu w przestrzeni publicznej – w grę wchodzi tu wiedza specjalistyczna, znajomość uznanych standardów działania – wielu ludzi nie jest w stanie oszacować, czym tak naprawdę dysponujemy i czego nam brakuje, jeśli chodzi o badanie i raport. Żeby to zrozumieć, trzeba wiedzieć, czego powinniśmy oczekiwać od dobrze przeprowadzonych prac i właściwego ich udokumentowania w raporcie końcowym. Proszę wybaczyć, jeśli dla części państwa będą to oczywistości lub znajdziecie tu powtórzenia poczynione ze względu na próbę podsumowania zagadnienia. Ponownie poruszam ten temat w nadziei i przekonaniu, że jest to absolutnie konieczne, by państwo polskie uzyskało mocne i skuteczne narzędzie do poprawy jego bezpieczeństwa i dochodzenia sprawiedliwości.

HOLANDIA MH17: CZTERY ŚLEDZTWA ZAKOŃCZONE W 15 MIESIĘCY

W 2017 r. ówczesny wiceprzewodniczący podkomisji prof. Binienda i ja z własnej inicjatywy i na własny koszt (po trzech latach zwrócono nam część wydatków) odwiedziliśmy Holenderską Radę Bezpieczeństwa, aby omówić różne kwestie i m.in. się dowiedzieć, jak Holendrzy osiągnęli swoje cele tak skutecznie.

eprasa.pl 579f46c997

Wrak polskiego Tu-154M od ponad dekady niszczeje w hangarze w Smoleńsku, Rosjanie nie mają zamiaru go oddać. Holendrzy szczątki MH17 (na zdj. obok) sprowadzili do kraju błyskawicznie, i to z pola walki, m.in. to pozwoliło im w rok i trzy miesiące zakończyć dochodzenie i wskazać winnych

Tak, Holendrzy w pewnych kwestiach mieli łatwiej. Dzięki położeniu wraku na terenie bardziej przychylnego do współpracy państwa, ale także dzięki dyplomatycznym naciskom i aktywności służb specjalnych działających w interesie państwa uzyskali dostęp do wraku w środku strefy wojennej. Mieli przychylność większości społeczeństwa, władz i mediów.

Wobec odpowiedzialności komisji holenderskiej za bezpieczeństwo Holendrów i ich państwa – bo taka jest rola każdej komisji badania wypadków lotniczych – Holenderska Rada Bezpieczeństwa przeprowadziła i zakończyła 13 października 2015 r., po 15 miesiącach pracy, nie tylko jedno dochodzenie, lecz cztery różne niezależne badania, których przedmiotem były:

- Bezpośrednie przyczyny wypadku.
- Decyzje związane z wybraną trasą lotu, analiza roli holenderskich służb wywiadowczych.
- Doznania pasażerów, mechanizmy i zjawiska, którym byli poddani.
- Informacje udzielane najbliższym krewnym ofiar. Jak traktowano rodziny.

Holendrzy postępowali zgodnie z uznanym na szczeblu międzynarodowym protokołem, który szczegółowo opisuje sposób pracy i jest używany na całym świecie do dochodzeń w sprawie wypadków lotniczych zgodnie z wytycznymi Organizacji Międzynarodowego Lotnictwa Cywilnego (ICAO), załącznik 13. – „Dochodzenie w sprawie wypadków i incydentów lotniczych". Ze względu na skuteczność wskazówek, jak badać katastrofę, „protokoły śledcze" ICAO stały się szeroko stosowane w wyjaśnianiu katastrof samolotów zarówno cywilnych, jak i wojskowych.

Proszę odróżnić tu pomocne wskazówki, jak badać katastrofę, czyli „protokoły śledcze" opisane w załączniku 13. konwencji chicagowskiej od szkodliwej dla Polski podstawy prawnej użytej przez Rosję, by zdecydować o tym, kto jest odpowiedzialny za prace śledcze. Podstawa ta, którą uznał Tusk po katastrofie, umożliwiała przejęcie Putinowi pełnej kontroli nad dowodami i prowadzeniem śledztwa. Było to niezgodne z polskim interesem, a także z zapisem umowy z 1993 r. pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a Federacją Rosyjską, określającej warunki badania katastrof samolotów wojskowych.

W przypadku badań zestrzelenia holenderskiego samolotu MH17 na mocy załącznika 13. do konwencji chicagowskiej wyznaczono jednego badacza nadzorującego, który miał dowodzić międzynarodowym zespołem. Posiadał on odpowiednią i aktualną wiedzę fachową zarówno w zakresie treści, jak i metod dochodzenia w sprawie wypadków.

Śledztwa holenderskiej komisji koncentrowały się na jak najdokładniejszym określeniu przyczyn i systematycznym wykluczaniu wszystkich innych scenariuszy (to bardzo ważne, by rzeczywiście przekonać osoby zainteresowane)

Fot. Fratria

eprasa.pl 579f46c997

Fot. PHOTO/EMMANUEL DUNAND

oraz na zapewnieniu, aby dochodzenie uzyskało jak największe międzynarodowe uznanie.

Śledczy odpowiedzieli na pytanie, jakim warunkom pasażerowie byli poddani podczas wypadku i jak wpłynęło to na ich ciała, przytomność i świadomość, a także zbadali, w jaki sposób po katastrofie postępowano z ludzkimi szczątkami. Ponadto sprawdzili, w jaki sposób traktowano i informowano rodziny.

Holenderscy naukowcy byli otwarci na fakty, informacje, badania, podejrzenia i wszelkie teorie przedstawione w przestrzeni publicznej i mediach społecznościowych przez „outsiderów" na temat katastrofy samolotu MH17, wiedząc, że jakość wniosków się poprawi, gdy wszystkie rodzaje perspektyw zostaną uwzględnione w ich sformułowaniu (należy się odnieść do wszystkich pojawiających się teorii, by drogą wykluczania w świetle posiadanych dowodów zostać z tą jedną teorią udowodnioną).

Wyniki te zostały upublicznione jedynie w sprawozdaniu końcowym i jego załącznikach. Sprawozdania podwykonawców badania zostały w całości uwzględnione w załącznikach w ich pierwotnym stanie i nie były edytowane przez Holenderską Radę Bezpieczeństwa. Informacje przekazane parlamentowi holenderskiemu w trakcie badania ograniczały się do procesu badawczego (co jest badane) i nie były związane z ujawnieniem naukowego podejścia do badania lub wyników badań. Poza konsultacjami w sprawie projektu sprawozdania końcowego wynikającego z zaleceń załącznika 13. do konwencji chicagowskiej do czasu opublikowania sprawozdania końcowego nie przekazano mediom żadnych innych informacji. Wymóg ten podyktowany jest nie tylko osłoną przed naciskami politycznymi, lecz także tym, że śledczy mogą w trakcie pracy popełniać błędy – jest to wpisane w każdy proces badawczy. Stąd przedwczesne komunikaty medialne, które następnie trzeba by było prostować, całkowicie podrywają wiarygodność ciała badawczego, a utrata zaufania społecznego jest w tym przypadku niezwykle szkodliwa.

Po wykonaniu badań Holendrzy sporządzili raport końcowy zgodny z międzynarodowymi standardami, co zagwarantowało akceptację i szacunek instytucji międzynarodowych, a także – co bardzo ważne – pozwoliło, aby ich raport stanowił respektowaną podstawę do działań prawnych na arenie międzynarodowej.

MIĘDZYNARODOWE UZNANIE I WARTOŚĆ PRAWNA. DLACZEGO TO JEST WAŻNE?

Jest zasadnicza różnica między połowicznym sprawozdaniem, „filmowym omówieniem" raportu czy oświadczeniami medialnymi a udokumentowaniem procesu dowodowego w raporcie końcowym komisji badającej katastrofę lotniczą. Dochodzenie powinno udowodnić i udokumentować przyczynę ponad wszelkie uzasadnione wątpliwości, stosując

eprasa.pl 579f46c997

dobrze opisane systemowe metody i standardy, które zapewniają ich wartość prawną i międzynarodowe uznanie. Od lat jest to w zasięgu naszej ręki. Tymczasem prace są prowadzone bez zakorzenienia ich w wartości prawnej, z pogwałceniem zasad dobrej praktyki, tak by łatwo było zignorować je przez społeczność międzynarodową i jej instytucje.

Świadomość opinii międzynarodowej, presja i kroki prawne mogą zwiększyć koszt niszczycielskich działań przestępczych struktur do poziomu, który zniechęci do ich powtórzenia w przyszłości oraz narazi winne reżimy i jednostki na odpowiedzialność prawną.

Samo opowiadanie o zbrodniach bez skutecznego ich udowodnienia pomaga despotom w szerzeniu strachu, który utrzymuje ich przy władzy. Skuteczne udowodnienie takich działań osłabia moc despotów. I to jest zasadnicza różnica.

Obecny przewodniczący podkomisji wydaje się kompletnie nie rozumieć, jak ważne jest utrzymanie standardów zrozumiałych dla społeczności międzynarodowej. Jego zapewnienie umieszczone w raporcie pod presją publiczną, iż publikacja jest zgodna z międzynarodowymi standardami, nie wystarczy i – jeśli nie odpowiada rzeczywistości – tylko jeszcze bardziej podważa wiarygodność.

Pozostaje jeszcze jeden problem: w oczach instytucji międzynarodowych, a także w świetle polskiego prawa, dochodzenie nie będzie postrzegane jako bezstronne, jeśli wśród badaczy, w tym na czele śledztwa, stoi osoba badająca śmierć przyjaciół, bliskich osób, politycznych współpracowników lub też osoba, która jest czynnym politykiem. Jeśli chcemy walczyć w świecie o sprawiedliwość, musimy także to mieć na uwadze.

W PRZECIWNĄ STRONĘ. RÓŻNICA MIĘDZY DOBRĄ PRAKTYKĄ A DZIAŁANIEM ANTONIEGO MACIEREWICZA

Wyrażam uznanie dla Antoniego Macierewicza za to, czego dokonał, będąc w opozycji. W pierwszych latach po katastrofie za poprzedniego rządu równolegle z prof. Witakowskim organizował niezależne śledztwa, które pomogły w posunięciu badań do przodu. W pokazywaniu braku rzetelności dochodzeń MAK i Millera komunikaty medialne były bardzo potrzebne. Można było sobie pozwolić na własne błędy, nawet jeśli komunikowano je publicznie. Nikt nie żądał wtedy od Antoniego Macierewicza sprawnego zorganizowania kompleksowych prac badawczych według przyjętych w świecie norm. Nikt nie wymagał ani nie egzekwował skuteczności.

Sytuacja zmieniła się diametralnie, kiedy Antoni Macierewicz zaczął de facto kierować oficjalnym śledztwem państwa polskiego, w tym również jako minister obrony, a później jako przewodniczący podkomisji, obejmując władzę nad skompletowaniem zespołu, budżetem podkomisji oraz decyzjami merytorycznymi, w tym także w kwestiach technicznych.

Sprzeczne i błędne komunikaty medialne Antoniego Macierewicza podrywały autorytet ciała badawczego, dla którego wiarygodność jest niezbędnym kapitałem. Ponadto nie pomagały w zażegnaniu narodowej kłótni, a raczej dodawały jej paliwa. Oczywiście nie wszystkich da się przekonać, ale dobrze ukończone badanie, przeprowadzone zgodnie z przyjętymi w świecie standardami, daje ku temu najlepszą możliwą podstawę.

Niezrozumienie obowiązków i fatalne postępowanie wobec partnerów międzynarodowych skutkowało niszczeniem relacji i izolacją podkomisji, która pozostaje niemal osamotniona w sytuacji palącej potrzeby wsparcia. Nieprzewidywalne decyzje personalne i merytoryczne, brak pomocy w usuwaniu przeszkód przed przeprowadzeniem właściwego badania to wszystko utrudniało pracę i dojście do celu. Czasem uniemożliwiało. Przykładem może tu być walka o badanie foteli lotniczych. Każdy zawodowy śledczy wie, że fotele są bardzo ważnym elementem przy badaniu sił działających na pasażerów, bo łączą pasażera z konstrukcją samolotu. Wysłanie foteli lotniczych do badania do umówionego z podkomisją amerykańskiego instytutu NIAR było wstrzymywane przez sześć miesięcy. I najprawdopodobniej właściwych badań foteli w ogóle by nie było, gdyby zakaz szkodzący śledztwu nie został zignorowany przez wysłanie ich na mój własny koszt do instytutu.

> Każdy dzień zwłoki gra na korzyść sprawców i na niekorzyść Polski, a także jej bezpieczeństwa

Jak już wcześniej pisałem, nigdy nie został przedstawiony podkomisji plan pracy, który mógłby pomóc całościowo ogarnąć rzeczy do zrobienia. Często bywało tak, że ktoś przyszedł i zaproponował, że coś spróbuje zrobić, i to robił, na ogół zresztą wbrew przeszkodom organizacyjnym i bez koordynacji z innymi. To wprost cud, że część prac jest naprawdę na najwyższym poziomie, ale to wyłącznie zasługa bardzo niewielu niezwykle zdeterminowanych i utalentowanych pojedynczych ludzi. Bolesne marnowanie czasu i kolejnych szans naprawdę trudno zrozumieć. A przy dobrej organizacji można było już dawno z powodzeniem zakończyć prace. Ze wsparciem światowych autorytetów. Tymczasem minęło pięć lat, a część prac wciąż jest na początkowym etapie lub w ogóle nie została przewidziana. Zarządzanie pracami bez całościowego spójnego planu, kompetentnych decyzji personalnych i merytorycznych nie daje szans na powodzenie badania bez względu na to, ile kolejnych lat miałoby jeszcze upłynąć.

Pierwsze próby naprawy sytuacji były prowadzone w bezpośrednich rozmowach z przewodniczącym podkomisji w nadziei na podjęcie przez niego właściwego działania. O tym, że sytuacja była już bardzo nabrzmiała niemal cztery lata temu, świadczą wysiłki samodzielnego

eprasa.pl 579f46c997

zorganizowania planu pracy podkomisji przez jej członków, dyskusja na forum podkomisji i wręczenie przewodniczącemu listu z apelem o sporządzenie planu działań, a było to w marcu 2017 r. Wewnętrzna próba naprawy ma wieloletnią historię, włącznie z pisemnym sformułowaniem bardzo konkretnych wskazówek w celu pomocy przewodniczącemu w zorganizowaniu prac. Wyjście do mediów było tu ostatecznością. Problem dostrzegał także prof. Witakowski, twórca czterech naukowych konferencji smoleńskich i późniejszy członek podkomisji, który 18 miesięcy temu pierwszy, patrząc dalekowzrocznie, miał odwagę zabrać głos publicznie.

Prawdopodobnie nie chcielibyście państwo, by wobec konieczności poddania się operacji chirurgicznej zamiast chirurga operował was np. generał, choćby był nawet najbardziej znany. Bez kompetencji w danej dziedzinie, umiejętności i aktualnej wiedzy trudno oczekiwać sukcesu. Dlatego normy ICAO określają, że badania wypadków muszą być wykonywane przez osoby z odpowiednimi umiejętnościami śledczymi i technicznymi, a szczególnie zalecają, aby polityka nie odgrywała tu żadnej roli.

Jak już wspomniałem, jest różnica pomiędzy powiedzeniem prawdy – co jest obowiązkiem polityka – a solidnym udowodnieniem i udokumentowaniem prawdy – co jest obowiązkiem szefa komisji śledczej. Po pięciu latach trudno nawet ustalić, czy raport jest i czy mowa tu o raporcie końcowym, nie mówiąc już o podjęciu dalszych działań wynikających z tego dokumentu.

Prawda nie tylko musi zostać udokumentowana bez poważnych błędów, w sposób, jaki zapewnia wartość prawną i międzynarodowe uznanie. Właściwe dochodzenie jest głębsze niż zwykła odpowiedź na pytanie, „co się nie stało" (w odniesieniu do poprzednich raportów). Trzeba odpowiedzieć na pytanie, „co się stało", poprzez wielokrotne udokumentowanie tego, „jak to się mogło stać" i „co mogło temu zapobiec" oraz wykluczenie wszelkich innych obecnych w przestrzeni społecznej hipotez, z zaleceniem działań naprawczych, które należy podjąć.

Dla każdego poważnego badacza katastrof lotniczych byłoby szokujące nazywanie przez organ dochodzeniowy „Raportem" materiału filmowego pt. „Wyniki prac Podkomisji ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego" opublikowanego na stronach MON 3 grudnia 2020 r. Świadczy to o całkowitej niewiedzy, czym jest raport i co powinien zawierać. Lub o poważnej próbie wprowadzenia w błąd odbiorcy, który przecież nie musi się orientować w tym względzie.

Antoni Macierewicz, przewodniczący poważnej instytucji badawczej, w Telewizji Trwam i Radiu Maryja 13 marca br. mówi o „filmowej wersji raportu" z wyjaśnieniem, że „wersja pisemna" jest obecnie przygotowywana.

Materiał filmowy pokazuje fragmenty solidnego badania, ale niestety zawiera poważne błędy i sprzeczności merytoryczne, i tak przedstawiony znów naraża na szwank wiarygodność dobrej i solidnej pracy garstki zaangażowanych, utalentowanych członków podkomisji. Po raz kolejny wydaje się, że priorytetem jest tu występ w mediach przed zakończeniem poważnego śledztwa i nawet przed dokonaniem jakiejkolwiek poważnej weryfikacji materiału filmowego. Brakuje konsultacji, które powinny się odbyć w kompetentnym gronie, zdolnym do wyłapania błędów, które w każdej pracy badawczej mogą się pojawić. Komunikat medialny nie zastąpi porządnego, systematycznego i kompleksowego badania.

> Wiele innych dochodzeń w sprawie katastrof lotniczych zostało pomyślnie zakończonych przy znacznie mniejszej ilości materiału dowodowego niż ten, który znajduje się w polskich rękach

Materiał filmowy, nazywany przez Antoniego Macierewicza „Raportem", nie odnosi się w świetle dowodów do wielu obecnych w przestrzeni społecznej hipotez, nie zawiera zaleceń, a przede wszystkim został utworzony przed ukończeniem lub w ogóle zrealizowaniem koniecznych badań.

Chciałbym bardzo wyraźnie podkreślić, że film prezentuje także wiele wartościowych elementów i wyników precyzyjnych badań w niektórych dziedzinach i trzymam kciuki, by po usunięciu błędów merytorycznych dotarł do jak najszerszej publiczności jako materiał pomocniczy.

Omówienia filmowe mogą służyć do wyjaśnienia i spopularyzowania raportu końcowego, kiedy badanie zostanie zakończone, a raport opublikowany. Jak można prosić członków podkomisji o podpisanie raportu po opublikowaniu zawierającego błędy filmu, o którym się mówi, że jest „Raportem"? Przewodniczący oświadcza w mediach, że nie zebrał podpisów członków, co może sugerować brak konsensu, zresztą jak uzyskać konsens bez gotowego pisemnego raportu?

Na Antonim Macierewiczu od pięciu lat spoczywa instytucjonalna odpowiedzialność za wiarygodne przekonanie Polaków, jak z katastrofą smoleńską było naprawdę. Tymczasem metoda, jaką wybrał – kolejnych komunikatów medialnych, często nieprecyzyjnych, które trzeba później prostować – jest całkowicie przeciwskuteczna. I tak część osób jest przekonana, że był zamach, część tę tezę wyśmiewa, wielu nie zabiera głosu. Każda z grup ludzi pozostaje utwierdzona w swoich przekonaniach, a kłótnia narodowa trwa.

W przypadku badania katastrofy samolotu MH17 budżet holenderskiej komisji był wielokrotnie większy niż polskiej, a wrak i czarne skrzynki były dostępne dla śledczych, co oczywiście ułatwiło im pracę. Podkomisja pod kierunkiem Antoniego Macierewicza – z tego, co mi wiadomo – zwróciła Ministerstwu Obrony Narodowej znaczną część swojego budżetu w pierwszych latach, odmawiając w tym samym czasie przejęcia po cenie złomu bardzo potrzebnego do badań Tu-154M.

eprasa.pl 579f46c997

Już 11 lat czekają rodziny ofiar tragedii smoleńskiej na jednoznaczną odpowiedź na pytanie, co naprawdę wydarzyło się 10 kwietnia 2010 r.

Prof. Witakowski w latach 2016–2018 wielokrotnie czynił wysiłki, aby przewodniczący podkomisji podjął formalne zabiegi umożliwiające uzyskanie dostępu do miejsca katastrofy i wraku. Pisma w tej sprawie nie zostały wtedy wystosowane, choć na powtarzające się pytania profesora – czy przyszła odpowiedź z Rosji? – miesiącami otrzymywał informację, że nie przyszła, bez wzmianki o tym, że pisma w ogóle nie wyszły. Trudno sobie wyobrazić, że bez wyraźnego żądania przewodniczącego niejawnej blokady wysłania tego pisma podobna sytuacja mogła się zdarzyć.

Pomimo że dostęp do wraku byłby niezwykle pomocny, trzeba podkreślić, że wiele innych dochodzeń w sprawie katastrof lotniczych zostało pomyślnie zakończonych przy znacznie mniejszej ilości materiału dowodowego niż ten, który znajduje się w polskich rękach od ponad dekady. W dodatku, wbrew złym warunkom organizacyjnym w podkomisji, kilku jej członków dysponuje przełomowymi, bardzo precyzyjnymi ustaleniami, które mogłyby stanowić część raportu końcowego podkomisji, przydatną prokuraturze i sądom, zarówno w Polsce, jak i za granicą.

Podkomisja – w przeciwieństwie do badania prokuratorów – nie powinna wskazywać winnych. Ma jednak obowiązek przeprowadzić własne, niezależne od prokuratury, szczegółowe śledztwo w każdym obszarze prowadzącym do wyjaśnienia przyczyn katastrofy. Dzięki badaniu „bez wskazania winnych" zainteresowane strony mogą się swobodnie wypowiadać, bez obawy o konsekwencje prawne. I to jest jeden z powodów, dla których tego działania nie można scedować na prokuratorów.

Rzuca się jednak w oczy ogromna różnica między metodą i podejściem holenderskiej Rady Bezpieczeństwa a tym, co Antoni Macierewicz zrobił w ciągu ostatnich pięciu lat i nadal robi ze sprawą smoleńską:

- Zignorowano ogólnie przyjęte w świecie standardy do badania katastrof, zawarte w „protokołach śledczych" ICAO. W tym, jak ustanowić zespół badaczy i przeprowadzić odpowiednie dochodzenie, jak udokumentować dowody, jak powinny wyglądać proces badawczy i ustalenia, by były one uznane w dalszym postępowaniu przed instytucjami międzynarodowymi. Niezastosowanie tych dobrych praktyk ma zasadniczy wpływ na efekt pracy.
- Nie wyznaczono kompetentnego śledczego nadzorującego badania przez cały czas trwania śledztwa.
- Żaden ogólny plan mówiący o tym, jak przeprowadzić i zakończyć dochodzenie, nie został opracowany i przedstawiony zespołowi.
- Jedenaście lat mija bez udzielania krewnym ofiar lub innym podmiotom miarodajnych odpowiedzi na ich pytania, co pozwoliłoby im uwolnić się od niepokoju i spekulacji. Pięć lat, odkąd Antoni Macierewicz ma wszystko w swoich rękach, by do tego doprowadzić.
- Nie zidentyfikowano wszystkich luk w zabezpieczeniach ani nie sformułowano zaleceń działań naprawczych, co powoduje, że praca jest niekompletna i jest otwartym zaproszeniem do powtórzenia takiej tragedii w przyszłości.
- Nie podjęto wysiłków, aby dogłębnie zbadać i udokumentować rolę wielu instytucji i osób decyzyjnych w następujących kwestiach: obniżenia poziomu bezpieczeństwa prezydenta RP, przygotowania wizyty, przygotowania remontu Tu-154M w Federacji Rosyjskiej, pierwszego śledztwa po tragedii, decyzji dotyczących podstaw prawnych śledztwa i przekazania dostępu do dowodów w ręce Rosjan, działań podjętych po tragedii, w tym wojska, MSZ, SWW, SKW i in. Podkomisja nigdy dogłębnie nie zbadała roli ówczesnego premiera Donalda Tuska ani jego kancelarii w świetle śmierci prezydenta RP na terenie Federacji Rosyjskiej.

Fot. Fratria

eprasa.pl 579f46c997

Tu nie wystarczy na przykład ustalić, że „obniżono poziom bezpieczeństwa wizyty prezydenta" czy też że „Tusk przekazał śledztwo Rosjanom", i skierować sprawę do prokuratury, kiedy w grę wchodzi możliwość popełnienia przestępstwa. Należy dogłębnie zbadać samemu okoliczności i przyczyny tych faktów. A mając do czynienia potencjalnie z działalnością przestępczą, ustalić także, jak to było możliwe, że nikt temu nie zapobiegł. Aby zalecić potrzebne zmiany, należy w pełni zbadać i zrozumieć podstawowe problemy. Podkomisja powinna była samodzielnie zbadać proces decyzyjny, w którym nastąpiło obniżenie poziomu bezpieczeństwa wizyty prezydenta i przekazanie śledztwa Rosjanom, wyciągnąć wnioski i sformułować konkretne zalecenia. Dotyczy to wszystkich innych procesów decyzyjnych, które mogły przyczynić się do katastrofy.

Antoni Macierewicz nie zaplanował zasobów ludzkich do przesłuchiwania świadków, a kiedy jeden z oddanych członków zespołu podjął się tego zadania, przewodniczący nakazał wstrzymanie wszystkich przesłuchań, gdy śledztwo przewidywało przesłuchiwanie osób wyższych rangą. To decyzja niezrozumiała, szkodliwa i powinna zostać cofnięta. Zwłaszcza że dochodzenie w sprawie wypadku dotyczy nie tylko ustalenia tego, co wydarzyło się w przeszłości, lecz również wskazania odpowiednich zaleceń na przyszłość.

- Nie przyjęto, w przeciwieństwie do deklaracji przewodniczącego, żadnego systematycznego podejścia opisanego przez odpowiednie standardy badawcze (takie jak określone choćby w załączniku 13. do konwencji chicagowskiej) w celu zebrania wszystkich istotnych hipotez w śledztwie i próby wykluczenia błędnych hipotez na podstawie dowodów. Nie czyniąc tego, Antoni Macierewicz nadal podsyca spekulacje, zamiast zapewnić wymaganą jasność i pewność.
- Nieprofesjonalne działanie doprowadziło do utraty ekspertów międzynarodowych, jedynych śledczych z doświadczeniem i aktualną wiedzą w zakresie badania wypadków. Jest to kolejne wyraźne naruszenie procedur ICAO.
- Niestety, proces sprawdzania (walidacji) modelu Tu-154M, który prawie ukończyłem wspólnie z amerykańskim instytutem NIAR, został zatrzymany przez Antoniego Macierewicza we wrześniu 2019 r., zaledwie trzy tygodnie przed ukończeniem prac. W najgorszym przypadku, wystąpienia poważnych błędów, trzeba by powtórzyć dużą liczbę wielomiesięcznych obliczeń po wprowadzeniu poprawek do modelu. O niekorzystnych konsekwencjach wstrzymania procesu walidacji Antoni Macierewicz został uprzedzony pisemnie w 2019 r.
- Połowiczne i niezweryfikowane wyniki badań są na bieżąco podawane do publicznej wiadomości przez przewodniczącego lub na jego polecenie, a błędne komunikaty do opinii publicznej i filmy, wymagające sprostowań i korekt, podważają wiarygodność podkomisji.
- Ustalenia i wnioski są oceniane nie przez niezależny komitet wybrany przez śledczego prowadzącego, jak w przypadku badania MH17, ale często przez samego Antoniego Macierewicza, który publikuje w mediach swoje osobiste poglądy zmieszane czasem z wieloma bardzo dobrymi i ważnymi ustaleniami garstki utalentowanych członków podkomisji. Dodam, że nie chodzi tutaj o cenzurę, ale weryfikację badawczą przez kompetentne ciało, grupę powołaną przez samego śledczego prowadzącego po to, żeby przed opublikowaniem badań wyniki zostały zweryfikowane i by się upewnić co do ich prawidłowości. A także zagwarantować właściwe zrozumienie komunikatu w szerokim odbiorze społecznym.
- Zamiast maksymalizować międzynarodowe uznanie śledztwa, postępowanie Antoniego Macierewicza powoduje, że nawet dobre i solidne ustalenia członków komisji będą mieć problem z wartością dowodową. Przez cały okres postępowania nie został utworzony właściwy dziennik dowodowy.
- Chaos wygenerowany przez Antoniego Macierewicza grozi sytuacją, że będziemy mieć do czynienia nie z jednym raportem, ale z dwoma albo nawet większą liczbą raportów wygenerowanych w kierowanej przez niego podkomisji, z których każdy idzie w innym kierunku, a w sumie wykluczają się one nawzajem. A w tej sprawie bardzo ważne jest, żeby stanowisko państwa polskiego było jednolite. Jeśli Antoni Macierewicz doprowadzi do opublikowania sprzecznych raportów, będzie to dowodem porażki. Wznieci to dodatkowy chaos informacyjny.

Próba przedstawienia podniesionych problemów jako konfliktu personalnego z Antonim Macierewicem, po pięciu latach jego pełnej władzy w podkomisji, kiedy jesteśmy daleko od zakończenia prac, jest całkowitym niezrozumieniem bardzo poważnej kwestii. Sprawa smoleńska jest zbyt ważna dla rodzin ofiar, Polski i społeczności międzynarodowej i nie wolno pozwolić, by sprawy osobiste grały tutaj jakąkolwiek rolę.

CO MAMY?

Można to porównać do wybudowanego domu, z częściowym brakiem fundamentów, dobrze pomalowanym, z nie wszystkimi, ale solidnymi ścianami nośnymi. Jego niesystematyczna budowa (bez planu architektonicznego, który zapewniałby, że żadne ważne elementy konstrukcyjne nie zostaną pominięte) zabrała kilka razy więcej czasu, niż powinna, a efekt końcowy to konstrukcja z dużymi lukami. Po pięciu latach w niektórych dziedzinach jesteśmy w punkcie wyjścia.

Jednocześnie nieprawdą jest, że podkomisja nic nie wyjaśniła, jak niektórzy próbują przedstawić, wbrew dowodom wyśmiewając najbardziej uprawdopodobnioną wersję wydarzeń. Mamy niektóre ważne filary badania, takie jak np. prace amerykańskiego instytutu NIAR, ale trzeba załatać dziury, by „dom" był stabilny i zapewnił bezpieczeństwo mieszkańcom.

Mamy dowody: dziesiątki tysięcy zdjęć i ujęć z miejsca katastrofy i składowania wraku, z różnych źródeł, dokumentujące te same obiekty pod różnym kątem, weryfikujące się nawzajem. Mamy „prawie" zweryfikowany model cyfrowy samolotu i niektóre symulacje uderzenia samolotu w ziemię, a także uderzenia skrzydła o brzozę. Mamy wirtualną rekonstrukcję kluczowych partii wraku. Znamy konstrukcję tupolewa.

eprasa.pl 579f46c997

Jeden z członków podkomisji, z własnej inicjatywy, podjął się wykonania wirtualnej rekonstrukcji wraku, pracy tytanicznej na niezwykłym poziomie precyzji.

Jest też raport techniczny. W marcu 2018 r. podkomisja była pod wielką presją sugestii, że zostanie zamknięta, jeśli nie dostarczy na kwietniową rocznicę raportu. Jednocześnie stało się oczywiste dla kilku członków podkomisji, że Antoni Macierewicz, mimo obietnic i cotygodniowych spotkań podkomisji, przez kolejne miesiące nie jest w stanie dostarczyć odpowiedniego raportu wstępnego, który musiał się ukazać około 10 kwietnia 2018 r.

Istniał już wtedy ponad 200-stronicowy raport sporządzony przez Marka Dąbrowskiego i jego grupę, nominowaną przez Antoniego Macierewicza, który jednak przedstawiał wnioski w sposób niezgodny z dowodami i w sprzeczności z ustaleniami innych członków podkomisji.

Prof. Witakowski, prof. Binienda i ja omawialiśmy tę sytuację na spotkaniu kryzysowym na początku marca w Warszawie. W wyniku tego postanowiłem wziąć na siebie odpowiedzialność za sporządzenie „Raportu technicznego 2018" w języku angielskim, zgodnie z wiedzą zdobytą podczas studiów na Uniwersytecie Cranfield w zakresie wypadków lotniczych i bezpieczeństwa oraz na podstawie materiałów z konferencji smoleńskich, a także odkryć wszystkich członków podkomisji.

Raport techniczny skupiał się na wyliczeniu ważnych dowodów, które zostały zaniedbane przez poprzednich rosyjskich i polskich śledczych. W intencji prof. Biniendy, prof. Witakowskiego i mojej chcieliśmy zagwarantować, aby ta wiedza nie została utracona w przypadku zamknięcia podkomisji, a także by przekazać prokuratorom do uwzględnienia wiele faktów w toczącym się śledztwie i w końcu zapewnić międzynarodowe uznanie dla tych ustaleń.

Po przeprowadzeniu redakcji zleciłem na własny koszt przetłumaczenie na język polski wersji roboczej raportu, który stał się dokumentem roboczym podkomisji od 23 marca. Dodając odpowiednie odniesienia i dokumentację od wszystkich członków zespołu, dokument stał się podstawą raportu technicznego.

Po dwóch tygodniach zespołowej pracy wszystkich kolegów i dwukrotnej poprawie wciąż tych samych błędów wprowadzanych do redakcji raportu przez sekretarza podkomisji nastąpiła finalna narada. Po całonocnej pracy podkomisja osiągnęła konsens. Następnie, tuż przed publikacją, przewodniczący poczynił niewielkie zmiany w raporcie, co zniszczyło z trudem uzyskany konsens i dało pretekst części członkom do wycofania swojej autoryzacji.

Moim zdaniem „Raport techniczny 2018" to bardzo ważny dokument i duży krok we właściwym kierunku. Oprócz wspomnianego wcześniej ważnego uzupełnienia dokumentacji przez innych członków zespołu, uwag proceduralnych forsowanych przez przewodniczącego oraz po usunięciu niektórych fragmentów w celu uzyskania konsensu w podkomisji ostateczna wersja jest bliska draftowi sporządzonej przeze mnie wstępnej wersji roboczej, która istnieje do dziś.

Staraliśmy się, aby raport techniczny miał wartość prawną, był sporządzony w standardzie zrozumiałym dla społeczności międzynarodowej i dla specjalistów. Jednak jeden problem pozostał: materiał przekazany podkomisji Antoniego Macierewicza nigdy nie został prawidłowo opublikowany w dzienniku dowodowym.

JAK POMYŚLNIE ZAKOŃCZYĆ ŚLEDZTWO? CO DALEJ PO OPUBLIKOWANIU OPRACOWANIA PODKOMISJI 10 KWIETNIA 2021?

Krok 1. Wymiana na kompetentnego przewodniczącego

To jest warunek konieczny dobrze poprowadzonego śledztwa. Kluczowe jest dobranie nowej osoby, która oprócz woli dojścia do prawdy miałaby kompetencje. Bo trzeba ruszyć do przodu, szanując czas, którego mamy bardzo niewiele, nie niszcząc tego, co dobre.

Przewodniczącym komisji badawczej, mającej na celu ustalenie prawdy, nie może być osoba znana z częstego niedotrzymywania słowa, najoględniej mówiąc, co szybko zraża poważnych partnerów. Aby rany w polskim społeczeństwie się zagoiły, wynik musi być uznany za obiektywny i bezstronny przez zdecydowaną większość obywateli, a nie tylko przez zwolenników polityka Antoniego Macierewicza, wielu szlachetnych patriotów, ludzi o dobrych sercach. Jestem przekonany, że przy rzetelnej pracy, zgodnej z opisanymi standardami, jest to absolutnie możliwe i jest to obowiązkiem każdego odpowiedzialnego rządu.

Nowa osoba przewodniczącego, oprócz wymaganej wiarygodności, powinna posiadać odpowiednią, aktualną wiedzę merytoryczną i naukową, by prowadzić i sfinalizować badanie tego rozmiaru. Proponuję prof. Wiesława Biniendę jako jedną z osób, która spełnia takie kryteria.

Krok 2. Postępowanie zgodnie z wytycznymi ICAO

Postępując zgodnie z wytycznymi ICAO, należy podjąć wysiłki w celu stworzenia wymaganego dziennika dowodów. Jest to nie tylko konieczne z wymienionych względów prawnych. Dziennik jest również niezbędnym narzędziem, które pozwala się upewnić, że wszyscy śledczy mają równą wiedzę o materiale dowodowym, oraz zapewnić, by ważne dowody nie zostały pominięte, jak to się działo w przypadku badania komisji MAK i dochodzenia komisji Jerzego Millera. Jest to kluczowe również w przypadku współpracy z międzynarodowymi ekspertami.

Krok 3. Podejście systemowe

Istotne jest, aby przeprowadzić weryfikacje modelowe (walidację) fragmentów modelu Tu-154M, które rozpocząłem we współpracy z NIAR, a które zostały wstrzymane przez Antoniego Macierewicza w 2019 r.

Wszystkie rzetelne badania przeprowadzone przez wiodących członków zespołu powinny zostać zebrane i odniesione do materiału dowodowego. Każde z tych badań można traktować jako potencjalnie znaczące elementy całościowego obrazu.

W systemowy i konsekwentny sposób, przy użyciu klasycznych metod badawczych, musimy sporządzić „mapę drogową", która zebrałaby i uporządkowała wszystkie istotne

eprasa.pl 579f46c997

fakty, informacje, zweryfikowane badania, podejrzenia i teorie przedstawione w przeszłości, a także odkryte w trakcie prac badawczych.

Nakładanie na siebie potwierdzonych fragmentów tego obrazu ujawni ważne obszary, które wymagają dalszych działań (luki w obecnym śledztwie). W zależności od ich charakteru może to wymagać dodatkowych badań i eksperymentów. W przeciwieństwie do nauki, która może się oprzeć na jednym wyprowadzeniu dowodu, wiarygodne śledztwo opiera się na dodatkowych „warstwach" ustaleń w celu wielokrotnego potwierdzenia.

Jednym z ważnych badań byłoby przeprowadzenie symulacji skutków eksplozji w kadłubie. Byłaby to kontynuacja bardzo ważnej pracy, która z niewyjaśnionych przyczyn, wobec protestów kilku członków podkomisji, została wstrzymana przez przewodniczącego w 2019 r. Skoro (prawie) mamy już tak precyzyjny model cyfrowy tupolewa, nieprzeprowadzenie tych ważnych badań byłoby niezrozumiałe. Wszystkie nasze symulacje zachowania samolotu odnoszą się do udowodnienia, „jak nie było", pomijając pytanie i potwierdzenie, „jak było".

> Próba przedstawienia podniesionych przeze mnie problemów jako konfliktu personalnego z Antonim Macierewiczem jest całkowitym niezrozumieniem bardzo poważnej kwestii

Krok 4. Przywrócić zniszczone relacje

Niezbędne jest przywrócenie dobrych relacji z prokuratorami, NIAR i innymi ekspertami zewnętrznymi. Wiarygodni partnerzy o dobrych intencjach mogą pomóc w określeniu istoty ustaleń sporządzonych przez zespół dochodzeniowy poprzez zorganizowaną krytykę lub profesjonalne badania. Dotyczy to także światowej klasy ekspertów z poszczególnych dziedzin gotowych pomóc w badaniu, z którymi nigdy nie nawiązano odpowiedniej współpracy.

Krok 5. Raport – udokumentowanie badania zgodnie z międzynarodowymi standardami

Zgodnie z opracowanym przeze mnie planem projektu uważam, że przy całkowitej zmianie podejścia, dobrej organizacji i pracy zespołowej, postępując według wytycznych ICAO, większość wymaganych prac można zakończyć i udokumentować zgodnie z międzynarodowymi standardami w ciągu 19 miesięcy, mając przy tym dobre, kompetentne kierownictwo i realistyczny budżet.

Plan ten jest oparty na mojej praktycznej wiedzy jako badacza wypadków lotniczych i bezpieczeństwa, ośmioletniej intensywnej pracy nad sprawą, 35-letnim doświadczeniu w planowaniu projektów oraz wiedzy wynikającej z szeroko zakrojonych prac dotyczących przypadku katastrofy smoleńskiej, z których wiele zainicjowanych zostało z sukcesem już podczas konferencji smoleńskich zorganizowanych przez prof. Witakowskiego i kontynuowanych przez utalentowanych członków podkomisji.

TRZY DROGI

Bardzo chciałbym, by wbrew opisanym okolicznościom raport podkomisji był jak najlepszy. 10 kwietnia 2021 r. po upublicznieniu zapowiadanego raportu końcowego i po pokazaniu materiału filmowego – miejmy nadzieję ze skorygowanymi błędami – w mojej ocenie państwo polskie ma trzy możliwości:

1. Pozwolić Antoniemu Macierewiczowi na kontynuowanie przez kolejne miesiące i lata jego pracy w stylu blogera, której efektem są opracowania i filmy raczej bez uznania międzynarodowego i wartości prawnej, co uniemożliwia podjęcie śledztwa kryminalistycznego, mnoży niepewność i podejrzenia, przekonuje głównie tych, którzy już są przekonani.

2. Zamknąć dochodzenie z „zadowoleniem" z obecnego poziomu pracy podkomisji, akceptując to, że brakuje badań wielu obszarów, wyniki nie mają wymaganej wartości prawnej, nie zawierają istotnych zaleceń i prawdopodobnie nigdy nie uzyskają wymaganego międzynarodowego uznania, głównie z powodu braku systematycznego podejścia oraz braku zgodności z uznanymi standardami. Tym samym państwo nie wypełni swoich obowiązków, nie wykorzysta okazji do zwiększenia własnego bezpieczeństwa, a także pozostawi naród w stanie niepewności i kłótni, podobnie jakby to się stało w opisanym powyżej punkcie 1.

3. Docenić wiele dobrych osiągnięć Antoniego Macierewicza i innych osób, okazując im szacunek i odpowiednio je nagradzając. Jednocześnie uznać, że stojące przed nami zadanie wymaga nowego przewodniczącego i systematycznego podejścia. Z kompetentnym przewodniczącym (powodzenie przedsięwzięcia zależy od tego, kto nim zostanie), z ekipą, która zapewni sprawność i skuteczność działania, ukończyć i udokumentować dochodzenie zgodnie z międzynarodowymi standardami, w sposób naukowy, profesjonalny, rzetelny i odnoszący się do zarejestrowanych dowodów. A następnie dostarczyć wiarygodnych odpowiedzi i zaleceń, jak uniknąć takiej tragedii w przyszłości, jak zapewnić bezpieczeństwo państwu. Jestem przekonany, że to jedyna szansa na wyciszenie emocji i zabliźnienie ran.

Niestety, czas gra tutaj na niekorzyść Polski. Im dłużej tylko mówimy, a nie w pełni udowadniamy przyczyny tragedii, tym lepiej dla tych, którzy chcą uniknąć konsekwencji i preferują utrzymanie dziur w polskim systemie bezpieczeństwa. Zdecydowanie apeluję o prawidłowe przeprowadzenie badań i przywrócenie Polsce bezpieczeństwa – rozwiązanie tych problemów opisane jest w punkcie trzecim. Za parę lat może zabraknąć woli politycznej, a dokończenie badania katastrofy smoleńskiej może zostać pogrzebane na długie lata.

Glenn Jorgensen

eprasa.pl 579f46c997

Kiedy to się skończy?

Trzecia fala pandemii dosłownie przykryła Polskę. Jak na razie potwierdzają się przypuszczenia pesymistów, że będzie ona gorsza od tej, z którą zmagaliśmy się jesienią. I choć przy obecnej liczbie zakażeń i zgonów wydaje się to trudne do uwierzenia, to już w maju sytuacja może się wyraźnie poprawić. Oczywiście pod kilkoma warunkami

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Po raz kolejny zaraza okazała się bardzo podstępna. O ile jeszcze w styczniu Polska notowała dziennie po ok. 6 tys. zakażeń, o tyle w czwartym tygodniu marca liczba ta podskoczyła pięciokrotnie – bijąc rekordy z jesieni i przekraczając 30 tys. zarejestrowanych przypadków na dobę. Te liczby doskonale ilustrują szybkość transmisji wirusa i jego nieprzewidywalność. Trzecia fala pandemii, która zaczęła wzbierać w lutym, zdecydowanie przyspieszyła na początku marca i w ciągu kolejnych tygodni dosłownie przykryła Polskę.

Jest kilka przyczyn tego gwałtownego wzrostu. Przede wszystkim aktywność brytyjskiego wariantu koronawirusa – znacznie bardziej zakaźnego i zjadliwego – który w grudniu uruchomił trzecią falę w Wielkiej Brytanii, podnosząc tam w ciągu miesiąca liczbę dziennych zakażeń aż do 50 tys. Wariant ten stopniowo rozpowszechnił się w Europie i dotarł również do Polski. Jednak nieprawdą jest rozpowszechnione twierdzenie, że przed wysoką falą zakażeń mogło nas uchronić zamknięcie granicy dla Polaków przyjeżdżających z Wielkiej Brytanii na święta Bożego Narodzenia. Brytyjska odmiana koronawirusa jest bowiem obecna na całym kontynencie, przykładowo we Włoszech odpowiada za 80 proc. wszystkich zakażeń, zatem zamknięcie granicy i tak w niczym by nie pomogło. Drugą przyczyną wzrostu obecnych zakażeń jest sprzyjająca koronawirusowi wczesnowiosenna pogoda, a ostatnią – choć wcale nie najmniej ważną – zmęczenie pandemią i dość powszechne lekceważenie restrykcji.

NOWE DROGI TRANSMISJI

Oczywiście nie można twierdzić, że jesienna fala pandemii, której rezultatem był milion zarejestrowanych zakażeń, zupełnie niczego nas nie nauczyła. Tym razem, pomimo spowolnienia pandemii na przełomie roku, nie zdecydowano się na pełne otwarcie handlu oraz szkół, które bodaj w największym stopniu rozpędziły poprzednią falę.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock

eprasa.pl 579f46c997

Dodatkowo rozpoczął się program szczepień, a zatem mogło się wydawać, że sytuacja – choć ciągle trudna – znajduje się pod kontrolą.

Stało się jednak inaczej, wirus znalazł sobie bowiem nowe drogi transmisji, przede wszystkim poprzez zakłady pracy. Niektóre dane wskazują, że dochodzi w nich do 50 proc. obecnych zakażeń. Jak wynika z modeli matematycznych, to właśnie firmy, biura, gdzie po kilka godzin przebywa ze sobą wiele osób, stały się dziś nowym rozsadnikiem zarazy. Do rozsiania wirusa wystarczy przecież, że jeden z pracowników jest nosicielem. Tymczasem wiele osób z początku nie jest świadomych zakażenia, inne – choć słabiej się czują – lekceważą zagrożenie i rezygnują z testu lub zwolnienia, licząc na to, że złapały zwykłe przeziębienie. W ten sposób tworzy się łańcuch zakażenia, rozpoczynający się często w miejscu pracy, docierający stamtąd do domów, a potem – wraz z kolejnymi zakażonymi domownikami – rozprzestrzeniający się na następne firmy, urzędy i biura.

Ten typ transmisji jest tym łatwiejszy, im więcej jest wokół nas zakaźnego wariantu brytyjskiego. Wariant ten znacznie częściej atakuje też osoby młodsze, a więc aktywne zawodowo. Gdy zajrzymy do danych o strukturze wiekowej zakażeń z ostatnich trzech miesięcy, którą udostępnił niedawno minister zdrowia Adam Niedzielski, to zauważymy, że dominuje w niej grupa 30-latków.

BEZ PANIKI

Wobec rosnącej skali zakażeń największym problemem stała się wydolność ochrony zdrowia. W wielu miejscach zaczyna brakować łóżek, a liczba zajętych respiratorów jest niepokojąco wysoka. Jednak o ile łóżka można dostawić, a respiratory dokupić lub zorganizować nowe szpitale tymczasowe, o tyle nie da się z dnia na dzień znaleźć wykwalifikowanego personelu medycznego. I w tym tkwi dziś największy problem. Niektórzy twierdzą nawet, że zbliżamy się już do scenariusza włoskiego. Rok temu w Lombardii był tak wysoki dobowy przyrost chorych, że trzeba było dokonywać selekcji pacjentów. Miejmy nadzieję, że u nas aż tak źle nie będzie, choć trzeba zauważyć, że już dziś osoby zmagające się z chorobami przewlekłymi lub lżej chore mają – w najlepszym wypadku – mocno utrudniony dostęp do usług zdrowotnych, co również może mieć swoje ponure konsekwencje. Brakuje też karetek, na co wskazują apele, aby wzywać je tylko w przypadkach zagrożenia życia. Być może w innych krajach takie problemy spowodowałyby już poważne zawirowania, jednak my w Polsce doświadczyliśmy na przestrzeni dziejów tylu katastrof, że przyjmujemy to ciągle ze spokojem. I dobrze, bo panika i zamieszanie w niczym tu nie pomogą.

> W Wielkiej Brytanii zaszczepienie jednej czwartej mieszkańców zmniejszyło falę zakażeń niemal pięciokrotnie. Dlaczego więc w maju nie mogłoby się to powtórzyć w Polsce?

Zwłaszcza że ścieramy się z okolicznościami w dużym stopniu niezależnymi od ludzkiej woli. Trzecia fala uderzyła nie tylko w Polskę, z dużymi wzrostami zmaga się przecież cały region: Czechy, Węgry, Estonia, Ukraina, Niemcy. I niemal wszędzie ochrona zdrowia ma poważne problemy, bo nikt nie był przygotowany na takie przyrosty liczby chorych. Jasne jest jednak, że samym heroizmem nie powstrzyma się pandemii.

Niektórzy proponują więc kolejne obostrzenia, ale wiele więcej uczynić się już raczej nie da. Chyba żeby siłą pozamykać ludzi w domach. Godzina policyjna – bo o niej tu mowa – nie jest jednak najlepszym rozwiązaniem. Po pierwsze, nie będzie skuteczna z tego prostego powodu, że nie ma aż tylu policjantów, aby byli oni w stanie ją wyegzekwować, a lekceważone i nieefektywne przepisy są gorsze od ich braku, bo przyzwyczajają ludzi do tego, że prawo można łamać. Po drugie, wprowadzenie godziny policyjnej wymaga uchwalenia stosownej ustawy lub ogłoszenia stanu nadzwyczajnego i – co najważniejsze – uzyskania społecznej akceptacji na taki krok, a tej dziś w Polsce nie ma. Po trzecie wreszcie, pomimo pandemii ludzie muszą żyć, pracować i zarabiać pieniądze. Lepiej więc już wykorzystywać policję do pilnowania noszenia maseczek na ulicach niż do rozbijania gwarantowanych zadym z przeciwnikami ograniczania swobód.

Należy zatem poprzestać na dotychczasowych obostrzeniach, których zakres – w zależności od rozwoju sytuacji pandemicznej – może się oczywiście zmieniać. Ich efekty są dostrzegalne dopiero po dwóch, trzech tygodniach od wprowadzenia. I choć przy obecnej skali zakażeń wielkiego przełomu raczej nie należy się spodziewać, to są drobne przesłanki, aby stwierdzić, że dynamika wzrostu już nieco spadła. Przynajmniej w ostatnich dniach marca. Zwłaszcza że jednocześnie trwa akcja szczepień i stopniowo poprawia się pogoda. To daje nadzieję, że w ciągu najbliższych tygodni fala zakażeń rzeczywiście się spłaszczy i obniży.

BRYTYJCZYCY DALI PRZYKŁAD

Wiosenne obrazki z Wielkiej Brytanii w czytelniku z Polski mogą wzbudzać zazdrość. Kraj stopniowo budzi się do życia, choć jeszcze trzy miesiące temu zmagał się z ogromną i ciągle narastającą falą dobowych zakażeń. Dziennik „The Guardian" spekuluje nawet, że jeżeli nie pojawi się żadna nowa mutacja koronawirusa, to najdalej w drugiej połowie czerwca wszelkie restrykcje zostaną zniesione. Zobaczymy.

Brytyjczycy zawdzięczają swój dotychczasowy sukces w walce z pandemią nie tylko restrykcjom, lecz przede wszystkim bardzo wcześnie podjętej akcji szczepień. Wielka Brytania jako pierwsza dopuściła szczepionki do użytku i nie targując się zbytnio

eprasa.pl 579f46c997

o pieniądze, zapewniła sobie zawczasu odpowiednio duże dostawy. Jednocześnie zdecydowano, że należy podać pierwszą dawkę jak największej liczbie osób, a dopiero w dalszej kolejności doszczepiać je drugą. Szczepienia rozpoczęto 8 grudnia i do końca marca blisko 59 proc. obywateli było już zaszczepionych pierwszą dawką (dwiema dawkami – ponad 7 proc.). Taka strategia okazuje się – jak dotąd – skuteczna, bo liczba zakażeń spadła w ciągu ostatnich miesięcy z 50 tys. na dobę do poniżej 5 tys., a więc aż dziesięciokrotnie. Warto tu dodać, że Brytyjczycy, którzy zmagali się ze znaną nam mocno zakaźną odmianą koronawirusa, nie mieli oporów przed przyjmowaniem preparatu firmy AstraZeneca. Spośród ponad 30 mln osób zaszczepionych dotąd w Wielkiej Brytanii, aż 11 mln otrzymało zastrzyk AstryZeneki.

Innym przykładem sukcesu jest Izrael, który wystartował ze szczepieniami niespełna dwa tygodnie po Brytyjczykach. Pod koniec marca zaszczepiono tam obiema dawkami 54,8 proc. populacji (dane z 29 marca), co dało temu państwu drugą pozycję w świecie po Gibraltarze. Rezultaty też są już widoczne, wskaźnik reprodukcji wirusa (określający, ile osób zostaje zakażonych przez jednego nosiciela) wyniósł w Izraelu zaledwie 0,55, co – krótko mówiąc – oznacza, że zaraza zaczyna tam powoli zanikać.

Kiedy będziemy mogli powiedzieć to samo w Polsce? Jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie, pierwsze widoczne oznaki poprawy sytuacji powinniśmy dostrzec w maju. Oczywiście pod pewnymi warunkami.

ODPORNOŚĆ ROŚNIE

Pierwszym i podstawowym warunkiem – jak wskazują na to przykłady brytyjski i izraelski – jest niezakłócona, sprawna akcja szczepień. Od chwili ich rozpoczęcia do końca marca udało się wykonać wstępny plan rządu i pomimo trudności z dostawami preparatów zaszczepić w Polsce 6 mln osób (z czego ponad 2 mln obiema dawkami). Warto przy tym zauważyć, że według danych opracowanych przez naukowców z Oksfordu i publikowanych w zestawieniu Our World in Data, tempo szczepień w Polsce przyspiesza i pod koniec marca było nieco wyższe, niż wynosiła średnia unijna.

Dotąd łączna liczba zaszczepionych (jedną oraz dwiema dawkami) przyrastała co miesiąc o 2 mln osób. Gotowość zaszczepienia się zadeklarowała nieco ponad połowa dorosłej populacji, czyli ok. 16 mln osób. Gdyby więc udało się utrzymać dotychczasową dynamikę, to ogłoszony w ubiegły wtorek rządowy plan zaszczepienia wszystkich chętnych do końca sierpnia wydaje się całkiem realny.

Czy wystarczy to do osiągnięcia odporności zbiorowej i cofnięcia pandemii? 50 proc. zaszczepionych to trochę za mało. O odporności zbiorowej można bowiem mówić od 60 proc. całej populacji, a według niektórych naukowców – dopiero od 80 proc. Jednak do liczby zaszczepionych należy jeszcze dorzucić ozdrowieńców, dziś to ponad 2 mln osób, ale ta liczba z pewnością będzie się powiększać. Przy założeniu, że połowa zakażonych osób nie wykonuje testów na koronawirusa, liczbę 2,5 mln należy pomnożyć przynajmniej przez 2. A zatem pod koniec sierpnia możemy mieć w Polsce minimum 21 mln osób posiadających przeciwciała (to wprawdzie ok. 55 proc. całej populacji, ale już ponad 65 proc. wszystkich osób dorosłych w Polsce). To powinno wystarczyć, aby przynajmniej zatrzymać kolejne fale pandemii i jeśli wcześniej nie dojdzie do groźnego zmutowania wirusa, wrócić jesienią do w miarę normalnego życia. Oczywiście pod warunkiem że wcześniej nie dojdzie do kompletnego rozprężenia i powszechnego lekceważenia rygorów sanitarnych.

> Pod koniec sierpnia możemy mieć w Polsce minimum 21 mln osób posiadających przeciwciała. To powinno wystarczyć, aby zatrzymać kolejne fale pandemii i wrócić do w miarę normalnego życia

OSWOJENIE KORONAWIRUSA

Pierwsze oznaki poprawy możemy zresztą dostrzec już w maju, gdy liczba zaszczepionych wraz z ozdrowieńcami przekroczy 10 mln osób, a więc ponad jedną czwartą wszystkich (nie tylko dorosłych) mieszkańców Polski. W Wielkiej Brytanii zaszczepienie jednej czwartej mieszkańców obniżyło wskaźnik reprodukcji koronawirusa i zmniejszyło falę zakażeń niemal pięciokrotnie – z ponad 50 tys. przypadków na dobę do nieco powyżej 10 tys. Dlaczego więc nie mogłoby się to powtórzyć w Polsce, zwłaszcza że wyższa temperatura w maju nieco utrudni rozprzestrzenianie się koronawirusa i da całkiem realną nadzieję na trwałe zmniejszenie liczby zakażeń?

Ten optymistyczny scenariusz ziści się jednak tylko pod warunkiem, że nie będzie poważnych zakłóceń w dostawach szczepionek, a liczba chętnych do zaszczepienia utrzyma się przynajmniej na dotychczasowym poziomie. Oczywiście im więcej będzie chętnych, tym wzrośnie szansa na szybsze powstrzymanie zarazy. Wielu, a być może większość tych, którzy obawiają się szczepień, zapewne zetknie się w końcu z koronawirusem (oby bez powikłań) i złapie jakąś formę odporności. Tyle że niepotrzebnie wydłuży to pandemię w Polsce.

Jednak nawet gdy większość z nas osiągnie w końcu odporność, widmo pandemii całkiem nie zniknie. Nie wiemy bowiem, jak długo pozostaną w naszym organizmie przeciwciała chroniące przed ponownym zakażeniem. Być może więc COVID-19 zamieni się w coś w rodzaju nawiedzającej nas sezonowo grypy? Grypę zdołaliśmy jakoś oswoić, więc z koronawirusem może być podobnie. Zatem – pomimo zalewającej nas dzisiaj trzeciej fali – perspektywy na najbliższą przyszłość nie są już takie złe.

eprasa.pl 579f46c997

To, co po roku zarazy jest już dziś bezsprzeczne, to fakt, iż demokratyczne państwa nie sprostały nadzwyczajnej sytuacji, w jakiej nagle się znalazły. Niewykluczone, że od początku nie były w stanie tego zrobić

Państwo nie sprostało...

JAN ROKITA

Hiszpania, Francja, Włochy, Niemcy, Polska. Gdyby w tych pięciu kluczowych państwach Unii Europejskiej już dziś miały się odbyć wybory, niemal z pewnością w każdym z nich nastąpiłaby zmiana władzy.

PIĘĆ PRZYPADKÓW POLITYCZNEGO UWIĄDU

W Madrycie rosnącą przewagę nad socjalistycznym gabinetem Pedra Sáncheza zdobywa ostatnio ludowo-konserwatywna prawica. A dzieje się tak po części za sprawą odbudowy pozycji rozchwianej do niedawna skandalami korupcyjnymi starej Partii Ludowej, ale głównie przez rosnące poparcie (zaprzyjaźnionego z PiS) Vox, czyli nowej prawicy typu reaganowskiego – twardej światopoglądowo i liberalnej ekonomicznie. Emmanuel Macron co prawda utrzymuje ciągle niewielką względną przewagę nad Marine Le Pen, ale we Francji kruszy się właśnie system, który dotąd gwarantował w praktyce prezydenturę politykom mainstreamowym. Odchodzi bowiem w przeszłość – i to chyba definitywnie – zakorzeniona dotąd we francuskiej polityce reguła „Frontu Republikańskiego", wedle której w drugiej turze wyborów prezydenckich zarówno stara prawica, jak i lewica miały patriotyczny obowiązek wspierania się nawzajem, aby blokować w ten sposób możliwość wyboru kandydata nacjonalistów. Dziś jest już jasne, że wrogość wobec Macrona, zwłaszcza wśród socjalistycznych radykałów, poszła tak daleko, że dla usunięcia obecnego prezydenta lewica (a i część prawicy) skłonna jest zawrzeć pakt nawet z diabłem, co bardzo zbliża Marine Le Pen do zdobycia prezydentury.

W Rzymie, dla odłożenia za wszelką cenę nowych wyborów, centrolewica odwołała się do znanego tam konceptu „il governo ponte" (czyli „rządu pomostowego"), na którego czele stanął europejski bankier Mario Draghi. W tym gabinecie odstąpiono nawet kilka resortów (m.in. gospodarkę) prawicy, ale jest jasne, że tego rodzaju układanka jest przejściowa, a perspektywa wyborczego zwycięstwa duetu Salvini–Meloni (czyli Ligi i Braci Włochów) odłożona w czasie, ale niemal nieuchronna. I to pomimo że zwłaszcza Giorgia

Fot. Krystian Maj/KPRM

eprasa.pl 579f46c997

Meloni, była minister ds. młodzieży, jest przez europejskich postępowców bez zahamowań piętnowana jako „faszystka". Z kolei w Berlinie ostatnie miesiące rządów Angeli Merkel, przed wrześniowymi wyborami, upływają pod znakiem chaotycznej polityki i tąpnięcia wiarogodności tamtejszej chadecji. Co prawda CDU/CSU, mimo 10-proc. spadków sondażowych, ma nadal szansę na względne zwycięstwo wyborcze, jednak o nowym układzie władzy w Berlinie zdecydują raczej depczący chadecji po piętach Zieloni. Ci zaś mogą utrzymać chadeków u władzy za cenę jakichś ich wielkich ustępstw, ale prawdę mówiąc, mają znacznie większy interes w tym, aby utworzyć nowy lewicowy obóz rządowy, w którym zapewne to ich partii po raz pierwszy w dziejach Niemiec przypadłby urząd kanclerza.

No i Polska, w której PiS – tak jak chadecy niemieccy – ciągle zapewne wygrałoby wybory, ale już nie mogłoby marzyć o własnej sejmowej większości, pozwalającej na utrzymanie władzy. Średnia z badań opinii publicznej nie pozostawia bowiem wątpliwości, że w razie przedterminowych wyborów samotny lider nie miałby już tej miażdżącej przewagi nad podążającym daleko za nim wielopartyjnym peletonem, jak w latach 2015 i 2019, ale tym razem ów ścigający peleton czułby tuż za swoimi plecami.

Co prawda centrolewicowa opozycja jest wewnętrznie rozbita, jej poszczególne odłamy prowadzą grę na wzajemne wyniszczenie, a Platforma dodatkowo przechodzi nieustający kryzys przywództwa. Chodzi jednak o to, że wcale w nie lepszej kondycji znalazła się ostatnio również rządząca prawica. To zaś oznacza, że z perspektywy obywateli obraz chybotania się polityki krajowej i przewlekłego kryzysu w pierwszej kolejności dotyczy obozu władzy, na którym spoczywa ciężar rządzenia w warunkach zarazy. Jeśli na początku maja centrolewicy uda się wygrać prezydenturę Rzeszowa (gdzie ma wspólnego kandydata), to rozchwianie obozu władzy nieuchronnie powiększy się w efekcie rozrachunków co do winy i odpowiedzialności za porażkę. Przy obecnym morale Zjednoczonej Prawicy nie ma wątpliwości, że będą to rozrachunki publiczne.

ZARAZA INSTRUMENTEM W GRZE O WŁADZĘ

Te pięć przypadków politycznego uwiądu formacji rządzących w kluczowych państwach Unii łączy ta sama przyczyna tego stanu rzeczy. Jest nią oczywiście zaraza. A ściślej rzecz ujmując – rosnąca każdego dnia liczba spektakularnych dowodów na to, iż rządy utraciły zdolność oddziaływania na bieg i gwałtowność kolejnych uderzeń epidemii.

Jeszcze w ubiegłym roku można było optymistycznie zakładać, iż pomimo panującej w Europie biurokracji i anachronicznych procedur administracyjnych państwa będą jednak w stanie stępić eugeniczne ostrze zarazy i ochronić swoje społeczeństwa przed masowymi zgonami. Dziś już wiadomo, że taka moralna misja kompletnie przerosła zarówno demokratyczne rządy europejskie, jak i instytucje unijne. Wiosną 2020 r. lockdowny (zarządzane często na wątpliwych podstawach konstytucyjnych), połączone z masowym wybuchem strachu i nadzwyczajną dyscypliną społeczną, przyhamowały pierwsze uderzenie zarazy na Europę. Ale już parę miesięcy później miało się okazać, że demokratyczna polityka rychło wyczerpuje swój potencjał.

Politycy przerazili się wizją załamania gospodarczego, rozruchów społecznych i utraty władzy. Zaczęli kluczyć, zmieniać decyzje, wygłaszać niespójne poglądy, ogłaszać wielkie strategie walki z wirusem, do których zaraz potem przestawali się stosować. Zbyt często nie byli zdolni wyzbyć się nawyku nieustannego uprawiania propagandy. Dość szybko prysła także nadzieja na ponadpartyjną i ponadnarodową solidarność w obliczu katastrofy sanitarnej. Polityka wewnątrzkrajowa pogrążyła się w zaciekłych walkach międzypartyjnych, w których zaraza stała się instrumentem w grze o władzę. Reszty dopełniła nieudolność instytucji unijnych, które nie chcąc tego, podsyciły niechęć i rywalizację państw poprzez „wojnę szczepionkową". W efekcie od niejakiego czasu możemy obserwować niekończące się pasmo niedecyzyjności albo pomyłek decyzyjnych, irracjonalnych deklaracji i zarządzeń oraz Deus ex machina wprowadzanych i tak samo odwoływanych restrykcji. I to w wydaniu czołowych mężów stanu współczesnej Europy.

Prezydent Francji jest tu modelowym przykładem. Najpierw wymusił na Komisji Europejskiej, aby ta zostawiła rynkową lukę dla szczepionki francuskiej, która już, już miała się pojawić, ale nigdy się nie pojawiła. Potem zachęcał do używania preparatów antymalarycznych, co francuskie służby medyczne zdezawuowały. Zniechęcał do brytyjskiej

eprasa.pl 579f46c997

szczepionki, którą następnie Francja wprowadziła do użytku. Prezydent argumentował więc, że lepiej nie podawać jej ludziom starszym, po czym zdecydowano na odwrót – aby podawać ją tylko starszym. Podobnie jak swego czasu polski minister zdrowia dezawuował używanie masek, by radykalnie zmienić zdanie i kazać policji karać za brak masek. W końcówce 2020 r. opowiadał się za odmrażaniem gospodarki, więc wprowadził w kraju godzinę policyjną, co skończyło się widoczną dziś porażką Francji w walce z zarazą. Macron cały czas coś zarządzał, coś komentował, do czegoś namawiał, po czym rychło się okazywało, że jego rady są kiepskie, zmienne, amatorskie. Jego ministrowie zaś odpowiedzialnością obarczali... Anglików, ponoć „szantażujących" Europę szczepionkami. Nie dziwota, że Francuzi musieli utracić wiarę, iż państwo wie, co robić, i robi to, co trzeba.

Macron jest może przypadkiem skrajnym, lecz nie stanowi jakiegoś wielkiego wyjątku. Od pewnego czasu obserwujemy bezwład decyzyjny państwa niemieckiego, co stoi w sprzeczności z naszymi tradycyjnymi wyobrażeniami na temat niemieckiej organizacji i porządku. Większość antyepidemicznych akcji ogłaszanych przez chadeckiego ministra zdrowia Jensa Spahna, od darmowych testów po aplikację ostrzegającą przed zakażeniem, okazywało się biurokratyczną porażką, gdyż państwo było zbyt mało wydolne, aby sprostać realizacji różnych ambitnych projektów. A już z prawdziwym zdumieniem mogliśmy ostatnio oglądać niemiecką komedię pomyłek w wydaniu samej pani kanclerz. W obliczu załamania się jako tako „bezpiecznych" wskaźników zakażeń Merkel zarządziła na czas Wielkanocy „dodatkowe dni odpoczynku" (jak to propagandowo nazwano), po czym w ciągu jednej doby wycofała się ze swych zarządzeń, uznając je za niepotrzebne i... bezprawne (sic!). Na domiar złego dzień później na antenie ARD próbowała obciążyć rządy niemieckich landów za brak efektów walki z zarazą. Niestety, u samego końca Merkel możemy oglądać najgorszą polityczną twarz wieloletniej przywódczyni państwa niemieckiego. Twarz polityka chwiejnego, wyczekującego i oportunistycznego, który obawia się podejmowania decyzji, jeśli tylko napotykają one na opór jakichś ważnych dla chadecji środowisk lub grup interesu. Tak właśnie charakteryzowała niegdyś kanclerz Gertruda Höhler w nieprzyjaznej dla Merkel jej biografii.

MASKOWANA BEZRADNOŚĆ PAŃSTWA

Niestety Polska na tym tle nie wygląda wcale lepiej, a pod pewnymi względami nawet gorzej. Słuchając krótko przed świętami kluczowej konferencji prasowej premiera, sam miałem bodaj po raz pierwszy tak silne wrażenie, że słyszę polityka odklejonego od realiów i dość bezradnego. W obliczu fiaska planu utrzymania pod kontrolą trzeciego ataku zarazy Morawiecki walczył z prywatnym sektorem medycznym w Polsce i atakował opozycję za... niegdysiejsze projekty komercjalizacji służby zdrowia. Deklarowana przez ministra zdrowia „sytuacja krytyczna" stoi w coraz większej sprzeczności z nachalną propagandą, iż „radzimy sobie świetnie" i jesteśmy lepsi od niemal wszystkich w Europie.

> Państwo polskie machnęło już dawno ręką na początkowe próby śledzenia ognisk zarazy i neutralizowania ich. Nie ma już ambicji dozorowania zakażonych, tak by nie stanowili oni zagrożenia dla ogółu

Marcowy, obiektywny, dziesięcioczynnikowy raport Bloomberga wskazuje Polskę jako jedno z państw, które radzą dziś sobie z zarazą najgorzej, obok Brazylii, Meksyku i Czech. Ta ocena nie jest sprzeczna z tym, na co wskazuje zdrowy rozsądek. Państwo polskie machnęło już dawno ręką na początkowe próby śledzenia ognisk zarazy i neutralizowania ich. Nie ma już ambicji dozorowania zakażonych, tak by nie stanowili oni zagrożenia dla ogółu. A co najważniejsze, państwo nie jest już w stanie ani prośbą, ani groźbą, uzyskać respektu obywateli dla własnych zarządzeń. Wszystko to okazało się dla państwa zbyt trudne, zbyt ambitne, wykraczające poza jego realny potencjał. Jedyne, co władza ciągle jeszcze może, to na gwałt inwestować w nowe łóżka szpitalne, aby coraz liczniejszych ciężko chorych i umierających nie zostawić własnemu losowi.

Jeśli wierzyć uczonym z Centrum Modelowania Matematycznego UW, którzy od roku pracują nad modelami obecnej epidemii, słabo przestrzegane restrykcje sanitarne, na gwałt znów nakładane przed Wielkanocą, dają szansę na obniżenie liczby tzw. nadmiarowych zgonów ze 155 tys. (które prognozowano wcześniej) do 120 tys. Jeśli taki ma być nieuchronny efekt trzeciego uderzenia zarazy w Polskę, oznacza to, że tyle właśnie polskich rodzin utraci swoich bliskich za sprawą koronawirusa. Przy czym medycy nie pozostawiają złudzeń: tym razem to już nie eugeniczny atak wirusa na starców (ci są w sporej części zaszczepieni), ale na całe społeczeństwo. Narodowa żałoba, jaka pozostanie po tych ofiarach w tak wielu rodzinach, z pewnością nie będzie bez wpływu na przyszłą politykę.

Nie ma dziś większego sensu roztrząsanie, czy bezradność państwa polskiego wobec tej sytuacji jest trochę większa, czy być może taka sama jak bogatych i ponoć świetnie zorganizowanych wielkich demokracji europejskich. Ton bezradności przebija obecnie jednako z małostkowych prób przerzucania odpowiedzialności przez Macrona na Anglików, przez Merkel na rządy landów, przez Morawieckiego na winy Platformy. To, co po roku zarazy jest już dziś bezsprzeczne, to fakt, iż demokratyczne państwa nie sprostały nadzwyczajnej sytuacji, w jakiej nagle się znalazły. Niewykluczone, że od początku nie były w stanie tego zrobić.

Fot. MikeDotta/Shutterstock

eprasa.pl 579f46c997

Po zakończeniu kadencji prezydent Duda ma szansę na ONZ

Unia potraktowała negocjacje w sprawie szczepionek, jakby chodziło o orzeszki ziemne, aluminium, stal czy banany. Zlekceważono kluczowy dla obywateli temat. Tę różnicę zrozumiał Izrael, który płacił słono, bo wiedział, że chodzi o sprawę fundamentalną

Michał Karnowski rozmawia z Ryszardem Czarneckim, byłym wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego, europosłem wybranym z listy Prawa i Sprawiedliwości

Nie uderzyło pana, że gdy tylko zaczęła się pandemia, w ciągu kilkunastu dni wróciły granice w Europie, a ludzie zaczęli szukać pomocy i ratunku w państwach narodowych? Czy ten kryzys zmienił coś w myśleniu elit o Europie i państwach?

Ryszard Czarnecki: Pandemia trwa, nie można mówić o niej w czasie dokonanym. Dziś jedno jest pewne: mamy do czynienia z renesansem państw narodowych, co jednak wcale nie oznacza, że wszystkie one zdały egzamin.

Konkretnie?

Są państwa, takie jak kraje skandynawskie i Polska, które w mojej ocenie zdały ten trudny egzamin dobrze. Są takie, jak Włochy, Belgia i Hiszpania, które totalnie zawiodły wiosną zeszłego roku. Ale uwaga: Włosi potrafili wyciągnąć wnioski z porażki, z tego, iż stali się pośmiewiskiem świata i po roku odnotowali jeden z lepszych wyników, jeśli chodzi o liczbę szczepień w Europie. To możemy ocenić po tym roku – witalność, zdolność poprawy. Włosi poczuli, że znowu mają państwo.

Były też państwa, które rok temu brutalnie egzekwowały swoje interesy, choćby nie przepuszczając transportów masek do Włoch i Hiszpanii, jak Niemcy i Francja, pokazując przy okazji gest Kozakiewicza Komisji Europejskiej (KE), która błagała, by tego nie robili.

Zobaczyliśmy, kto rządzi?

Zobaczyliśmy, że w kryzysie państwa zachodnie, zwłaszcza duże, często natychmiast porzucają retorykę europejską. Ale los bywa przewrotny. Gdy dziś spojrzymy na statystyki zachorowań i liczbę zgonów w Unii Europejskiej, widzimy Francję na pierwszym miejscu.

Unia spóźniła się z reakcją?

Tak, ale to jeszcze nie byłoby najgorsze. W ocenie wielu komentatorów to było ośmieszenie się, bezradność i niezdolność okazania skutecznej pomocy państwom i społeczeństwom, które o nią błagały, jak Włochy czy Hiszpania. I to spowodowało polityczny paradoks, bo w tych krajach rządzą środowiska lewicowe, które po tym doświadczeniu mocno przesunęły się w kierunku eurosceptycyzmu. Co jeszcze ciekawsze, środowiska te wychwalają teraz Chiny, które wtedy im pomogły.

Zobaczymy jakieś konkretne skutki tego wahnięcia nastrojów?

Już widzimy. Skąd się wziął Fundusz Odbudowy, ten ocean pieniędzy, z którego zresztą Polska bardzo dużo weźmie, tyle ile Francja? To jest właśnie reakcja Brukseli, ale też Berlina i Paryża na rozczarowanie Unią w krajach członkowskich, próba zatrzymania windy eurosceptycyzmu, która ruszyła do góry także w państwach rządzonych przez lewicę. „Włochy, wyjdźmy ze strefy euro" – to hasło wybrzmiewa przecież od lat od szczytów po doły włoskiego społeczeństwa. Mówiła i mówi o tym główna formacja rządząca – Ruch Pięciu Gwiazd, i główna partia opozycyjna – Liga Mattea Salviniego.

Zgadza się pan z tezą, że gdyby Ursula von der Leyen nie była Niemką, straciłaby stanowisko?

W Brukseli zaczyna się mówić, że ta KE jest najbliżej drugiej w historii EWG-UE zbiorowej dymisji. Tak jak w 1999 r. spotkało to Komisję Jacques'a Santera, byłego premiera Luksemburga.

Wtedy powodem była afera korupcyjna.

Teraz afera jest szczepionkowa i podręcznikowa nieudolność w gardłowej dla Europejczyków sprawie. Wśród dyplomatów unijnych krąży teza o możliwym wariancie radykalnym, czyli dymisji – jeżeli kryzys z dostawami będzie się przedłużać. Tego przecież nie spowodowały krasnoludki – ktoś wynegocjował umowy

eprasa.pl 579f46c997

Fot. Andrzej Wiktor

z koncernami na warunkach gorszych niż USA czy Wielka Brytania.

Gdzie był błąd?

W rutynowym podejściu, jakby to były orzeszki ziemne, aluminium, stal czy banany. Tę różnicę zrozumiał Izrael, który płacił słono, ale w pełnym przekonaniu, że chodzi o sprawę fundamentalną dla życia i bezpieczeństwa narodu. Sprawa jest dla wspólnoty tym bardziej bolesna, że to Unia dotowała prace nad tymi szczepionkami!

Gdzie się podziały słynne niemieckie sprawność, organizacja, zdolność przewidywania?

W Polsce mało się mówi o tym, że Unia została wezwana do koordynacji całej „akcji szczepionka" przez Niemcy, Francję, Hiszpanię i Holandię. Berlin szybko wyciągnął wnioski i zaczął szukać możliwości samodzielnych zakupów, niechętnie jednak patrząc na takie same próby ze strony innych.

To nadal nie jest odpowiedź na pytanie o to, jak taką potęgę można było ograć w tak fundamentalnej sprawie?

Unia jest mistrzem negocjacji, czego doświadczyliśmy na własnej skórze w traktacie stowarzyszeniowym poprzedzającym nasze wejście do wspólnoty. Polska, Czechy, Słowacja i Węgry otworzyły swoje rynki poprzez „zerowe" cła już w roku 2000, a same uzyskały wzajemność dopiero w 2004 r. Towary z Zachodu mogły podbijać i kolonizować nasze rynki przez cztery lata. Błąd tkwi zatem nie w braku umiejętności negocjacji, lecz ewidentnie w zlekceważeniu tematu.

Na czym opiera pan wyrażone tutaj przekonanie, że Polska zdała egzamin z pandemii? W prasie dominuje krytycyzm, opozycja bije w rząd każdego dnia.

Na tym, że jako jedno z trzech pierwszych państw szybko zamknęliśmy granice, co wtedy ściągnęło na nas krytykę Ursuli von der Leyen. Gdy Niemcy zrobili to samo, już milczała. Reagowaliśmy szybko, z wyprzedzeniem. Zapewne popełniając błędy, bo każdy je popełnia. System ochrony zdrowia trzeszczy, bo wyzwanie jest ekstremalne, ale się nie zawalił. Każdy ma problemy, firmy też, ale bezrobocie nie wzrosło, a gospodarka radzi sobie dobrze. To są fakty.

A wysoka śmiertelność?

W tej „czarnej" tabeli jesteśmy w UE na piątym miejscu, czyli tak jak w tabeli ludnościowej. Zatem mamy do czynienia z katastrofą światową i kontynentalną – nie jest to polska specyfika. Choć oczywiście to żadne pocieszenie. Uważam, że na razie zdajemy ten egzamin jako państwo i społeczeństwo. Bo dramatyczna sytuacja we Włoszech, Hiszpanii czy Belgii miała swoje źródła w kompletnej beztrosce wielu ludzi.

Premier Mateusz Morawiecki właśnie ogłosił, że do końca sierpnia każdy chętny będzie się mógł zaszczepić. To buduje horyzont nadziei. Chcę wierzyć, że moment, w którym poczujemy, że ten ciężki czas się kończy, jest blisko.

W tym ciężkim czasie zwróciła moją uwagę bezwzględność, z jaką lewicowa większość Parlamentu Europejskiego naciskała na Polskę i Węgry w sprawach ideologicznych. Ludzie umierają, trwa dramatyczna walka, a tam w głowach tylko LGBT i reszta. Szaleństwo.

Wydawało się, że pandemia choć na chwilę wygeneruje inne priorytety. Taki jest przecież naturalny odruch człowieka – chronić bliskich, rodzinę, wspólnotę przed zagrożeniem. I tak się stało w państwach narodowych. Instytucje unijne, zwłaszcza PE, nie tylko jednak nie zwolniły, ale przyspieszyły. Ta ideologiczność wychodzi niemal na każdej sesji, pojawia się prawie zawsze co najmniej kilka takich tematów.

eprasa.pl 579f46c997

Pojawiają się żądania, by KE uruchomiła rozporządzenie o praworządności, mimo że w grudniu – po trudnym szczycie UE – zobowiązała się zawęzić jego stosowanie do nadużyć i zagrożeń finansowych. To się może udać?

Jeżeli poruszamy się na gruncie prawa – absolutnie nie, premierzy Polski i Węgier wmontowali w ten mechanizm bardzo mocne, skuteczne bezpieczniki. Ale pamiętajmy o przykładzie imigracji. Są traktaty, zasady, reguły przyjmowania migrantów, które w 2015 r. zostały po prostu wyrzucone do kosza. Albo sprawa ochrony życia – przed wejściem Polski do Unii wmawiano nam, że unijne prawo zostawia te sprawy, podobnie jak obyczajowe, wyłącznie gestii państw narodowych. I co? Dziś wywiera się presję, używając wytrycha rzekomych „wartości europejskich". Jako praktyk będę tu zatem bardzo czujny i innych do tego namawiam. Prawda jest taka, że polski rząd kupił czas. Świadomie.

Skąd taka zapiekłość Věry Jourovej w atakach na Polskę? Takie to bardzo wschodnie, służalcze.

Pani komisarz z Czech, moim zdaniem, robi wszystko, by odwrócić uwagę od swojego rządu, od premiera Andreja Babiša, który jest z tego samego co ona środowiska politycznego, a ma poważne problemy z organami kontrolnymi UE. Jednocześnie jest premierem i właścicielem wielkiego koncernu, który pełną garścią czerpie z unijnych pieniędzy załatwianych przez niego jako szefa rządu. Nie twierdzę, że mamy tam przestępstwo. Ale z perspektywy jej środowiska lepiej mówić o rzekomych problemach z praworządnością Polski czy Węgier, niż pozwolić, aby ten czeski konflikt interesów stał się gorącym tematem. I pani komisarz Jourová to czyni.

Unia nas wcześniej okłamywała czy się bardzo zmieniła?

I jedno, i drugie, ale to drugie chyba bardziej. Bez wątpienia wstępowaliśmy do innej Unii, szanującej różnorodność, tożsamość narodów, ich konstytucje i własne traktaty. Dziś jest inaczej.

Jak stawić temu czoła?

Odpowiem zapewne dla wielu czytelników zaskakująco – nadal bić się o swoje. Uważam, że Polska ma spore sukcesy w relacjach z Unią. Na tym unijnym boisku, grząskim i trudnym, gdy sędzia gwiżdże zazwyczaj przeciwko nam, wiele meczów można wygrać. Podpisane wielkie porozumienie finansowe jest dużym osiągnięciem, takich pieniędzy nigdy wcześniej nie otrzymaliśmy i już nie otrzymamy.

Dlaczego?

Powiedzmy to czytelnikom jasno: pod koniec tej dekady Polska zacznie dopłacać do Unii Europejskiej. Zapewne już w roku 2028 czy 2029 nasza składka członkowska będzie przewyższać to, co otrzymamy. Dołączymy do Niemiec, Holandii, Szwecji, Francji i innych krajów, które są sponsorami UE. Przewiduję wtedy znaczny wzrost nastrojów eurosceptycznych.

> Powiedzmy to czytelnikom jasno: pod koniec tej dekady Polska zacznie dopłacać do Unii Europejskiej. Zapewne już w roku 2028 czy 2029 nasza składka członkowska będzie przewyższać to, co otrzymamy

Inne polskie sukcesy w relacjach z UE?

Wygrywamy – i to regularnie – sprawy w Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Ostatnio dotyczącą podatku handlowego od wielkich sieci. Szkoda, że przez cztery lata sporu nie płaciły, nikt Polsce tych pieniędzy nie odda, ale dobre i to. Długo też broniliśmy się przed niekorzystną dla Polski polityką energetyczną, ale tu niestety presja rośnie, obcęgi się zaciskają i tworzy to realny problem. I tu ważna uwaga: nie uciszajmy tych, którzy o tym mówią, trzeba nazywać rzeczy po imieniu. Nie oskarżajmy też rządu, bo czasami w polityce trzeba wybierać. Chcieliśmy mieć sukces finansowy, to zapewne musieliśmy się zgodzić na wielkie wyzwanie energetyczne. Ogólnie uważam, że w relacjach z UE obrywamy głównie w wymiarze propagandowym, co nie jest miłe, ale nie przekłada się na razie na konkrety.

Czyli kary?

Nie tylko. Najwięcej mówimy o sporach ideologicznych, ale one bywają tylko tłem dla prawdziwego celu ataków, jakim jest ograniczenie konkurencyjności polskiej gospodarki. Nasi zachodni partnerzy już zapewne wiedzą, że nie jest możliwe cofnięcie nas do sytuacji, w której Polska była wyłącznie wielkim rynkiem zbytu i dostawcą taniej siły roboczej. Chcą zatem umieścić nad nami sufit, byśmy za bardzo nie urośli, chcą uderzyć w nasz najsłabszy z powodów historycznych element – brak kapitału. Dlatego to porozumienie finansowe ma tak wielką wagę, bo tego kapitału nam dostarcza. To najważniejsze, bo z resztą polscy przedsiębiorcy sobie poradzą.

Nie odrzucałbym jednak całkowicie elementu ideologicznego. Depresja chrześcijaństwa wytworzyła pustkę, głód wartości. W to miejsce wchodzi współczesna ideologia lewicowa, szkodliwa i niebezpieczna, ale która wielu ludziom daje poczucie misji, przywraca pewnie sens życia. Taka już jest natura ludzka, że musi stawiać sobie jakieś wyższe cele.

W tym pytaniu jest mocna i bardzo ciekawa teza, ale zwracam uwagę, że bywa to wszystko bardziej cyniczne, niż nam się wydaje na pierwszy rzut oka. Często wielkie zmiany są pochodną małych interesów, także politycznych. Wie pan, co naprawdę jest źródłem tak radykalnego zwrotu w Niemczech w kierunku ekologii i zielonej energii, włącznie z niechęcią do atomu? Bardzo proza-

eprasa.pl 579f46c997

iczna sprawa – otóż kanclerz Angela Merkel od lat szykuje u siebie grunt pod koalicję chadeków z Zielonymi.

I wyprzedzająco zbliża do siebie obie formacje?

Tak, zmniejszając różnice, przejmując postulaty, co zresztą robiła zawsze. Chodziło też o zatrzymanie odchodzących do Zielonych wielkomiejskich wyborców CDU.

No tak, to jednak jest jakaś nowa quasi-religia.

Tu nie ma sporu. Zawsze jest w człowieku głód wartości – jeśli nie ma prawdziwych, pojawiają się fałszywe.

Może receptą na nową tyranię atakującą państwa narodowe i wolność słowa powinna być silna grupa konserwatywna w Parlamencie Europejskim? Mogą ją stworzyć posłowie PiS, węgierscy z Fideszu i Włosi z Ligi?

To jest możliwe. To jest potrzebne. Warto to zrobić. Oczywiście trzeba mówić o konkretach, o organizacyjnej formule działania – nie tylko o ideach.

Czy w kontekście dominacji formacji lewicowych w PE, w tym Zielonych, mamy w ogóle możliwość pewnych działań, np. postawienia elektrowni atomowych? Prezes NBP prof. Adam Glapiński ujawnił na łamach „Sieci", że sześć mają zbudować Amerykanie, a kolejne sześć mogłyby np. francuskie koncerny. Czy jednak, kiedy przyjdzie do konkretów, nie zostaniemy zaatakowani?

Po pierwsze, to jest jednak suwerenna decyzja Polski. Po drugie, odejście od atomu to element polityki obecny tylko w Niemczech, we Francji np. nikt nie zamierza tego robić. Po trzecie, jeśli się uprzemy i udźwigniemy finansowo, damy radę. A po czwarte, układ z Amerykanami w tej sprawie uzależniałbym jednak od postawy Białego Domu wobec nas. Bo jeśli prezydent Biden będzie powtarzał bzdury, które mówił kandydat Biden, np. o tym, iż rzekomo w Polsce jest jak na Białorusi, to nic z tego nie będzie.

Opozycja kpi, że prezydent Biden nie zadzwonił do prezydenta Dudy. Ale kiedy śledzę amerykańskie media, to on w ogóle chyba mało gdzie dzwoni i jeździ?

To prezydentura na razie bardzo skupiona na sprawach wewnętrznych. Pierwsza rozmowa międzynarodowa z „przyjacielem domu" amerykańskich liberałów, premierem Kanady Justinem Trudeau – po miesiącu. To pewien paradoks, bo zarzucano prezydentowi Trumpowi, iż ma skłonności izolacjonistyczne. Na tle Bidena był to jednak podróżnik i aktywista, można rzec, międzynarodowy, obecnie zaś aktywność Białego Domu bardzo spadła. Może celowo, by się od Trumpa we wszystkim całkowicie odróżnić?

> Bez wątpienia wstępowaliśmy do innej Unii, szanującej różnorodność, tożsamość narodów, ich konstytucje i własne traktaty. Dziś jest inaczej

Często słychać w Polsce, że zrobiliśmy straszliwy błąd, tak zbliżając się do USA za czasów Trumpa i dziś jesteśmy tam spaleni. Jak pan odpowie?

To bełkot, a nie poważna teza. Jest odwrotnie – błyskotliwie, jak rzadko w naszej historii, wykorzystaliśmy okno możliwości, genialnie rozegraliśmy nasze pięć minut wielkiej szansy. Jak mam różne zastrzeżenia do naszej polityki zagranicznej, tak tu będę jej bronił jak lew. Uzyskaliśmy od Amerykanów wszystko, co było możliwe. Owszem, płacąc za gaz i amerykańskie uzbrojenie, ale dostając rzecz bezcenną: poważną amerykańską obecność militarną, co wyniosło nas na zupełnie inną orbitę w sferze bezpieczeństwa. I to zostanie, tym bardziej że po wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii USA uznały Polskę za najważniejszego sojusznika w UE. I geopolityka sprawi, że tak zostanie.

Amerykańska polityka zewnętrzna w pana ocenie zatem się nie zmieni?

Będzie w dużej mierze kontynuacją. Co najważniejsze, przetrwa wprowadzona do amerykańskiej polityki przez Trumpa diagnoza Chin jako „strategicznego konkurenta" Stanów Zjednoczonych.

Czy nie niesie to ryzyka, że aby pozyskać Rosję, USA odpuszczą nasz region?

Pamiętajmy, że o Rosję zabiegają też Chiny. Na przykład w Radzie Bezpieczeństwa ONZ te państwa najczęściej głosują tak samo. Powinniśmy też dostrzegać, że Rosja ekonomicznie i wewnętrznie bardzo słabnie. Klasa średnia ma poczucie sufitu, ten system już nie zaspokaja jej aspiracji. Na to się nakłada ewidentna walka w obozie władzy, poczucie, że Putin przestaje być efektywny.

Niebezpieczny moment.

Tak, rodzi się pokusa pokazania obywatelom siły, mocarstwowości, sukcesu.

Wspomnieliśmy ONZ. To zapytam jeszcze w innym kontekście: prezydent Andrzej Duda tam się realnie liczy?

Nawet więcej. Nigdzie tego wcześniej nie mówiłem, ale jest coraz więcej sygnałów, że prezydent Duda po zakończeniu kadencji prezydenckiej ma bardzo duże szanse na poważne stanowisko w tej organizacji. Niekoniecznie sekretarza generalnego, bo tu decyduje klucz kontynentalno-geograficzny. Ale kto wie, może na inną bardzo istotna funkcję czy rolę? Gdyby mnie prezydent zapytał o radę, tobym mu doradził, by swoją aktywność międzynarodową rozważał przede wszystkim w kontekście ONZ, a nie np. NATO, choć to też przecież jest możliwe. Uważam, że dla Polski byłby to ogromny prestiż, a i ONZ, i nasz region Europy by zyskały.

eprasa.pl 579f46c997

Platforma picu

Robienie wyborców w konia to DNA partii kierowanej obecnie przez Borysa Budkę, niezależnie od tego, kto stoi na jej czele i jaki jest jej program

STANISŁAW JANECKI

Bardzo myliłby się ten, kto dopiero 18 marca 2021 r. odkryłby, że Platforma Obywatelska nie traktuje poważnie swoich głośnych projektów. Propagandowy pic jako strategia działania nie jest żadną niespodzianką, a przewodniczący PO Borys Budka nie zdradził w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" żadnej tajemnicy. Opowiedział, jak w PO potraktowano projekt ruchu społecznego zainicjowanego po drugiej turze ostatnich wyborów prezydenckich (po 12 lipca 2020 r.), a potem nazwanego Wspólna Polska. „I co on [Rafał Trzaskowski] by zrobił? [z tym ruchem]?" – pytał Budka. Przecież „to było pod wpływem emocji. Rzuciliśmy hasło i potem trzeba się tłumaczyć. Taki jest kalendarz wyborczy, że wybory mamy dopiero za trzy lata. Nie da się utrzymać aktywności kampanijnej przez tak długi okres". Pojawiły się emocje towarzyszące poczuciu siły, że choć Trzaskowski przegrał, to jednak dostał 10 mln głosów, więc nie można było zwolennikom od razu powiedzieć, iż nic z tego nie wynika. Ale gdy wszyscy ochłonęli, pojawiło się pytanie przypomniane przez Budkę: „Ale co można zrobić?". W sytuacji gdy „nie ma wyborów, nie mamy większości w parlamencie", a jest „znużenie naszych wyborców". „Rafał był o włos od zwycięstwa i potem taki wielki zjazd, prawda? I oczekiwania, że dziesięć milionów nagle coś z PiS zrobi. Ale to jest realna polityka. Miałem zebrać te dziesięć milionów i co z nimi zrobić" – usprawiedliwiał się Budka. I dowodził, że słusznie triumfalistyczne nastroje zostały schłodzone.

Pic, jakim było wielkie zadęcie towarzyszące zapowiadaniu ruchu Trzaskowskiego, miał być po prostu racjonalnym sposobem postępowania. Żeby się zwolennicy nie demobilizowali, a potem nie mieli pretensji, że właściwie ich oszukano. Taka jest polityka. Borys zapomniał dodać, że taka jest polityka PO. Pic i oszukiwanie wyborców to jej najbardziej konsekwentna praktyka, i to w najważniejszych sprawach ideowych oraz programowych. Prawie od początku istnienia partii.

ĆWICZENIA Z MOBILIZACJI

Borys Budka nie był pierwszym ważnym politykiem związanym z PO, który całkiem brutalnie przyznał się do oszukiwania wyborców i posługiwania się propagandowym picem. Pionierem był współtwórca Platformy, jeden z „trzech tenorów" Andrzej Olechowski.

13 maja 2015 r., od dawna będąc już poza PO, przyznał (w zaprzyjaźnionym TVN), że kiedy w 2004 r. ta partia zbierała podpisy pod projektem referendum w sprawie wprowadzenia jednomandatowych okręgów wyborczych, „to były głównie ćwiczenia skierowane do aktywistów partyjnych, żeby nie kisili się w domach, tylko wyszli na miasto i coś robili". PO w 2004 r. zbierała podpisy m.in. pod projektem referendum w sprawach: zmniejszenia liczebności Sejmu (o połowę), likwidacji Senatu, zniesienia immunitetu i wprowadzenia JOW. Partia zebrała wówczas 700 tys. podpisów, ale w 2005 r. dobiegła końca kadencja parlamentu, po wyborach zaś władzę przejęło PiS. Podpisy zostały więc – jak mówił wtedy Paweł Kukiz, najbardziej zainteresowany JOW – „zmielone w sejmowej niszczarce". „To były rzeczy organizowane przez rzemieślników polityki jako ćwiczenia żołnierzy, którzy stoją pod bronią. Nie żartuję, mówię tak, jak było naprawdę" – ujawnił z rozbrajającą szczerością Olechowski. Właściwie wszyscy wiedzieli, że PO robi ćwiczenia z wyborcami ich kosztem, tylko otwarcie tego nie potwierdzano. Olechowski zrobił wyłom, choć właściwie w 2015 r. niczego nie odkrył, skoro takie praktyki stosowano już od ponad dekady.

Największym picem okazała się deklaracja ideowa PO z 2001 r. Zapewniano w niej, że „polityka łączy się z moralnością tylko tam, gdzie pielęgnowane są cnoty obywatelskie. Gdzie patriotyzm stawiany jest ponad walkę o partyjne interesy. [...] Zaś honor ceniony jest bardziej niż spryt". Że „Platforma Obywatelska chce przywrócić blask tradycyjnym ideałom republikańskim". Że „fundamentem cywilizacji Zachodu jest Dekalog. Wierzymy wspólnie w trwałą wartość norm w nim zawartych". Że „zadaniem państwa jest roztropne wspieranie rodziny i tradycyjnych norm obyczajowych, służących jej trwałości i rozwojowi. Dlatego prawo winno ochraniać życie ludzkie, tak jak czyni to obowiązujące dziś w Polsce ustawodawstwo, zakazując również eutanazji i ograniczając badania genetyczne". Że „miłość i poświęcenie dla ojczyzny, znajomość polskiej historii i kultury, wreszcie świadome przenoszenie narodowej i rodzinnej tradycji – to szczególnie do-

eprasa.pl 579f46c997

Fot. Piotr Molecki/EastNews

niosłe zadania dla naszego pokolenia. Pokolenia, które jako pierwsze stanęło przed szansą wprowadzenia Polski na równych prawach do tworzącej się unii narodów europejskich".

Dodatkowo, przed referendum w sprawie wejścia Polski do Unii Europejskiej, posłowie PO przygotowali tzw. Zobowiązanie Krakowskie. Napisano tam, że „traktujemy ten akt [wejście do UE] jako wypełnienie patriotycznego testamentu polskich powstańców, legionistów, AK-owców i ludzi Solidarności, jako dokończenie wielowiekowego procesu prowadzącego Polskę ku jedności z chrześcijańskimi narodami zachodniej Europy". Że „będziemy z determinacją walczyć o wypełnienie najważniejszych polskich interesów państwowych i narodowych w Europie". Że „będziemy walczyć o pełne prawa w Europie dla polskiej tożsamości narodowej, o obecność polskiego języka i równoprawne traktowanie Polski i Polaków przez inne narody Europy". Że „będziemy bronić praw religii, rodziny i tradycyjnego obyczaju, bo tych wartości szczególnie potrzebuje współczesna Europa". Trzeba przyznać, że pic w wydaniu PO sprzed kilkunastu lat miał znacznie większy rozmach i dużo wznioślejszy styl niż ten zademonstrowany 18 marca 2021 r. przez Borysa Budkę. Nie zmienia to faktu, że wtedy i teraz najważniejsze kwestie ideowe i programowe oraz najważniejsze przedsięwzięcia okazały się oszustwem.

PIC USTROJOWY

Poczucie, że PO nie traktuje poważnie swoich wyborców, istniało już od wyborów w 2005 r., gdy można było częściowo zweryfikować ówczesny program wyborczy partii. Poczucie to stało się bardzo wyraźne w roku 2011, gdy po czterech latach rządów PO przedstawiła swoich „21 priorytetów". A ostatni optymiści porzucili złudzenia, gdy najpierw w styczniu 2014 r. ówczesny premier Donald Tusk przedstawił „nowy plan dla Polski" oraz przed wyborami w 2015 r., gdy PO zaprezentowała program „Polska przyszłości". Największym picem okazało się to, co PO postulowała w 2005 r. i 2007 r., przede wszystkim w sferze ustrojowej. W 2005 r. partia obiecała zmianę konstytucji w związku z realizacją postulatów akcji „4 x tak" (kiedy zbierano zmielone potem podpisy): zmniejszenie liczby posłów o połowę, likwidacja Senatu, wprowadzenie JOW, zniesienie immunitetu poselskiego. W 2015 r. już nie było takiego rozmachu, gdyż postulowano „tylko" wprowadzenie mieszanego systemu wyborczego do Sejmu i Senatu, który łączyłby zalety JOW i proporcjonalnego podziału mandatów. Do tego w 2005 r. dochodziły: rozszerzenie kompetencji Trybunału Stanu, likwidacja finansowania partii z budżetu państwa (w 2015 r. było już tylko ograniczenie finansowania partii z budżetu) oraz zmniejszenie administracji centralnej o 20 proc. W 2007 r. doszło natomiast szybkie przyjęcie waluty euro. Oczywiście żaden postulat ustrojowy nie został zrealizowany, czyli wszystko okazało się picem. A brawurowym wręcz picem był od początku fikcyjny plan wprowadzenia euro. Zapewne dlatego, że autorem był Tusk. Podczas Forum Ekonomicznego w Krynicy w 2008 r. ówczesny premier zaskoczył wszystkich deklaracją: „Składam przed przedsiębiorcami obietnicę, że naszym celem jest przystąpienie do strefy euro w 2011 r. Rząd będzie dążył do wejścia Polski do strefy euro w 2011 r." Oczywiście rząd Tuska do niczego takiego nie dążył, zaś w 2011 r. premier nawet się nie odniósł to swej obietnicy, choć euro powinno być już obowiązującą walutą, a wcześniej powinna zostać zmieniona konstytucja.

PIC PODATKOWY

W 2005 r. PO zapowiadała jednolitą stawkę podatkową 3 × 15 proc. dla PIT, CIT i VAT. Zapowiadała uproszczenie systemu podatkowego, który nie tylko uniemożliwi oszustwa, lecz także zablokuje dowolność interpretacji przepisów. Zapowiadano uproszczenie formularza PIT, a następnie jego likwidację, dla przedsiębiorstw zaś wprowadzenie rocznej sprawozdawczości podatkowej. W 2007 r. PO obiecała już wprowadzenie 15-proc. podatku liniowego (zamiast 3 × 15 proc.) z ulgą prorodzinną w wysokości 1,2 tys. zł na dziecko oraz dodatkowym bonusem podatkowym dla kobiet rodzących drugie dziecko przed 30. rokiem życia. Miało zostać zlikwidowanych ponad 200 opłat urzędowych, zniesiony miał być tzw. podatek Belki i miała się pojawić nowa ustawa akcyzowa, która ograniczyłaby kompetencje ministra finansów w tym zakresie.

W 2011 r. zapowiadano radykalnie zwiększoną ulgę podatkową na trzecie i kolejne dziecko, likwidację formularzy podatkowych PIT, obniżenie zasadniczej stawki VAT do 22 proc. w 2014 r., zwiększenie ulg podatkowych dla oszczędzających na emeryturę. W 2015 r. zapewniano, że każdy obywatel zatrudniony na jednolitym kontrakcie będzie płacił tylko jeden podatek dochodowy. W 2015 r. PO obiecała jeden podatek dochodowy, tak by dla osób o niskich dochodach efektywna stawka podatku wynosiła 10 proc. „Naczelną polityką mojego rządu będzie stopniowe obniżanie podatków i innych

eprasa.pl 579f46c997

danin publicznych. Dotyczy to wszystkich – tych mniej zamożnych i tych bogatszych" – mówił Tusk w pierwszym exposé w 2007 r. Gdy odnosił się do tego w 2014 r., po drodze podwyższono składkę rentową i podatek VAT. W 2010 r. zakładano, że podwyżka stawek będzie obowiązywała do końca 2013 r. W 2014 r. stawki VAT miały wrócić do poziomu z 2010 r., pod warunkiem że na koniec 2012 r. relacja długu publicznego do PKB nie przekroczy 55 proc. W 2012 r. relacja ta była na poziomie 52,7 proc., lecz VAT od 2014 r. nie został obniżony. Picem okazało się też zapowiadane po wygranych wyborach w 2011 r. opodatkowanie na zasadach ogólnych dochodów gospodarstw rolnych. Po przejęciu przez PO władzy w 2007 r. podatki podniesiono, np. akcyzę na alkohol, papierosy i tytoń, samochody, oleje i paliwa opałowe, gaz do silników spalinowych, na quady, meleksy i skutery śnieżne. Podniesiono opłatę paliwową na olej napędowy. Jednocześnie zamrożono progi podatkowe w PIT. Podniesiono też maksymalne stawki podatków lokalnych, w tym od nieruchomości i od środków transportowych.

PIC ZDROWOTNY

W 2005 r. PO zapewniała, że przeprowadzi decentralizację NFZ, utworzy Rejestr Usług Medycznych, dopuści konkurencyjne prywatne ubezpieczenia zdrowotne. W 2007 r. PO obiecywała już likwidację NFZ, czyli jego podzielenie na kilka konkurujących funduszy publicznych, dopuszczenie do funduszy publicznych innych instytucji ubezpieczeniowych, m.in. samorządowych i prywatnych. Obiecano obniżenie cen leków, wyższe płace dla pracowników ochrony zdrowia oraz poprawienie jakości i dostępności usług medycznych. W 2011 r. PO zapewniała, że Polacy będą mieli prawo wyboru, komu przekażą swoją składkę zdrowotną, wprowadzając konkurencję dla NFZ. W 2015 r. PO dodała do tego wprowadzenie profilaktyki stomatologicznej, zapowiadając przypisanie każdej szkoły do konkretnego gabinetu stomatologicznego. Ogromnej większości tych zapowiedzi nigdy nie zrealizowano. A Tusk jako premier rozważał wprowadzenie częściowej odpłatności za wizyty u lekarza oraz za każdy dzień pobytu w szpitalu.

PIC TANIEGO PAŃSTWA

„Chciałbym, żebyśmy wrócili do prostej, niewymagającej żadnych nakładów idei [...] władzy skromnej, pozbawionej zbędnych przywilejów, idei taniego państwa" – mówił w 2007 r. Donald Tusk. W 2005 r. PO zapowiadała, że powstanie bardzo krótka lista stanowisk publicznych, z którymi wiązałyby się przywileje. Miały zostać zlikwidowane wszelkie ulgi dla polityków, takie jak darmowe przeloty czy przejazdy kolejowe. Przed wyborami w 2005 r. politycy PO zapowiadali, że państwowa administracja zostanie zmniejszona o 20 proc., znikną różne agencje, urzędy i fundusze rządowe (w tym Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, Urząd Regulacji Telekomunikacji i Poczty, Urząd Transportu Kolejowego, Urząd Regulacji Energetyki i Urząd Lotnictwa Cywilnego). Miało to dać oszczędności 10–15 mld zł. Tylko w ciągu pierwszych dwóch lat rządów PO zatrudnienie w urzędach zwiększyło się o 70 tys. osób, czyli o ponad 17 proc. Tylko w ciągu dziewięciu pierwszych miesięcy 2010 r. w administracji publicznej przybyło 26,3 tys. urzędników. Za pracę dodatkowych urzędników podatnicy zapłacili 10,6 mld zł.

> Pic, jakim było wielkie zadęcie towarzyszące zapowiadaniu ruchu Trzaskowskiego, miał być racjonalnym sposobem postępowania. Żeby się zwolennicy nie demobilizowali, a potem nie mieli pretensji, że właściwie ich oszukano

PIC EDUKACYJNY

W 2005 r. PO zapowiadała wprowadzenie bonów oświatowych, które miały wywołać w szkołach zdrową konkurencję. Zapowiadała wyrównanie szans w dostępie do nauki, ujednolicenie godzin nauki wszystkich dzieci w szkołach podstawowych w godzinach przedpołudniowych. W 2011 r. PO obiecała, że w ramach programu Koperniki w każdym województwie do 2020 r. będą tworzone Centra Nauki, których zadaniem będzie inspirowanie młodzieży do nauki i innowacyjności. Zapewniano, że do 2015 r. szkoły będą dysponowały e-podręcznikami. Zamiast tego, wbrew woli rodziców, obniżono wiek rozpoczynania obowiązkowej nauki w szkole z siedmiu lat do sześciu lat, a potem blokowano obywatelski projekt ustawy cofający te zmiany.

PIC PICEM POGANIA

Wielkim picem okazała się obietnica z 2007 r., że Polacy będą chcieli wrócić z emigracji i inwestować w Polsce. Picem była zapowiedź reformy policji, w tym odbiurokratyzowanie Komendy Głównej oraz likwidacja stanowisk dublujących się kompetencyjnie. Picem okazał się pomysł budowy „1000 świetlików" – centrów kultury i bibliotek gminnych. Picem okazała się modernizacja Wojska Polskiego, która zamieniła się w likwidowanie naszego potencjału militarnego. Picem był plan kolei dużych prędkości, która miała ruszyć w 2020 r. Picem była zapowiedź Donalda Tuska ze stycznia 2008 r. o zniesieniu instytucji meldunku, najpóźniej do 2014 r. Wielkim picem były obietnice władz PO jak najszybszego przeprowadzenia lustracji i ujawnienia akt komunistycznej bezpieki.

Nie mogło być inaczej, gdy pic stał się podstawą planów programowych PO, a po przejęciu władzy strategią rządzenia. Także nowe propozycje partii Borysa Budki, np. przedstawione w marcu 2021 r. obietnice dotyczące ochrony zdrowia, są tak samo realne, jak wiele wcześniejszych planów i zapowiedzi. Pic jest bowiem DNA tej partii, po czym zresztą najłatwiej jest ją poznać. Niezależnie od tego, kto stoi na jej czele i jaki jest jej aktualny program.

eprasa.pl 579f46c997

Zmiany, i to jak najszybsze, są bardzo potrzebne, bo aktorskiego zawodu uczą ludzie, którzy nie mają przygotowania pedagogicznego. Nie ma też żadnej metodologii kształcenia przyszłych aktorów czy reżyserów

Było przyzwolenie, nikt nie protestował

Fot. Jacek Dominski/Reporter

eprasa.pl 579f46c997

O mobbingu, strachu, przemocy i upokorzeniach w szkołach aktorskich z Wojciechem Malajkatem, rektorem Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy zaciskanie zębów to dziś podstawowa umiejętność aktora?

Wojciech Malajkat: Żadnego człowieka na świecie. Nie ma najmniejszego powodu, by ktokolwiek zaciskał zęby w imię czyjegoś widzimisię. Przeczytałem gdzieś kapitalne zdanie, choć nie zacytuję go dosłownie: „Kto wpadł na pomysł, że – by uczynić nasze dzieci lepszymi – musimy je najpierw poważnie skrzywdzić?". Takie przeświadczenie, metoda wychowania, „kształtowania charakteru" przy użyciu pasa, kija, poniżania... funkcjonuje od setek lat i wielu pokoleń. Przyszedł jednak czas, żeby to zmienić.

Kiedy czyta pan i słyszy o skandalu, aferze, zamiataniu pod dywan trwających od lat w aktorskich uczelniach niedopuszczalnych praktyk... kto w panu reaguje pierwszy: aktor, absolwent łódzkiej Filmówki czy rektor warszawskiej Akademii Teatralnej?

Trzeba sobie nareszcie powiedzieć: nie jest tak, że to nas, mnie, zaskoczyło. Było przyzwolenie na pewien rodzaj zachowań w teatrze czy w szkołach aktorskich. Nie było zasad czy raczej przeważały zasady, które dyktowali mistrzowie i mistrzynie niebiorący pod uwagę studentów, a w teatrach dyktowali te reguły dyrektorzy i reżyserzy nieliczący się z aktorkami i aktorami. Nikt nie protestował, bo tak było od zawsze. Ci po drugiej stronie mieli zawsze rację. Kolejne wchodzące w zawód roczniki uczono, że tak ma być, więc to znosiliśmy.

Bardzo ważne jest przy tym, że nie dotyczy to wszystkich teatrów, czy wszystkich nauczycieli w szkołach teatralnych. Niektórzy z tego przyzwolenia po prostu chętnie korzystali. Nie było reguły, kto tak postępował. Padają nazwiska wybitnych aktorów i aktorek.

Na przykład kogo?

Choćby Tadeusza Łomnickiego. Trudno o znamienitszego aktora. Okazuje się przy tym, że temat jest głębszy, bo nawet jeśli on korzystał z psychicznej przemocy, to jednocześnie głęboko wierzył, że łamiąc kręgosłup studentce czy studentowi – mówię oczywiście w przenośni – daje im odporność, że dzięki temu będą już umieli poradzić sobie w trudnych sytuacjach. To przekonanie, z gruntu błędne, że musi się zdarzyć opresyjna, trudna sytuacja, powodowało, że nawet najwybitniejsi „szczepili" w ten sposób kolejne roczniki. W myśl zasady: „Życie musi każdego skrzywdzić, więc my cię najpierw skrzywdzimy, żebyś sobie w przyszłości poradził". Założenie nie do zaakceptowania.

> Ci, którzy przekroczyli granice, powinni być na tyle świadomi i wrażliwi, by z tego, co się zdarzyło, wyciągnąć wnioski. Liczę na to, że będą starali się zmienić swoje metody

Ale ten system „przenoszenia zła" trwał od dekad, był niemal wpisany w tradycję kształcenia aktorów?

Tak było. Niektórzy wychowankowie Tadeusza Łomnickiego być może, jeśli zostali wykładowcami, stosowali jego metodę, bo innej nie znali. I ta kalka, jak to kalka, kopiowała to, co złe, i wyrządzała, nadal wyrządza, i pewnie jeszcze przez jakiś czas będzie wyrządzać krzywdę.

O przyzwoleniu na opresję, mobbing, strach, przemoc, upokorzenia... mówią dziś kolejni aktorzy. Niezależnie od uczelni, na których studiowali. Jest wśród nich absolwentka warszawskiej AT Aleksandra Domańska.

Nie zaprzeczam, że i u nas nie działo się dobrze, ale zmiany zaczęliśmy na długo wcześniej, nim pojawił się wpis Anny Paligi.

Oskarżeń absolwentki łódzkiej Filmówki nie dało się uciszyć. Wskazała problemy, które były tajemnicą poliszynela teatralnego i filmowego środowiska. Czy przy okazji nie odsłoniła hipokryzji, która pozwala potępiać innych, nie naprawiając nic u siebie?

Ale działania już są. Nie powiem, że to ja je rozpocząłem, chociaż już w czasie mojej pierwszej kadencji rektorskiej zacząłem starania, by Akademia Teatralna była miejscem dla studentów, a nie profesorów, którzy z wysokości Olimpu ogłaszają swoją nieomylność. I którym zdarza się stosować własne zasady, nie informując o nich nikogo. Od trzech lat tak modeluję AT.

Efektem było zakończenie współpracy z najmocniej dziś krytykowaną Beatą Fudalej?

Również. Pierwsi w Polsce zrezygnowaliśmy też z fuksówki, czyli rytuału przyjmowania nowego rocznika przez starszych studentów. I powołałem do życia stanowisko rzeczniczki spraw studenta, a kodeks etyki Akademii, który u nas powstał, kopiują teraz inne szkoły. Proces zmian trwa i jest nieuchronny. Nie wrócimy do dawnych kolein. Pytanie tylko, jak szybko poradzimy sobie z tym, co się dzieje, i jak prędko odbudujemy wzajemne zaufanie.

Włączając się do dyskusji, Krystyna Janda podkreśliła, że nie ma takiego filmu czy sztuki, dla której warto złamać człowieka. Jednocześnie martwi ją, że „obraz całego środowiska został zabrudzony, zakłamany". A jest w tym środowisku wielu ludzi „po prostu nadzwyczajnych – zawodowo, intelektualnie, moralnie,

eprasa.pl 579f46c997

etycznie". Aktorka uważa, że działania jednostek nie powinny wpływać na ocenę całości.

Gdzie drwa rąbią, wióry lecą, jak mówi przysłowie. Rzadko mamy do czynienia z sytuacją, w której bardzo wielu ludzi czyni jednocześnie zło, ale nawet promil ma znaczenie. Łyżka dziegciu potrafi zatruć beczkę miodu. Dlatego tak ważne jest budowanie mechanizmów, które sprawią, że zło będzie miało jak najbardziej pod górę, że trudno będzie je czynić.

A co ze złem, które już się stało? I czy totalnie potępiając jedne środowiska, można równocześnie tłumaczyć inne, używając argumentu jednostkowych przypadków?

Nie chcę tego w żaden sposób porównywać. Wiemy, że nie wszyscy księża są dewiantami, nie wszyscy są źli, ale gdy światło dzienne ujrzały znane relacje, ocena nie mogła być inna. Teraz ludzie przez jakiś czas będą też krytycznie patrzeć na aktorów czy reżyserów, ale to jest odrębna skala. Poza tym nawet jeśli ta choroba dotykała też największych, to ich zachowanie mogło wynikać z tego, że wielu z nich nie znało innych metod działania. Nie musieli być z gruntu źli.

Za rolę nauczyciela łamiącego charaktery swoim uczniom w filmie „Whiplash" J.K. Simmons dostał w 2015 r. Oscara. Czego mogą się spodziewać wymieniani z imienia i nazwiska wykładowcy oskarżani o brutalność, bezwzględność czy mobbing?

Ci, którzy przekroczyli granice, powinni być na tyle świadomi i wrażliwi, by z tego, co się zdarzyło, wyciągnąć wnioski. Liczę na to, że będą starali się zmienić swoje metody.

Czyli nie zostają odsunięci od kontaktów ze studentami?

Jeśli stać będzie nas – i mówię tu o wszystkich – na autorefleksję oraz na to, by jak najszybciej poprawić metody i zacząć działać według nowych reguł, to – wierzę w to gorąco – za chwilę dawny model zniknie, przestanie funkcjonować, bo nie będzie dawnej kalki.

Zmiany, i to jak najszybsze, są bardzo potrzebne, bo aktorskiego zawodu uczą ludzie, którzy nie mają żadnego przygotowania pedagogicznego. Nie ma też żadnej metodologii kształcenia przyszłych aktorów czy reżyserów. Każdy wykładowca AT uczy więc według autorskiego programu. I jeszcze raz chciałbym podkreślić, że wielu z nich robi to świetnie, bez przekraczania granic, umieją się komunikować ze studentami. Niestety, paru tego nie potrafi. Nie chce się też pogodzić z myślą, że przyszedł czas na zmiany. Ale poradzimy sobie z tym.

Jednak część studentów postanowiła złożyć pozwy?

Jeśli sprawy zostaną skierowane do sądów, zajmie się nimi wymiar sprawiedliwości.

Stanie się to w bliżej nieokreślonej przyszłości, a co teraz? Jak pan odbiera mnożące się w mediach społecznościowych krytyczne i pełne emocji wspomnienia aktorów? Czy ta fala nie wymaga jakiegoś gestu ze strony uczelni, rektora?

Reakcją jest już nasze działanie. To też odpowiedź na sytuacje, w których znaleźli się studenci. Ale trzeba tu zaznaczyć istotną rzecz. Mówię o tym, że bardzo bym chciał, żeby było lepiej, ale wiem, że nigdy nie będzie idealnie.

Efektem dyskusji, jaka rozgorzała na forach, jest także to, że również ja dostałem maila, z którego się dowiedziałem, że... byłem powodem lęków i utrapień jednego z moich studentów. A jestem ostatnim człowiekiem, który chciałby komukolwiek wyrządzić krzywdę. Tymczasem ktoś miał z mojego powodu kłopot. Jak to przeczytałem, byłem zaszokowany, zdumiony. Okazuje się, że czasem robimy coś nieświadomie, niechcący. Jesteśmy przecież tylko ludźmi.

Oczywiście, nie można tym tłumaczyć żadnych nieprawidłowości czy wykroczeń. Nie powinny się zdarzać. Dlatego do działań, które już trwają w Akademii Teatralnej, dodamy specjalne szkolenia. Dla nauczycieli, studentów i pracowników. Podczas zajęć poznają mechanizmy przemocy, dyskryminacji (sam jestem po takim pilotażowym szkoleniu). Chcemy też wprowadzać jasne komunikaty i jednoznaczne zasady pokazujące, co i jak będzie oceniane. Już nie będzie uznaniowości i domniemywań, które prowadziły do kryzysów i strachu.

Aktorstwo to zawód wysokiego i szczególnego ryzyka. Granie na najczulszym instrumencie – własnym ciele i psychice. Co, jeśli świeżo upieczony, wrażliwy absolwent Akademii, będzie musiał się zmierzyć z ekstremalnym wyzwaniem? Gdy usłyszy na planie słynne zdanie Kazimierza Dejmka: „Aktor jest do grania jak d... do s..."? Jak go do tego przygotować?

Co roku, na inauguracji, namawiam studentów do ekstremalnego, radykalnego poznawania swoich możliwości, swojej wyobraźni, psychofizyczności, bo tylko sprawdzając to na sobie, możemy się dowiedzieć, na ile nas stać. Dzięki temu stajemy się gotowi do skrajnych zadań i grania w różnych, nawet najtrudniejszych warunkach. Tyle że studentów nie można zmuszać do tych poszukiwań i przekraczania kolejnych granic, stosując – nie obawiam się użyć tego słowa – tortury psychiczne czy fizyczne.

Wykładowca musi być buforem, towarzyszem w odkrywaniu potencjału młodego człowieka. Dzięki temu, że czynnie uprawia zawód, wie, czego można na sobie doświadczyć, więc ma narzędzia, by z wielką uwagą uczyć tego swoich studentów.

Czy planujecie jakieś wspólne międzyuczelniane rozwiązania?

Na razie działamy w obrębie własnych uczelni. A potem... Szkoła teatralna w Polsce jest tak naprawdę jedna, wszyscy uczymy tego samego, podobnymi metodami, chociaż czasami – jak widać – nie najlepszymi, więc myślę, że jak szkoły wypracują swoje modele, to spotkamy się, porównamy je, weźmiemy to, co wymyślimy najlepszego, i będziemy dalej uczyć. To, że będą się trafiali ludzie, którzy zechcą wykorzystać swoją pozycję, władzę do różnych celów, będzie się zdarzało. Naszym zadaniem jako władz uczelni i odpowiedzialnych pedagogów jest stworzenie dla naszych studentów odpowiednich „bezpieczników". Teraz je montujemy.

eprasa.pl 579f46c997

Cierpienia Mashy Gessen

To nie był kolejny usystematyzowany atak na polską historię, ale niewypał Jana Grabowskiego i Mashy Gessen. Publicystka tygodnika „The New Yorker" powtórzyła na łamach tego pisma głupstwa środowiska Centrum Badań nad Zagładą Żydów i po zmasowanej ripoście zaczęła łagodzić przekaz. Być może nauczka, jaką dostała, ostudzi jej pochopne wnioskowanie o niemieckiej okupacji w czasie II wojny światowej

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Masha Gessen jest lewicową aktywistką LGBT, znaną publicystką i autorką książek, m.in. o Rosji – jest wszakże rosyjską Żydówką o polskich korzeniach. W genderowej nomenklaturze Gessen życzy sobie, by tytułować ją nie „ona, jej" (she, her), ale „oni, ich" (they, them) – czyli uznaje się nie za kobietę, lecz za osobę niebinarną, jest też w związku partnerskim z kobietą. To ten jej skrajnie lewicowy punkt widzenia sprawia, że krytyka Kremla koncentruje się u Gessen w dużej mierze na oskarżeniach o homofobię, a przecież Władimir Władimirowicz Putin ma dużo poważniejsze grzechy na sumieniu.

O JEDNO KŁAMSTWO ZA DALEKO

To miał być felieton, jakich wiele, dla tygodnika „The New Yorker". 26 marca ukazał się tekst o procesie, jaki Filomena Leszczyńska wygrała z profesorami Janem Grabowskim i Barbarą Engelking o zniesławienie jej stryja, sołtysa Edwarda Malinowskiego, który ratował Żydów w czasie niemieckiej okupacji, a w książce „Dalej jest noc" został przedstawiony jako prześladowca.

„Historycy pod ostrzałem za odkrywanie roli Polski w Holokauście" – brzmiał tytuł artykułu Gessen, w którym przedstawiła proces sądowy jako zemstę rządu polskiego na autorach książki, którzy odważyli się napisać prawdę. Szczególnie skandaliczne okazały się fragmenty, w których Gessen oceniała polskie realia. „Badacze muszą mierzyć się z pozwami o zniesławienie i potencjalnymi kryminalnymi zarzutami w ramach starań polskiego rządu o oczyszczenie narodu z jakiejkolwiek roli w morderstwie trzech milionów Żydów podczas nazistowskiej okupacji" – czytamy w amerykańskim tygodniku. Publicystka wykazała się kompletną ignorancją zarówno historyczną, jak i polityczną: „Stanowisko rządu [polskiego] jest takie, że każde stwierdzenie o powiązaniach państwa polskiego z nazistowskimi morderstwami jest niepatriotyczne i zniesławiające". Trudno o zdanie z większą ilością bzdur, skoro po pierwsze, obecny rząd RP nie ma takiego stanowi-

Fot. Bartosz Krupa/East News, materiały prasowe

eprasa.pl 579f46c997

ska. Po drugie, w czasie II wojny światowej państwo polskie było reprezentowane przez rząd emigracyjny i podziemie, które choćby w najmniejszym stopniu nie wspierały Holokaustu i organizowały pomoc Żydom. A po trzecie, nie chodzi tu o „niepatriotyczność", tylko o pisanie kłamstw, nieprawdy, fałszowanie źródeł i skandaliczne przeinaczenia historyczne.

Ale Gessen należy do tej części liberalnego establishmentu, któremu wolno więcej – w tekście porównuje nawet Jana Grabowskiego do Aleksieja Nawalnego, który też przecież, zdaniem autorki, jest ofiarą rodzimego reżimu. Gessen co prawda nie zna polskiego (choć jest tłumaczem z rosyjskiego), ale jej opis wydaje się powtórką z manipulacji „Gazety Wyborczej" lub... powtórzeniem przekonań samego Jana Grabowskiego. – Ona kompletnie nie ma o tym pojęcia, to jest widoczne – komentował artykuł „The New Yorkera" dla telewizji wPolsce.pl prof. Bogdan Musiał. – Grabowski bardzo się chwali tym, że był inicjatorem tego tekstu i on jej podpowiedział [co pisać] – tłumaczył historyk. Profesor Musiał często podkreśla braki językowe u komentatorów sporu dotyczącego Holokaustu. Gessen nie zna polskiego, więc musi zdać się na relacje np. Grabowskiego, a Grabowski nie zna za dobrze niemieckiego, więc badając niemiecką okupację, jest skazany na polskie teksty.

Tekst Gessen spotkał się z tak dużym odporem, że publicystka zaczęła się tłumaczyć z felietonu – oczywiście uciekła w tak dobrze znaną lewicowym aktywistom rolę ofiary. Autorka stwierdziła, że jest ofiarą hejtu, że dostawała pogróżki, że teraz rozumie ten „posmak intelektualnego klimatu, w jakim żyją dziś polscy historycy Holokaustu". Na Twitterze zablokowała wgląd do swoich treści dla czytelników z zewnątrz, a w oświadczeniu dla „Gazety Wyborczej" próbowała wyjaśniać, że Polacy nie zrozumieli subtelności języka angielskiego. Ale „nierozumienie" subtelności pani Gessen wymaga skoncentrowania się nie na jej ignoranckim artykule, lecz na jej twórczości jako egzemplifikacji intelektualnej biedy liberalnych autorów.

BABCIE PRACUJĄCE DLA STALINA

Tożsamość autora tekstu nie miałaby znaczenia, gdyby nie mitologia, którą buduje na historii własnej i rodzinnej. Gessen uchodzi za pierwszą oficjalną rosyjską lesbijkę walczącą z Kremlem. Ta antysystemowość nabiera jednak innego posmaku, gdy zapoznamy się z historią publicystki, która do pewnych rzeczy przyznaje się w książce wspomnieniowej poświęconej jej dwóm babciom: Esterze i Rózi.

Estera była przed wojną młodą socjalistką zaczytującą się w pismach Józefa Chaima Brennera, zwolennika utworzenia państwa izraelskiego w Palestynie, choć Gessen nie zdradza szczegółów aktywności babki. Mikroświat przedwojennego Białegostoku wygląda w tych opowieściach rodzinnych jak typowe wielokulturowe miasteczko, gdzie w paramilitarnych organizacjach działają zarówno narodowcy, jak i sami Żydzi. Jednak groza, która nadciąga na przodków Mashy Gessen, dotyczy tylko III Rzeszy

i choć autorka przyznaje, że Sowieci także organizowali transporty Żydów na Syberię, to w życiu jej rodziny zniknięcie Polski z mapy stało się raczej szansą awansu społecznego – rodzina trafiła do Moskwy. Recenzentów i przyjaciół publicystki nie dziwi, że babcia Estera, która nie znała wówczas rosyjskiego, zaczęła studia w moskiewskim Instytucie Historii, Filozofii i Literatury. Czy wnuczka pominęła jakieś wstydliwe epizody z jej życia, czy sama nie rozumiała zaskakującej szansy, jaką od sowieckiego państwa dostała Estera?

Opowieść o Rózi i Esterze stanowczo nie jest przykładem szczerej historii np. Antoniego Zambrowskiego, który rozliczył się ze studiów w czasach stalinowskich, przyznając się do zachłyśnięcia totalitarną ideologią. Kobiety u Gessen zmagają się z codziennością, czytają literaturę i poezję, radośnie spędzają czas na zabawie, czasem tylko napomykając, że zagrożone są stalinowskim terrorem. Zagrożone – tak, ale przecież współpracujące z reżimem, a w książce nie ma na ten temat szczególnej refleksji.

Prawdziwa wojna dla Gessen zaczyna się nie w 1939 r., lecz w 1941 r., gdy niemiecka III Rzesza napada na Związek Sowiecki. O rosyjskiej obronie przed Niemcami czytamy tu jak w tysiącach ówczesnych wspomnień – zmagania z niedoborami, śmierć na ulicach, poczucie grozy, ewakuacja z Moskwy i nadludzki wysiłek wojenny. Także okres powojenny był dla babć Mashy Gessen trudną epoką – ze wszystkich kart tej historii wyłania się atmosfera stalinowskiego terroru i poczucia zagrożenia u obu kobiet. Byłoby to może naturalne, gdyby nie fakt, że obie babcie pracowały dla władz partyjnych. Rózia była komunistycznym cenzorem (!), a Estera pracowała dla NKWD (!), choć zarzekała się że nie jako informator, a jako tłumacz. Czytając o cierpieniu stalinowskich partyjniaków, gdy w imperium miliony cierpiały w gułagach, trudno nie odczuć niestosowności tak wybiórczych wspomnień.

BYCIE OFIARĄ JAKO ZAWÓD

Tylko że historia Mashy Gessen, mimo jej życia w zupełnie odmiennych realiach, zdaje się próbą powtórki tamtego poczucia dyskryminacji. Urodzona w 1967 r. w Moskwie, określająca się później jako lesbijka, publicystka tygodnika „The New Yorker", potrafi docenić autentyczne cierpienie Żydów podczas Holokaustu, przejaskrawić rolę prześladowań członków Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, pisać o heroizmie Rosjan, potem snuć wizję o męczeństwie LGBT. Z robienia z siebie ofiary i bojownika o lepszą przyszłość Gessen uczyniła trampolinę do sławy i kariery. Ten lewicowy świat jest za mały, by zmieścić tam jeszcze wojenne cierpienia Polaków i szacunek dla trudnej historii Polski. A że fakty jej przeczą? Tym gorzej dla faktów.

eprasa.pl 579f46c997

Fot. Mateusz Zelnik

IPN czyli element infrastruktury krytycznej państwa

Zadania Instytutu Pamięci Narodowej zawsze wykraczały poza sferę klasycznej działalności naukowej. Opisanie czasów komunizmu z mechanizmami działania systemu, które uznano za istotne przy tworzeniu Ustawy o IPN, wcale nie okazało się najważniejsze. Niezwykle ważne stało się odtworzenie losów wielu mniej znaczących ludzi Solidarności, a także tych, którzy walczyli zbrojnie z komunistami w początkach PRL

PIOTR GONTARCZYK

W tym zakresie podjęto wiele działań nie tylko naukowych, lecz także edukacyjnych, w różnych obszarach przestrzeni publicznej. Dziś, głównie dzięki działalności IPN, osoby takie jak rtm. Witold Pilecki, gen. August Fieldorf „Nil" czy Danuta Siedzikówna „Inka", są powszechnie znane, zajmując należne im miejsce w polskim panteonie. Ale to tylko jeden wymiar dokonań Instytutu. Po niemal ćwierćwieczu działania trudno byłoby wskazać placówkę z chociażby zbliżonym dorobkiem badań

eprasa.pl 579f46c997

naukowych dotyczących XX w. i o porównywalnych zasługach w budowaniu narodowej wspólnoty.

Jednak dziś, w szybko zmieniającym się świecie, IPN pełni także inną, zupełnie fundamentalną dla Polski funkcję. Bo ostateczne zwycięstwo pokoju i liberalnej demokracji, które przed laty zapowiadał Francis Fukuyama, okazało się głównie pokazem arogancji i ślepoty. Rywalizacja cywilizacji, imperialnych mocarstw i narodowych interesów toczy się w najlepsze i nic nie wskazuje, by ten stan miał w najbliższym czasie ulec zmianie. Przeciwnie: rywalizacja odbywa się na coraz to nowszych polach.

Obecnie toczy się niemal otwarta już wojna między światem Zachodu a „państwami zbójeckimi", chociażby w cyberprzestrzeni. Chiny na skalę globalną szpiegują i kradną technologie, Rosja atakuje infrastrukturę cyfrową Stanów Zjednoczonych, państw NATO i Ukrainy. Kwestią strategiczną i narzędziem polityki jest dziś budowa rurociągów i sprawa dostępu do surowców energetycznych. Pandemia koronawirusa spowoduje zapewne kolejne zmiany definicji infrastruktury krytycznej, którą powinien posiadać kraj wielkości Polski, by zapewnić bezpieczeństwo obywateli. Przepychanki przy imporcie z Chin respiratorów i maseczek zapewne wywołają refleksję, czy zasadne było prywatyzowanie, a jeszcze częściej likwidowanie w Polsce produkcji podstawowych środków ochronnych, sprzętu medycznego i leków. Trzeba też mieć nadzieję, że w przyszłości będziemy dysponować stosowną linią technologiczną do produkcji szczepionek na wirusy, które mogą się pojawić zarówno samoczynnie, jak i w wyniku działań państw zbójeckich. Następny wirus może być znacznie bardziej śmiertelny niż COVID-19.

Właściwa infrastruktura energetyczna, jednostki do walki z atakiem cyfrowym czy zaplecze techniczno-medyczne na wypadek pandemii są dziś oczywistymi elementami bezpieczeństwa, tak jak regularna armia i służby bezpieczeństwa państwa. Nie można zapominać, że przestrzenią walki o różne interesy, zwłaszcza ostatnio, stała się także historia.

BRUDNA WOJNA

„Kto panuje nad przeszłością, ten tłumaczy teraźniejszość. Kto panuje nad teraźniejszością, do tego należy przyszłość". Ta stara maksyma wskazuje, jak ważna jest historia w bieżącej polityce i jaki może mieć wpływ na decyzje polityczne. Jeżeli Rosja walczy dziś o rehabilitację polityki Związku Sowieckiego w latach 1939–1945, to mniej chodzi tu o historię, a bardziej o przekonanie, że to normalny kraj prowadzący zwykłą politykę interesów (a nie podbojów i zbrodni), analogiczną do zachodnich demokracji.

Do nowych hitów rosyjskiej propagandy przejdzie ostatnia huczna wystawa z okazji podpisania traktatu ryskiego kończącego w 1921 r. wojnę polsko-bolszewicką. Prezydent Putin określił Polskę jako agresora, a sam pokój jako niesprawiedliwy, bo przyznający Warszawie część ziem białoruskich i ukraińskich, które ZSRS odebrał w 1939 r. (a więc z historycznego punktu widzenia słusznie). Putin wspomniał też o tragicznym losach rosyjskich jeńców, którzy mieli „zginąć" w polskich obozach w czasie wojny. Czyli kłamliwa propaganda anty-Katynia w pełnej krasie.

Jednak sprawa nie dotyczy tylko Rosji. Wątpię w czyste intencje – przepraszam za uogólnienie – wielu Niemców, którzy od dziesiątków lat prowadzą działania w kierunku „podzielenia się" z Europą winą za swoją zbrodnię Holokaustu. Dziś wiele środowisk u naszego zachodniego sąsiada twierdzi, że Niemcy rozliczyły się ze zbrodniczą historią (co jest wierutnym kłamstwem) i teraz czeka na to, że inni też się rozliczą. Tak realizuje się właśnie cele strategiczne. Bo łatwiej będzie uzyskać ogólne przyzwolenie na hegemonię w Europie przez kraj rozliczony z Holokaustu, z którego na dodatek nie rozliczyli się inni.

Ale przedstawianie Polski jako kraju antysemickiego i współodpowiedzialnego za Holokaust, to nie tylko osłabianie pozycji międzynarodowej przez dwóch naszych sąsiadów. Za tą operacją mogą iść także ogromne pieniądze. Jak to ładnie wyłożył kiedyś (w jednym z artykułów) były już dyrektor Muzeum Polin, obecnie trudno będzie od Polski oczekiwać zaspokojenia roszczeń, Polacy uważają się bowiem za ofiary II wojny światowej. Sytuacja powinna się zmienić, kiedy do opinii publicznej dotrą odpowiednie informacje o polskich przestępstwach na Żydach i o udziale Polaków w Holokauście. To już będzie pod względem historycznym (i moralnym) sytuacja, która „może ułatwić rozwiązanie kwestii własności".

Historyk może pomstować na takie instrumentalne traktowanie historii, ale to trochę zawracanie kijem Wisły. Owszem jestem zwolennikiem wyrzeczenia się własnej polityki historycznej i pełnego światowego rozbrojenia, ale pod warunkiem że zrobimy to jako ostatni. Obawiam się jednak, że na niewiele się zda tłumaczenie Putinowi, że takie ordynarne fałszowanie przeszłości przez podległy mu aparat państwowy nie przynosi rezultatów. Niemcy też raczej nie zaprzestaną nurzania Armii Krajowej w antysemityzmie, czego dowodem były przypadki odmowy sprostowań i proces, w którym czołowa stacja telewizyjna broniła swoich kłamstw o AK jak niepodległości.

BYĆ ALBO NIE BYĆ

Na działania Rosji czy Niemiec, na „polskie obozy koncentracyjne", na inne szkalujące wypowiedzi światowych mediów, także oszustów udających naukowców w dziedzinie badań nad Holokaustem, Polska musi dawać odpowiedź. Tak jak szkolimy żołnierzy i kupujemy samoloty, budujemy gazoporty, trzeba zadbać o wizerunek Polski w świecie i świadomość historyczną własnych obywateli. Inaczej za kilka lat ockniemy się w Polsce, w której młode pokolenie będzie prezentowało wiedzę z serialu „Nasze matki, nasi ojcowie" i będzie się wzruszało przy artykułach Onetu o smutnych świętach niemieckich żołnierzy w okupowanej Polsce. Jeśli pozwolimy na takie medialne prowokacje bez odpowiedzi, za chwilę zrobią z nami, co zechcą. Zobaczymy Polskę zbrukaną, upodloną kłamstwami o masowym udziale w mordowaniu Żydów i współodpowiedzialną za Holokaust. Katastrofalnie ucierpi na tym międzynarodowa pozycja Polski.

eprasa.pl 579f46c997

Zapewne pojawią się znów ostrzej artykułowane roszczenia na dziesiątki miliardów dolarów. Dlatego prawdy historycznej trzeba bronić, a działania IPN w tym zakresie – jedynej instytucji, która stanowi solidne zaplecze do takich debat i obrony racji stanu – są dziś i będą w przyszłości nie do zastąpienia.

Jan Grabowski (redaktor książki „Dalej jest noc...") stale nawołuje do likwidacji IPN i dobrze wie, co robi. Jeśli Polska pozbawi się takiego narzędzia, będzie można, posługując się metodami tego autora (zmienianie treści cytatów i inne podobne manipulacje), przy wsparciu polskojęzycznych mediów, narzucić jej dowolną „naukową" bzdurę. Polska przegra wszystko, i to z każdym, nie tylko z Rosją czy Niemcami, ale naprawdę z byle kim. Nawet z różnej maści naukowymi oszustami.

Ostatnio działalność IPN krytykował w „Wyborczej" prof. Rafał Wnuk, twierdząc, że Instytut jest „marginesem świata polskiej nauki", a dostaje więcej środków finansowych niż inne placówki naukowe. Nadto nie obowiązują w nim standardy w postaci obowiązku zdobywania kolejnych stopni naukowych i punktów za publikacje. Krytyka ta jest chybiona. Dlaczego? Bo pieniądze idą na dużo więcej zadań niż sama nauka. Większość funduszy pochłania edukacja, poszukiwania szczątków ofiar komunizmu i ich upamiętnianie. Jeszcze więcej kosztuje praca dwóch (niezależnych od władz IPN) prokuratur: Komisji Ścigania i lustracyjnej, których działalność jest kulą u nogi Instytutu.

Podniesiona przez prof. Wnuka sprawa braku wymogu dla naukowców IPN systematycznego zdobywania stopni naukowych i uzyskiwania publikacjami punktów może być traktowana nie jako wada, a błogosławieństwo. Praca przy ogólnopolskim ambitnym projekcie wymaga czegoś więcej niż pogoni za stopniami i punktami, która po reformie ministra Gowina stała się katastrofą polskiej humanistki.

Słowa o „marginalnej" roli IPN w polskiej nauce można skwitować odesłaniem do listy nominacji i zwycięzców konkursów na książki historyczne w ostatnim dziesięcioleciu. Życzyłbym takich sukcesów każdej placówce naukowej w Polsce.

Fot. Andrzej Skwarczyński

> Na działania Rosji czy Niemiec, na „polskie obozy koncentracyjne", na inne szkalujące wypowiedzi światowych mediów, także oszustów udających naukowców w dziedzinie badań nad Holokaustem, Polska musi dawać odpowiedź. Tak jak szkolimy żołnierzy i kupujemy samoloty, budujemy gazoporty, trzeba zadbać o wizerunek Polski w świecie i świadomość historyczną własnych obywateli

Część krytyki prof. Wnuka jest zasadna. Ale nie mam wątpliwości, że bez względu na ilość przekazanych pieniędzy żadna inna placówka naukowa nie zastąpi IPN. Jak widać, bez słowa sprzeciwu, „główny nurt" polskiej nauki pozwala na funkcjonowanie Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFIS PAN. Przedstawicieli tego Centrum jak dotąd nikt nie zobligował nawet do odpowiedzi na artykuły, w których zilustrowano konkretnymi przykładami manipulację źródłami w ich pracach oraz posługiwanie się metodami „naukowymi" na miarę i skalę KC PZPR z lat 50. Może dlatego, że autorzy tych machinacji „wyrabiają punkty"?

Niech Bóg ochroni Polskę przed sytuacją, kiedy w dziedzinie podstawowych interesów państwa będzie ona zdana wyłącznie na polskie uniwersytety i PAN. Pasują one do obrony prawdy historycznej i interesów państwa jak – sięgając po klasyka – krowa pod siodło. Z tej perspektywy sytuacja jest prosta. Albo 40-milionowy kraj leżący pomiędzy dwoma historycznie umiarkowanie sympatycznymi sąsiadami, w miejscu krzyżowania się potężnych interesów politycznych i finansowych będzie prowadził własną politykę historyczną, albo stanie się postawem czerwonego sukna, które będzie rwał kto żyw naokoło. To będzie IPN czy go nie będzie? Oto jest pytanie.

Autor jest pracownikiem IPN, artykuł odzwierciedla wyłącznie jego poglądy

eprasa.pl 579f46c997

Pięta achillesowa światowej gospodarki i polityki

Po sześciu dniach udało się odblokować Kanał Sueski – liczącą sobie 163 km jedną z najruchliwszych arterii morskich świata. Według szacunków brytyjskiego Lloyda dziennie przepływają nim ładunki o wartości niemal 10 mld dol., a rocznie 12 proc. globalnego handlu. Czy te sześć dni wstrząśnie światową polityką?

MAREK BUDZISZ

Jeden z największych na świecie kontenerowców, mający 400 m długości „Ever Given", na którego pokładzie znajdowało się 20 tys. 24-tonowych kontenerów, utknął w poprzek kanału, blokując ruch w obie strony. Stało się to w czasie burzy piaskowej, kiedy wiał intensywny wiatr. Zdaniem niektórych specjalistów ustawione na pokładzie statku jedne na drugich kontenery mogły zadziałać niczym żagiel, co dodatkowo ograniczało sterowność statku i tak nieuchodzącego ze względu na swą wyporność (200 tys. ton) za specjalnie zwrotny. Oficjalne dochodzenie na temat powodu wypadku dopiero się zaczyna i nie można dziś powiedzieć, czy nie popełniono przy okazji błędów nawigacyjnych. Znana światowa grupa dziennikarzy dochodzeniowych The Bellingcat sformułowała jeszcze jedną ciekawą hipotezę na temat powodów wypadku. Ich zdaniem przyczyniło się do niego to, że kanał jest źle konserwowany przez władze Egiptu, tor wodny o głębokości 25 m jest wąski, a po obu stronach kanału, zwłaszcza jeśli chodzi o wschodni brzeg, mamy do czynienia z mieliznami o szerokości niemal równej połowie szerokości całego Kanału Sueskiego, co znakomicie utrudnia nawigację zwłaszcza w przypadku tak dużych jednostek.

SKUTECZNA AKCJA

Osama Rabie, kierujący firmą zarządzającą Kanałem Sueskim, może mówić o wielkim szczęściu, że po sześciu dniach walki udało się przekręcić kontenerowiec i ściągnąć go z mielizny. W tym celu specjalistyczna firma Bernhard Schulte Shipmanagement (BSM), zajmująca się ratownictwem morskim, sprowadziła 12 ciężkich holowników (niektóre przypłynęły z Japonii i Holandii), zaangażowano pogłębiarki, a na brzegach użyto nawet zwykłych koparek gąsiennicowych, których zdjęcia obiegły cały świat. Kierujący akcją ratunkową powiedzieli BBC, że po to, aby poruszyć gigantyczny kontenerowiec, trzeba było wybrać 30 tys. m sześc. piasku z dna kanału. Jednak o powodzeniu całej akcji zdecydowało nagłe polepszenie się warunków, pojawiła się niespotykanie wysoka fala, która ułatwiła pracę holowników. Gdyby operacja zepchnięcia z mielizny statku „Ever Given" nie udała się w tak szybkim tempie, scenariusz awaryjny przewidywał rozładowanie kontenerowca, by zmniejszyć jego zanurzenie (Tak uczyniono w przypadku tankowca „Tropic Brilliance", który w 2004 r. na trzy dni zablokował kanał. Wówczas udało się ściągnąć statek z mielizny, gdy z jego ładowni wypompowano ropę). W przypadku „Ever Given" zdjęcie z jego pokładu nawet części z 20 tys. kontenerów nie byłoby rzeczą prostą, zajęłoby zapewne kilka tygodni, a zdaniem niektórych ekspertów, gdyby doszło do przesunięcia ładunku, statek mógłby nawet zatonąć.

Prezydent Egiptu Abd al-Fattah as-Sisi po tym, jak kanał udało się odblokować, ogłosił „wielki sukces Egiptu" i zapowiedział zakup dodatkowego sprzętu po to, aby uniknąć podobnych sytuacji w przyszłości. Nie zmienia to jednak faktu, że stan kanału i jego toru wodnego oraz znalezienie odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie udało się dokończyć równoległego toru wodnego, którego budowę władze rozpoczęły w roku 2014, a zaprzestały po przekopaniu 72 km, staną się prawdopodobnie w najbliższym czasie przedmiotem światowej debaty.

LOGISTYCZNA REWOLUCJA

Tym bardziej że wypadek zdarzył się w trudnym dla branży okresie. Koszt wysłania kontenera z Chin do Europy wzrósł w ostatnim czasie do poziomu powyżej 6 tys. dol., podczas gdy jeszcze w marcu ubiegłego roku, zanim gospodarkę zamroziła pandemia, tego rodzaju usługa kosztowała 1,3 tys. dol. Zaczęło nawet brakować wolnych kontenerów. Powodem jest oczywiście COVID-19, a precyzyjnie rzecz ujmując to, że gospodarka Chin i innych państw azjatyckich ruszyła, a w Europie nadal mamy do czynienia z lockdownem. Importerzy nie przewidzieli takiej sytuacji, mają puste magazyny, na gwałt zaczęli ściągać potrzebne im

eprasa.pl 579f46c997

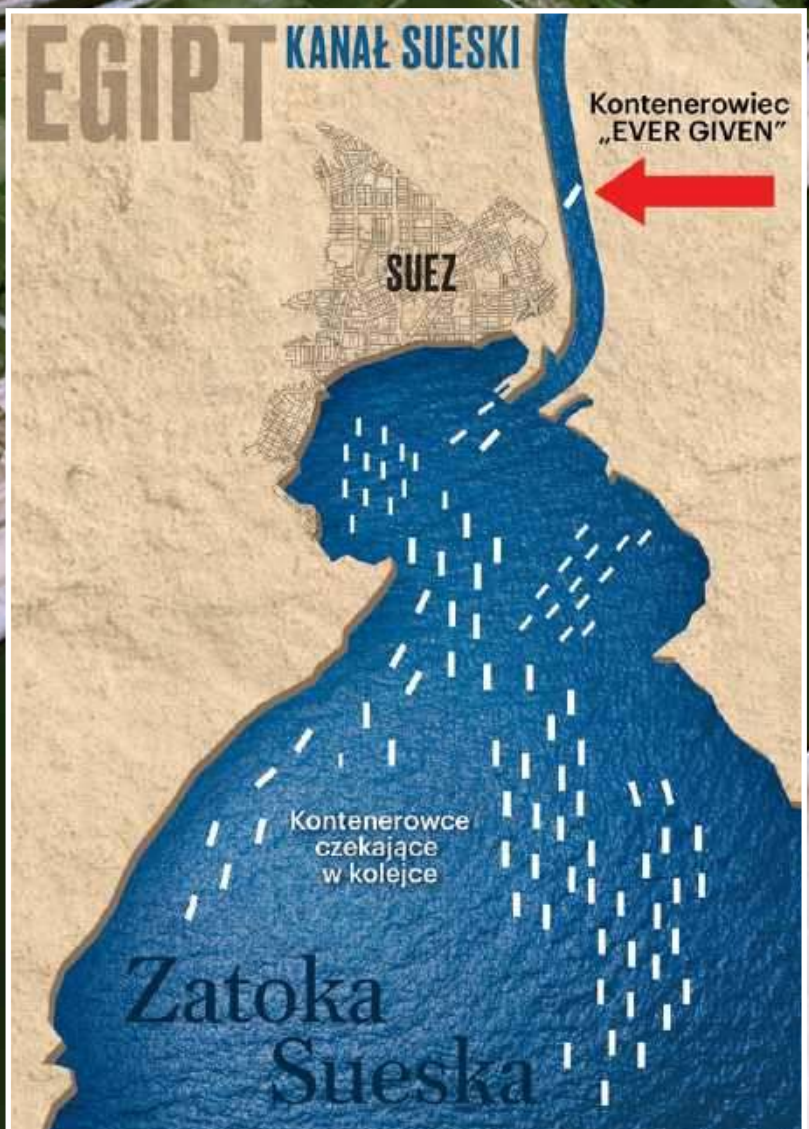

towary i półprodukty. To spowodowało wielkie korki w chińskich portach i skokowy wzrost cen frachtów.

Zablokowanie na kilka dni Kanału Sueskiego, jak powiedział dziennikowi „The Financial Times" Søren Skou, dyrektor zarządzający AP Møller-Mærsk, światowego potentata w zakresie morskiego transportu kontenerowego, będzie miało dla globalnej gospodarki fundamentalne skutki. W jego opinii wiele firm już zaczęło odchodzić od dotychczasowego modelu zaopatrzenia, w którym liczyła się terminowość dostaw. Pozwalało to zaoszczędzić na powierzchniach magazynowych, ale przede wszystkim nie gromadzić wielkich zapasów niezbędnych do rytmicznej produkcji. Warunkiem funkcjonowania tego systemu był logistyczny kunszt, takie zgranie dostaw, aby docierały one w czasie, kiedy są potrzebne, i możliwie krótko zalegały w magazynach. Tylko że obecnie w ogóle nie ma o tym mowy, mamy nawet do czynienia z przerwami w zaopatrzeniu, o czym boleśnie przekonało się wielu europejskich producentów samochodów, którzy zostali zmuszeni w ostatnim czasie do zatrzymania linii w wielu fabrykach z powodu braku produkowanych w Chinach i na Tajwanie mikrochipów. W rezultacie, jak zauważa Søren Skou, najwięksi importerzy już zaczęli odchodzić od tego modelu, szukać dostawców położonych bliżej niźli na drugim końcu świata i myśleć, że lepiej mieć trzech, czterech kooperantów w kluczowych segmentach niźli jednego. To wszystko będzie powodować, że łańcuchy zaopatrzenia, o których tyle się mówi w ostatnim czasie, zaczną się skracać, na czym mogą zyskać producenci z krajów bliżej położonych, np. z Europy Środkowej.

NIEBEZPIECZNA ŻEGLUGA

Ale sześciodniowa blokada Kanału Sueskiego pokazała też, jak ważne geostrategicznie znaczenie ma ta arteria komunikacyjna i co może się stać w przypadku jej unieruchomienia, tak jak to było w latach 1967–1975, kiedy po wojnie arabsko-izraelskiej żegluga została na lata wstrzymana. Tylko że wówczas intensywność tej żeglugi nie była taka jak dzisiaj, a światowa gospodarka, będąca jeszcze przed epoką globalizacji, w znacznie mniejszym stopniu uzależniona była od kooperacji. Kilkadziesiąt statków po to, aby uniknąć „stania w korku", zdecydowało się, jak powiedział BBC Guy Platten, sekretarz generalny Międzynarodowej Izby Morskiej, wybrać starą trasę biegnącą dookoła Afryki. A to oznacza nie tylko wydłużenie rejsu o 3,5 tys. mil morskich i 12 dni, co kosztuje każdą jednostkę średnio 400 tys. dol., lecz również zmusza do podjęcia dodatkowego ryzyka związa-

Fot. AFP PHOTO / CNES 2020 / EastNews

eprasa.pl 579f46c997

nego z żeglugą po niebezpiecznych wodach. W tym wypadku chodzi o grasujących u wybrzeży Nigerii piratów porywających statki dla wymuszenia okupu od zdesperowanych armatorów oraz zaostrzającą się w tych właśnie dniach sytuację u wybrzeży Mozambiku w związku z trwającą w tym kraju ofensywą antyrządowej partyzantki, powiązanej z ISIS, której żołnierze zaatakowali i podobno zajęli ostatnio miasto portowe Pemba.

Przedstawiciel amerykańskiej V Floty powiedział dziennikowi „Financial Times", że w dniach, kiedy Kanał Sueski był zablokowany, dowództwo zasypywane było pytaniami i prośbami wiodących armatorów, których interesowała sytuacja w zakresie bezpieczeństwa na wodach międzynarodowych okalających Afrykę i to, czy amerykańskie jednostki będą chronić statki handlowe przed atakami piratów.

ZAPALNY PUNKT

To, co się stało w Kanale Sueskim, pozwala też zrozumieć, dlaczego wszyscy światowi gracze chcą mieć swe bazy wojskowe w bezpośredniej jego bliskości. Chińczycy utworzyli bazę w Dżibuti, gdzie już wcześniej byli obecni Amerykanie, Francuzi, Włosi i Japończycy. Rosjanie niedawno zawarli porozumienie z władzami Sudanu, przewidujące budowę ich bazy w Port Sudan nad Morzem Czerwonym. Rosjanie są zresztą obecni w Syrii i ze zlokalizowanych tam baz wojskowych są w stanie kontrolować wejście do Kanału Sueskiego i całą wschodnią część Morza Śródziemnego.

Wojna w Jemenie jest dla świata tak ważna nie dla tego, że wszyscy pasjonują się walką Huti z Arabią Saudyjską, ale z tego powodu, że ten, kto kontroluje kraj, a trzeba pamiętać, że antyrządowi powstańcy korzystają ze wsparcia Iranu, kontrolować może przy niewielkim nakładzie środków akwen, przez który muszą przepłynąć wszystkie statki udające się w stronę Kanału Sueskiego, co oznacza, że zablokowanie 12 proc. światowego handlu może być łatwiejsze, niźli się to wielu wydaje.

ROSYJSKA SZANSA

W Moskwie, mimo że w blokadzie utknęły również rosyjskie statki przewożące towary i surowce o wartości przekraczającej 300 mln dol., widzą w tym, co się stało, paradoksalnie szansę dla siebie. Już pojawiły się argumenty, że transport rosyjskiej ropy i gazu ziemnego do Europy za pośrednictwem gazociągów, w tym Nord Stream 2, jest znacznie pewniejszy niż żegluga po coraz bardziej niebezpiecznych wodach światowych oceanów. Z tego też powodu to Europa, jeden z głównych światowych importerów surowców energetycznych, dla swego bezpieczeństwa powinna być zainteresowana dokończeniem budowy gazociągu. Ale główną szansę Rosjanie dostrzegają w możliwości promowania żeglugi za pośrednictwem kontrolowanej przez siebie Północnej Drogi Morskiej. Sprzyjać ma temu kurczenie się pokrywy lodowej w efekcie ocieplania się klimatu, co wydłuża okres, kiedy można ją pokonywać bez asysty lodołamaczy, oraz to, że Moskwa zbudowała wzdłuż całego biegu tej trasy sieć baz wojskowych, mogących chronić bezpieczeństwo żeglugi. Dodatkowym benefitem może być to, że żegluga wzdłuż północnych brzegów Federacji Rosyjskiej pozwala w porównaniu ze szlakiem przez Kanał Sueskim o 40 proc. zaoszczędzić czas i w związku z tym koszty dostarczenia kontenerów z Chin do Europy. Nie ma też korków. Chińczycy powinni zaś być, zdaniem Rosjan, zainteresowani inwestowaniem w rosyjskie pola gazowe i naftowe zlokalizowane za kręgiem polarnym, bo to jedno z niewielu pewnych źródeł dostaw węglowodorów, których ich gospodarka potrzebuje coraz więcej. Inne trasy, takie jak przez cieśninę Malakka, można bardzo łatwo zablokować, a prawdopodobieństwo takiego rozwoju wydarzeń w dobie nasilającej się rywalizacji wielkich mocarstw jest coraz bardziej większe.

CO ĆWICZĄ FRANCUZI

To, co się stało w Kanale Sueskim, obok skutków dla światowej gospodarki jest ważne dlatego, że uruchomiło wyobraźnię wszystkich, którzy zobaczyli, jak łatwo zablokować jedną z kluczowych arterii komunikacyjnych świata. Zresztą podobna sytuacja dotyczy drugiego z wielkich kanałów – Panamskiego, który na dodatek osiągnął już maksimum swych możliwości i więcej statków tamtędy nie przepłynie. Te komunikacyjne wąskie gardła światowej gospodarki w nadchodzących czasach coraz ostrzejszej rywalizacji zaczynają być postrzegane w kategoriach pięty achillesowej. Państwa, których pomyślność gospodarcza jest uzależniona od drożności tras żeglugowych, stają się relatywnie bezbronne, jeśliby ich wrogowie doszli do wniosku, że osiągną swe polityczne cele, blokując lub utrudniając żeglugę. A to oznacza, że w wielu stolicach zapaliły się lampki ostrzegawcze, zapewne przygotowywane są scenariusze awaryjne, również z wykorzystaniem wojska.

Nie bez powodu, jak donosi brytyjski „The Economist", francuska armia zaczęła ostatnio intensywnie ćwiczyć, czego nie robiła w przeszłości, scenariusze tradycyjnej wojny z dużym przeciwnikiem, a nie nieregularnymi formacjami terrorystycznymi. Dziennikarze informują, że Francuzi testują, jak może wyglądać konflikt zbrojny z Rosją, ale również brane jest pod uwagę starcie z Turcją, skądinąd sojusznikiem z NATO. Zapewne jeszcze daleko do tego, aby „zagrały działa", ale już sam fakt prowadzenia tego rodzaju analiz pokazuje, jak szybko ewoluuje sytuacja w świecie. I to, że mamy do czynienia z powrotem tradycyjnych, wydawałoby się zapomnianych, scenariuszy. Warto pamiętać, że o kontrolę nad Kanałem Sueskim już raz w latach 1956–1957 toczyła się wojna.

eprasa.pl 579f46c997

„Czy Bliski Wschód traci swoją religię?” – tytuł, który niedawno pojawił się na stronie internetowej jednego z mediów zachodnich, brzmi zaskakująco. Czy to możliwe?

Islam w odwrocie?

GORAN ANDRIJANIĆ

Jaka „utrata religii”? Czy świat islamu nie rośnie w siłę i nie rozszerza swoich wpływów? Przecież w wielu dużych miastach cywilizacji zachodniej są dzielnice, w których rządzą muzułmańskie reguły religijne. Czy kraje islamskie (wśród których są i takie, gdzie istnieją autentyczne reżimy teokratyczne) nie wyglądają jak bastion ortodoksji wiary Mahometa? Do tego stopnia, że zdarzają się tam sytuacje nie do pomyślenia dla ludzi ukształtowanych na Zachodzie. Jak choćby ta, kiedy to Norweżka w Zjednoczonych Emiratach Arabskich zgłosiła gwałt, a potem trafiła do więzienia za „seks pozamałżeński”.

ZASKAKUJĄCE BADANIA

Statystyki są nieubłagane i od kilku lat uparcie powtarzają: w krajach Bliskiego Wschodu dzieje się coś wielkiego w kwestii religii. Badania pokazują, że maleje liczba wyznawców religii instytucjonalnej, zwłaszcza wśród ludzi młodych. Coraz większa liczba wyznawców islamu dąży do poważnych „reform” w swojej religii. Sekularyzacja, globalizacja oraz wartości z nimi związane są coraz bardziej obecne w świecie islamskim.

Istnieje kilka badań na ten temat, a jedno z ostatnich dotyczy Iranu, twierdzy szyickiego islamu. To badanie zorganizowane wspólnie przez dwa holenderskie uniwersytety (Tilburg i Utrecht). Ich eksperci przepytali przez internet aż 50 tys. Irańczyków i uzyskali interesujące dane.

80 proc. jego uczestników stwierdziło, że wierzy w Boga, ale tylko 32,2 proc. określiło się jako szyiccy muzułmanie. A to jest znacznie mniejszy odsetek, niż wynika z oficjalnych danych. Ponad jedna trzecia respondentów stwierdziła, że albo nie należy do żadnej religii, albo jest ateistyczna lub agnostyczna. Od 43 do 53 proc. z nich, w zależności od grupy wiekowej, sugerowało, że ich poglądy religijne zmieniły się w czasie, a 6 proc. stwierdziło, że przeszło na inną orientację religijną.

Co ciekawe, aż 68 proc. badanych sprzeciwia się włączeniu zasad religijnych do ustawodawstwa krajowego, a 70 proc. odrzuciło publiczne finansowanie instytucji religijnych. 56 proc. było przeciwnych obowiązkowej edukacji religijnej w szkołach, a 72 proc. zmuszaniu kobiet do noszenia hidżabu w miejscach publicznych. Prawie 60 proc. przyznało, że się nie modli.

Mamy też badania z Libanu, przeprowadzone przez Arab Barometer, największą agencję badawczą w regionie. Okazało się, że w ciągu 10 lat pobożność osobista spadła w tym kraju aż o 43 proc. A to oznacza, że tylko 25 proc. Libańczyków deklaruje się jako wierzący.

> Bliski Wschód oraz pozostałe kraje związane z islamem, w tym największy, jakim jest Indonezja, dotknęła globalizacja. A ta niesie z sobą wartości, można by rzec, świecko-zachodnie. Te same sieci restauracji, podobna muzyka co najwyżej z lokalnymi naleciałościami

Ta sama agencja porównała ankiety, które przeprowadziła w kilku krajach arabskich w okresie siedmiu lat (od 2012 do 2019 r.). To zestawienie pokazało gwałtowne zmniejszenie się zaufania do przywódców religijnych, a także spadek liczby muzułmanów, którzy odwiedzają meczety przynajmniej raz w tygodniu.

To tylko niektóre z badań, które wyraźnie pokazują spadek religijności w krajach muzułmańskich. A zatem sekularyzacja społeczeństwa nie jest tylko fenomenem cywilizacji zachodniej. Globalizacja, wzmocniona potęgą internetu, działa wszędzie.

WIELKIE ROZCZAROWANIE

Zdaniem Dominiki Kovačević, arabistki i islamistki z Warszawy, która studiowała w Libanie, przyczyny tego procesu są wielowymiarowe.

– Bliski Wschód oraz pozostałe kraje związane z islamem, w tym największy, jakim jest Indonezja, dotknęła globalizacja. A ta niesie z sobą wartości, można by rzec, świecko-zachodnie. Te same sieci restauracji, podobna muzyka co najwyżej z lokalnymi naleciałościami. Przez telewizję – nawet niezamożne rodziny w Egipcie mają zamontowaną antenę satelitarną – czy internet muzułmanie zobaczyli nowe wzorce. Niejeden muzułmański chłopak pierwszy raz życiu mógł zobaczyć dziewczyny w swoim wieku w stroju codziennym – w niektórych krajach nie ma koedukacji aż do poziomu uniwersyteckiego, a czasem nawet wtedy istnieje podział grup zajęciowych ze względu na płeć. To wszystko pokazuje, że można żyć inaczej, niż zakłada islam – wyjaśnia.

Ale dystansowanie się obywateli od islamu ma również inne powody. – Chodzi o rozczarowanie polityką i wojnami. Właściwie nie było w ostatnich latach konfliktu zbrojnego na Bliskim Wschodzie, który w jakiś sposób nie dotykałby kwestii religijnych. Na tej fali początkowo radykalne ugrupowania muzułmańskie zyskały popularność – czy to w trakcie rewolucji w Egipcie, czy w Iraku, czy w Syrii. Jednakże rządy tych ugrupowań nie przyniosły ani spokoju, ani stabilizacji. A skoro te ugrupowania reprezentują „czysty” islam, to niektórzy są skłonni uznać, że islam jako taki jest przeszkodą dla pokoju czy postępu – mówi Kovačević.

Oczywiście podobnie jak na Zachodzie sekularyzacja postępuje najszybciej wśród młodych, co pokazują badania.

– Młodzi przez częste korzystanie z nowych technologii mają większy dostęp do innych modeli życia społecznego i osobistego. Dochodzi do tego większe pragnienie wolności, co cechuje każde młode

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 579f46c997

pokolenie, a na Bliskim Wschodzie, w wyniku wydarzeń minionych dekad, jest ono tym mocniejsze. Islam kojarzy się z ograniczeniami zarówno w skali życia codziennego, jak i życia państwowego. Zerwanie z zasadami islamu może się kojarzyć z wolnością – zauważa arabistka.

Proces sekularyzacji dostrzegają także władcy Bliskiego Wschodu, którzy szukają nowych sposobów legitymizacji swoich rządów. Tak należy odczytywać niektóre ich decyzje. W Zjednoczonych Emiratach Arabskich w listopadzie ub.r. państwo zniosło zakaz wspólnego mieszkania dla par pozamałżeńskich, zalegalizowało alkohol i nakazało sędziom nakładanie surowszych kar za tzw. zabójstwa honorowe, w których najczęściej zabijano kobiety.

Reakcje na te procesy są jednak mocno zróżnicowane. – W islamie są różne nurty. Grupy i tradycje bardziej radykalne oczywiście uważają, że to, co się dzieje, jest konsekwencją złych wpływów zachodnich i „krzyżowców", zatem wzywają do powrotu do źródeł, nierzadko w radykalnej formie. Z drugiej strony pojawiają się grupy nastawione na dialog z chrześcijanami i Zachodem, by islam przeobrażać. Pojawiają się nowe interpretacje Koranu i różnych zasad, niektórzy uznają je za prawdziwy powrót do źródeł – twierdzi Kovačević.

Można powiedzieć, że jest to swego rodzaju racjonalizacja pewnych aspektów islamu, o której konieczności mówił także Benedykt XVI w słynnym przemówieniu wygłoszonym w Ratyzbonie w 2006 r. Islam, powiedział wtedy papież, musi wyjaśnić swoją relację z rozumem i przemocą. Kovačević również zwraca na to uwagę. – Niektórzy uczeni wręcz mają odwagę skłonić się ku badaniom mędrców chrześcijan syryjskich i zachodnich oraz na nowo spojrzeć na kwestię powstawania Koranu, rewizji opowieści o muzułmańskim podboju itd., by dać obraz otwartości i wolności, a nie zamknięcia i niewoli, które odpychają część wiernych.

ZEJŚCIE ZE ŚCIEŻKI

Jednak obok tych pozytywnych przejawów cały ten proces sekularyzacji ma również aspekty negatywne. – Na przestrzeni wieków islam mocno wchodził w sferę życia codziennego i mocno wpływał na kulturę – zauważa Kovačević. Dlatego pojawia się pytanie, gdzie jest granica pomiędzy arabską kulturą a islamem? Czy odejście od islamu nie jest jednocześnie odejściem od całej kultury? I co to oznacza dla tych kultur, zwłaszcza gdy wiemy, że obliczem globalizacji są nie tylko prawa człowieka i dobrobyt gospodarczy, lecz także kulturobójstwo, konsumpcjonizm i narzucanie ideologicznego, najczęściej lewicowo-liberalnego wzorca?

W większości bogate kraje islamskie nie znajdują się w sytuacji biednych państw afrykańskich, na których terenie odbywa się „kolonizacja ideologiczna". Tam pomoc w budowie szpitali jest uwarunkowana legalizacją aborcji. Istnieją jednak inne metody narzucania wzorców kulturowych, często skuteczniejsze. Czy dzieje się tak w krajach islamskich? Czy tutaj też chodzi o wymuszoną ateizację?

– Zjawisko ateizmu na Bliskim Wschodzie wciąż jest tematem tabu – zarówno wśród muzułmanów, jak i chrześcijan – mówi Kovačević i dodaje: – Tu warto zaznaczyć, że po arabsku słowo używane jako odpowiednik terminu „ateizm" w językach europejskich, jest bardzo specyficzne. Ilḥād to dosłownie zboczenie z jakiejś ścieżki – czyli termin ten zakłada, że istnieje jakaś właściwa droga postępowania i życia. Zatem na Bliskim Wschodzie wciąż trudno spotkać osobę, która na pytanie: „Czy wierzysz w Boga?", odpowie: „Nie". Bardziej tu chodzi o odejście od utożsamiania się z „oficjalnymi" religiami. I rozgraniczenie sfery sacrum od profanum, co jest trudne, bo islam w zasadzie nie uznaje czegoś takiego jak sfera świecka, co widać chociażby w jego prawodawstwie, mocno rozbudowanym w ramach odmiennych szkół prawa, które są czymś osobnym niż szkoły teologiczne.

Trzeci powód wiąże się z dwoma poprzednimi. To racjonalizacja poprzez poznawanie wzorców zachodnich oraz rozczarowanie sytuacją polityczną i społeczną w swoim środowisku. Odchodzenie od islamu, przynajmniej w jego „tradycyjnej" wersji, można zaobserwować wśród inteligencji Bliskiego Wschodu od dawna. W poezji widać zwątpienie w Miłosiernego Boga – a tą inwokacją zaczyna się każda muzułmańska modlitwa czy wystąpienie. Prezydent Tunezji w trakcie ramadanu pije sok, by pokazać, że kraj aspiruje do bycia otwartym i zachodnim, postuluje, że prawo do edukacji mają wszyscy i nie może się ona opierać tylko na szkołach religijnych...

Dokąd zmierza islam, to pytanie otwarte.

> Odchodzenie od islamu, przynajmniej w jego „tradycyjnej" wersji, można zaobserwować wśród inteligencji Bliskiego Wschodu od dawna

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 5[illegible]997

Od dziecka miała kontakt ze sceną i światem wielkiej sztuki. Na ekranie była już zaginioną dziewczyną i przeciwniczką Bonda, Marią Skłodowską-Curie i romantyczną panną Bennet. Za główną rolę w filmie „O wszystko zadbam" Rosamund Pike odebrała w tym roku statuetkę Złotego Globu

Na stronę kina przeciągnął ją Bond

Fot. Featureflash Photo Agency/Shutterstock

eprasa.pl 579f46c997

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Zjawiskowa chłodna uroda i dystans w zachowaniu – zarówno przed kamerą, jak i w życiu prywatnym – sprawiają, że Rosamund Pike bywa porównywana do Grace Kelly. Jednak w przeciwieństwie do najsłynniejszej księżnej wśród aktorek potrafi być na ekranie również drapieżna i niebezpieczna.

ŚLICZNA WIOLONCZELISTKA

Odebrała staranne wykształcenie (obejmujące m.in. grę na fortepianie i wiolonczeli, jest podobno znakomitą wiolonczelistką). Urodzona w 1979 r. w Londynie wiele podróżowała z rodzicami (ojcem śpiewakiem operowym i mamą skrzypaczką) po Europie. Od dziecka miała kontakt ze sceną i światem wielkiej sztuki.

Jako nastolatka trafiła na deski londyńskiego National Youth Theatre. Występ w sztuce „Romeo i Julia" zwrócił na nią uwagę aktorskiego agenta. Zaczęła grać w serialach i filmach telewizyjnych, równocześnie studiując literaturoznawstwo. Na stronę kina blisko dwie dekady temu przeciągnął ją ostatecznie Bond, James Bond.

KINOWE OTWARCIE

W filmie, który w tym roku przyniósł jej statuetkę Złotego Globu, atrakcyjna 42-latka z klasą sprzeniewierza pieniądze i niszczy ludzi, którym jej bohaterka miała zapewnić dostatni spokój. Jako opiekunka z urzędu wbrew prawu ubezwłasnowolnia swoich podopiecznych, starszych ludzi, i przejmuje władzę nad nimi oraz ich majątkami.

Bezwzględna Marla Grayson z „O wszystko zadbam" (do obejrzenia na platformie Netflix) przypomina ekranową postać z początków kariery Rosamund Pike. Tę, która dała jej rozpoznawalność, czyli Mirandę Frost z bondowskiego filmu „Śmierć nadejdzie jutro" (2002). Jeśli nie liczyć niewielkiej rólki w nakręconym cztery lata wcześniej brytyjskim filmie „Prawdziwe angielskie małżeństwo", było to kinowe otwarcie dla ówczesnej 23-latki. W hollywoodzkiej produkcji na pewno.

U boku Pierce'a Brosnana i Halle Berry Rosamund Pike stworzyła postać daleką od wielu jej późniejszych ról. Zwłaszcza uroczej Jane Bennet z filmu „Duma i uprzedzenie" (2005) Joego Wrighta, gdzie nie przyćmiła jej gwiazda produkcji Keira Knightley.

Jednak prawdziwym przełomem w karierze aktorki stała się dopiero rola w „Zaginionej dziewczynie" Davida Finchera. W 2015 r. była za nią nominowana do Oscara, dostała też pierwszą szansę na Złoty Glob. Kolejna przyszła wraz z postacią amerykańskiej korespondentki wojennej Marie Colvin w „Prywatnej wojnie" (2018). Trzecie podejście – w „O wszystko zadbam" – dało jej już statuetkę Hollywoodzkiego Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej.

W 2019 r. premierę miał brytyjski film „Radioactive" (w polskiej wersji „Skłodowska").

Kadr z filmu „Śmierć nadejdzie jutro"

Marjane Satrapi pokazała w nim drogę przyszłej noblistki do naukowych osiągnięć i sławy, ale także jej relacje z mężem. Główną postać zagrała (oczywiście po angielsku) płynnie posługująca się również językiem francuskim i niemieckim Rosamund Pike. W roli 18-letniej córki Marii Skłodowskiej-Curie została obsadzona Anya Taylor-Joy (tegoroczny Złoty Glob za „Gambit królowej").

BEZ PRZESZKÓD

O tym, że dostała statuetkę za postać stworzoną w „O wszystko zadbam", dowiedziała się bez przeszkód, co było dla niej nowym doświadczeniem, bo często przegapia ważne wiadomości dotyczące jej życia zawodowego. – Gdy zdobyłam nagrodę Emmy (w 2019 r. za rolę w krótkometrażowym serialu „Status związku"), leciałam samolotem – wspomina. – A kiedy otrzymałam propozycję zagrania w Bondzie, byłam na wyjeździe bez telefonu.

Z początku – jak mówi – nie rozumiała motywacji Marli Grayson: – Musiałam się zanurzyć w tę postać na tyle, by poczuć, na czym jej zależy – zrozumieć tę niepohamowaną żądzę władzy, bogactwa i innych rzeczy, które nie mają dla niej znaczenia. Marla myśli: „Kiedyś zostałam oszukana, więc teraz ja będę nieczysto grać". Okazuje się, że system umożliwia nieczystą grę. Jonathan Blakeson stworzył satyrę na amerykański sen, w którym wymiar sprawiedliwości i służby zdrowia miały chronić najbardziej potrzebujących.

Kadr z filmu „O wszystko zadbam"

Pierwszy lockdown aktorka spędziła w Pradze, gdzie nagrywany był serial fantasy „The Wheel of Time". Towarzyszył jej partner, matematyk Robie Uniacke, oraz ich dwaj synowie; urodzony w 2012 r. Solo oraz dwa lata starszy Atom.

Fot. Netflix, materiały prasowe

eprasa.pl 579f46c997

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Jarocki – genialny despota

TVP1 przypomniała „Tango" Sławomira Mrożka w reżyserii Jerzego Jarockiego. Wystawione w Teatrze Narodowym w roku 2009, a potem w roku 2012 przeniesione do telewizji – jako transmisja z sali teatralnej.

To jeden z kilku spektakli mojego życia. Obejrzany z pięć razy – dzięki telewizji, chociaż po raz pierwszy w teatrze. Znałem „Tango", z kolei dramat mego życia, prawie na pamięć i jednak padłem na kolana. Nawet jeśli wyobrażam sobie inną wersję, też idealną, bardziej komiczną na przykład. Jarocki trochę humor tego tekstu stępił. Był skoncentrowany na kilku przesłaniach poważnych.

O czym to jest? O kryzysie świata, który rozgrywa się w czterech ścianach pewnej rodziny. O uchodzącym za postęp rozmemłaniu i zatracie idei, które prowadzą w finale do przemocy. Nic tu nie jest realne. To zaprzeczenie teatru psychologicznego, choć postaci mają swoje wcale zgrabnie nakreślone charaktery. Co ważniejsze, Mrożek nie gra w niczyjej orkiestrze: konserwatywnej, liberalnej, lewicowej. Z tego powodu nie pozostawia nadziei. A pisał to w 1964 r., kiedy pewne zjawiska jeszcze się nie ziściły lub ledwie rysowały. Był trochę prorokiem.

Jerzy Jarocki nigdy by nie poszedł na fałszywe aktualizacje – jak w oglądanym przeze mnie kilka lat temu toruńskim „Tangu", gdzie brutalny prostak Edek okazuje się narodowcem i zamiast „Ja cię kocham, a ty śpisz" jako swoją maksymę wykłada „Bóg. Honor. Ojczyzna". Mrożek był za mądry na zabawy polityczną publicystyką. Jarocki z kolei gardził teatrem „aktualnym", interwencyjnym. Toporne już nawet nie aluzje, ale nachalne wtręty stały się wizytówką dzisiejszych scen teatralnych. Narodowy wciąż tego jakoś unika.

Owszem, Jarocki zrobił rzecz dla mnie kontrowersyjną: dopisał do eksperymentu Stomila kawałek „Raju utraconego" Johna Miltona. Mrożek bardziej rozmemłanego artystę Stomila ośmieszył, reżyser dał mu jakąś szansę. To do tych, którzy z kolei oburzają się, że nie wolno nigdy niczego zmienić czy dopisać do klasycznych tekstów. Wolno wielkim!

Po drugie, trwa teraz dyskusja o przemocy w teatrze. Jarocki bywał despotą, mało ufał inwencji aktorów, może i mylił się w tym czasem. Ale powstawały z tych wielogodzinnych, niekończących się prób, z tego cyzelowania każdego szczegółu, dzieła wielkie albo przynajmniej bardzo dobre. Ważne, oddające największe myśli autora, jeszcze z naddatkiem od samego Jarockiego. Z naddatkiem, ale nie z umieszczeniem ponad tekstem reżyserskiego ego. Tą swoją wielkością, tymi dokonaniami różnił się ten twórca od niektórych nazwisk artystów wymienianych dzisiaj jako „przemocowcy". Ile oni pozostawią po sobie poza kabotyństwem – także w podejściu do aktorów?

No i obsada: Marcin Hycnar (Artur), Grzegorz Małecki (Edek), Katarzyna Gniewkowska (Eleonora), Jan Frycz (Stomil), Jan Englert (Wuj Eugeniusz), Ewa Wiśniewska (Babcia Eugenia), Kamila Baar (Ala). To jest zagrane tak równiutko, tak perfekcyjnie, że od razu wiemy: nie zestarzeje się nigdy! Hycnar jest kwintesencją Artura, a Małecki – kwintesencją Edka.

Tak te wszystkie role są mocne, a podejście Jarockiego uderzające przemożną powagą, że zacząłem też zwracać uwagę na „drugi plan". Nagle pojmujemy dzięki Wiśniewskiej osobny dramat Babci, traktowanej zwykle jako pocieszna dekoracja. A choć odpowiada takim ludziom jak ja początkowa krytyka świata w rozkładzie podjęta przez młodego rezonera Artura, ważniejsze od zwycięstwa jakiejkolwiek racji ideowo-politycznej są uwagi Ali o miłości. To zabrzmiało w finale tak klarownie w ustach Kamili Baar. To zwycięstwo teatru przez wielkie „T".

Piotr Zaremba

eprasa.pl/c/f46c997

3 MIŁOŚCI

Niedziela Miłosierdzia

ROBERT TEKIELI

Dla pogubionych to chyba najważniejsze na początek chrześcijańskie święto. Mówię to z perspektywy człowieka, którego Bóg wydobył z duchowej otchłani m.in. dzięki modlitwie przed obrazem „Jezu, ufam Tobie". Obraz dostałem w stanie wojennym od zakochanej we mnie dziewczyny, która nie mogła pogodzić się z tym, jak się staczam, będąc w rozpaczy. 12 lat później od półgodzinnej modlitwy przed postrzępionym już wtedy obrazem na tekturze wielkości zeszytu A4 rozpoczął się drugi, ten lepszy rozdział mojego życia.

To, co wtedy czułem, jest nie do opisania. Doświadczenie fizyczne – jakby przeszyła mnie jakaś moc, ogień. Jakby we mnie strzelił piorun, tylko że piorun był czymś ciepłym, był z Mocą. Pierwszy raz w życiu płakałem z radości – tak o przeżyciu podobnym do mojego mówiła jedna z osób w prowadzonej przeze mnie audycji radiowej ze świadectwami. A inna dopowiedziała, czym jest to ekstatyczne doznanie dotknięcia przez Boga: – Następnego dnia zobaczyłam wschód słońca, ptaki na łące, zupełnie inaczej zobaczyłam świat. Czułam spokój i radość. Z oczu opadły mi łuski. Czułam wielkie ciepło i wielką miłość, radość. Zrozumiałam, że to świadomość obecności Boga.

Jest tylko jedno, poza śmiercią, doświadczenie dotykające absolutnie każdego człowieka. Cierpienie. Religie pierwotne, poza narkotykami czy ćwiczeniami transowymi, nie wymyśliły niczego, by z nim się uporać. Religie młodsze, takie jak buddyzm, mają do zaoferowania jedynie swego rodzaju ucieczkę, choćby w nirwanę redukującą osobowy wymiar człowieka. Dopiero chrześcijaństwo przyniosło odpowiedź na to uniwersalne, ludzkie wyzwanie. Nie, nie da się cierpienia nie doświadczać. Ale można mu nadać sens. Tak na przykład swym cierpieniem w trakcie wielodniowej pieszej pielgrzymki dzieci alkoholików łamią uzależnienie swych ojców.

Święto Miłosierdzia Bożego jest możliwe dzięki cierpieniu Jezusa. Pierwsza niedziela po Wielkanocy jest świętem dla grzeszników. Jezus powiedział o nim do siostry Faustyny: „W dniu tym otwarte są wnętrzności miłosierdzia Mego, wylewam całe morze łask na dusze, które się zbliżą do źródła miłosierdzia Mojego. Która dusza przystąpi do spowiedzi i Komunii świętej, dostąpi zupełnego odpuszczenia win i kar. W dniu tym otwarte są wszystkie upusty Boże, przez które płyną łaski". Komunia w stanie łaski uświęcającej – jeśli zrobimy to, nie będąc przywiązani do żadnego grzechu, w postawie ufności wobec Boga i czynnej miłości bliźniego, skorzystać możemy z całkowitego oczyszczenia. Bóg daje w tę niedzielę możliwość przemiany człowiekowi, który byłby najgorszym nawet grzesznikiem. Nawet gdyby skorzystał z tej szansy doktor Mengele czy Feliks Dzierżyński.

Jezu, ufam Tobie! W tych trzech słowach zawiera się całe chrześcijaństwo, które jest religią relacji, a nie przykazań czy rytuałów. Przyjaźń rodzi zaufanie i na odwrót. Ufać komuś, to kochać go. Jezus oczekuje od swych przyjaciół, by najpierw kochali Ojca, a dzięki tej miłości mogli kochać bliźniego i siebie samego z tą samą, wielką siłą.

Więc jeśli ktoś czuje się zagubiony, przegrywa właśnie życie albo ma wrażenie, że tak się stało; jeśli ktoś nie może znaleźć sensu w tym, co dotąd go nakręcało, jeśli walą się najważniejsze relacje; ale też każdy, kto odczuwa jakąkolwiek formę cierpienia, jeśli czuje samotność, zazdrość, przygnębienie, złość, bunt, wściekłość, rozżalenie, frustrację, lęk, panikę, obawę, rozczarowanie, zazdrość, zawiść, niepokój, ból, smutek, strach; jeśli miewasz napady furii, jeśli niszczy ci życie nieufność, jeśli masz ciągłe poczucie winy, jeśli reagujesz na ataki samooskarżaniem się, jeśli zaakceptowałeś dręczenia, zaniżanie swojej wartości; jeśli obmawiasz lub pomawiasz; jeśli dopuszczasz się samookaleczeń; jeśli silniejsze od ciebie są narkotyki, alkohol, hazard, pornografia; jeśli masz pragnienie śmierci, poczucie odrzucenia; jeśli boli cię lekceważenie, jeśli twoim problemem jest złośliwość czy drażliwość, przymus upokarzania innych, poczucie bezradności, nieśmiałość, płoszenie się, niekontrolowane okazywanie wrogości i niechęci, przepraszanie za to, że się jest, znieważanie, wyśmiewanie; jeśli dopadł cię cynizm, jeśli twoje życie niszczą zranienia wewnętrzne, jeśli na przeciwności reagujesz sarkazmem, jeśli masz poczucie niższości okazywane natrętnym obnoszeniem się z poczuciem wyższości – możesz szukać ratunku.

To święto dostaliśmy w prezencie. Sprawiedliwość była, jest i będzie. Nie każdy może się tym cieszyć. Warto skorzystać z Miłosierdzia, póki nie ustąpi miejsca Sprawiedliwości.

Jest tylko jedna rzecz, wobec której Bóg staje się bezbronny – pokora. Pokora czyni Boga bezbronnym.

A na koniec słowa, które wypowiadał Krzysztof Krawczyk w mojej radiowej reklamówce różańca świętego: „To działa, to działa"...

eprasa.pl 579f46c997

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Warte I kolejne zaskoczenie: Netflix pozytywnie o chrześcijaństwie i Jezusie! Mowa o netflixowym musicalu *„Tydzień życia”*. Główny bohater, zagubiony, niewierzący nastolatek łamie prawo i ma do wyboru: odbyć karę w poprawczaku lub udać się na chrześcijański obóz letni (i jak się nie uśmiechnąć, patrząc na takie zestawienie). Na obozie poznaje bardzo wierzącą, idealną, śliczną dziewczynę i zakochuje się w niej. Przeżywa wiele przygód, zyskuje przyjaciół i wreszcie zdobywa tę dziewczynę. Na końcu dzięki niej chyba zaczyna wierzyć w Boga, choć wprost nie jest to pokazane. Na pewno jednak znajduje wspólnotę w miejscu, w którym się jej nie spodziewał i wreszcie wszystko zaczyna mu się w życiu układać. W tym musicalu o wierze w Boga mowa jest w zasadzie tylko w piosenkach. Całość jest mocno kiczowata i naiwna, jak większość filmów młodzieżowych Netflixa. W jednej z piosenek pojawia się sformułowanie, które sugeruje, że religia zniewala człowieka, ale poza tym jest dobrze, fajnie i na luzie – film dla dzieci, młodzieży i rodzin jak najbardziej. No i dużo zabawy przy okazji premiery musicalu dały mi niesamowite wygibasy lewicowych mediów recenzujących atrakcyjny film z wrogim dla nich przesłaniem.

POPKULTURA

Warte W HBO GO pozytywne zaskoczenie. Platforma ta wrzuciła bowiem ostatnio hit o superbohaterach DC Extended Universe zatytułowany *„Liga sprawiedliwości Zacka Snydera. Sprawiedliwość jest szara”*, czyli czarno-białą premierową wersję reżyserską filmu „Liga Sprawiedliwości” z 2017 r. I znów, tym razem przez 232 minuty (!), herosi muszą, po śmierci Supermana, chronić świat przed kosmitami: Steppenwolfem, DeSaadem, Darkseidem. Przeciwko złu łączą swoje siły Batman, Wonder Woman, Aquaman, Flash, Cyborg. Niekomiksowe jest w tej fabule to, że swe zwycięstwa muszą okupić prawdziwym poświęceniem, a wcześniej realnie zmierzyć się ze swoją ciemną stroną. I tak otrzymaliśmy piękny film o zwalczaniu zła wydawałoby się nie do pokonania. I o walce, gdy nie ma się praktycznie szans na zwycięstwo.

Dobre kino, komiks, w którym można się zatracić, opowieść, dzięki której można odetchnąć nadzieją, że jednak kiedyś całe zło tego świata minie. A na ekranie fenomenalne sekwencje walki i niezła ekipa: Batman (Ben Affleck), Superman (Henry Cavill), Wonder Woman (Gal Gadot), Aquaman (Jason Momoa), Cyborg (Ray Fisher) i Flash (Ezra Miller). W boju o świat wygrają dobrzy czy źli? Jak państwo myślą?

KULTURA

Warte Czym jest Apokalipsa? Wcale nie katastrofą. Słowo będące dosłowną transkrypcją tego greckiego pojęcia oznacza odsłonięcie, usunięcie zasłony zakrywającej jakąś rzecz i ukrywającej ją przed wzrokiem. Bóg zakończył swoje objawienie właśnie Apokalipsą, która wbrew pozorom jest księgą nadziei. Tak, nadziei, bo za tym ostatecznym bojem dobra i zła mamy kosmiczny happy end. Czyż nie?

W książce pt. *„Apokalipsa”*, której autorem jest Emiliano Jiménez Hernández, pisze on: „Apokalipsa jest przede wszystkim objawieniem dzisiejszego okresu historii. Daje nam światło do odkrycia intymnego, ukrytego znaczenia obecnej historii, która jawi się jako zawiła i pełna konfliktów. Nadzieja na ostateczny cel, do którego zbierają się czasami poplątane ścieżki ludzkich losów, staje się mocnym oparciem dla teraźniejszości, w której przychodzi nam mierzyć się ze złem i trudem zachowania wierności Panu”.

Przy okazji tej wartościowej książki chciałbym zwrócić uwagę na wydawnictwo, które ją nam proponuje. Gliwicki Instytut Globalizacji ma już bowiem na koncie przynajmniej trzy bardzo ważne pozycje. Zaczynając od fascynującej „Katedry” Jorisa-Karla Huysmansa, porywającej prozy z krystalicznymi frazami i obrazami godnymi Giotta, przez „Nazarejczyka” Eugenia Zolli, wybitnego egzegety i rabina, który odnalazł Mesjasza dzięki prowadzonym przez siebie szczegółowym badaniom źródłowym Biblii, aż do „Szkoły ciemności”, wspomnień autorstwa byłej komunistki amerykańskiej Belli V. Dodd, która pokazuje, dlaczego odwróciła się od marksizmu i przytacza wstrząsające fakty, jak ten o akcji infiltrowania seminariów katolickich przez wprowadzenie do nich tysiąca komunistycznych kretów.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl 579f46c997

Wojciech Stanisławski

Za Lidą, za Oszmianą

Ta praca skłania do refleksji nad definicją rozszerzonego ludobójstwa – takiego, w którym celem jest nie fizyczna likwidacja, lecz odebranie zbiorowej tożsamości

Nieraz, przy okazji jubileuszy, wzdycha się w Polsce nad manią erygowania kolejnych pomników, podając za przykład kraje, w których z podobnych okazji wznoszone są filharmonie, szpitale i biblioteki. Można lokować ten podziw w miejscach bliższych niż Finlandia czy Kanada. Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego, środowisko bardzo zasłużone dla polskiego wschodoznawstwa, postanowiło uczcić 30-lecie swego istnienia wydaniem serii 30 książek: wykładów wygłaszanych przez licznych visiting professors, antologii, wyborów źródeł, monografii. Krótko – próbki tego, co składa się na kilkusetwoluminowy już dorobek placówki, która w roku 1990 nawiązała, po pół wieku przerwy, do prac wileńskiego Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej.

Wśród tych 30 tomów wydanych w kilku językach starczyłoby materiału na „Sieciowe" recenzje co najmniej do jesieni – od „Historii Związku Sowieckiego" Rudolfa Pichoi, rosyjskiego archiwisty, który przekazał w roku 1992 Lechowi Wałęsie kopie dokumentów dotyczących zbrodni katyńskiej, przez rozważania Miroslava Hrocha o małych narodach Europy Środkowej, po monografię Leszka Szerepki o odrodzeniu tożsamości i zbiorowości Kozaków w Rosji końca XX w. W tych dniach jednak ręka sięga po inny tom ze świeżo wypełnionej półki: po historię Polaków na XX-wiecznej Białorusi pióra Tadeusza Gawina, rodem z Grodna.

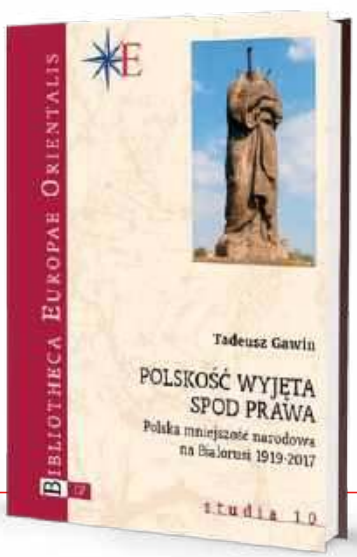

Tadeusz Gawin, „Polskość wyjęta spod prawa. Polska mniejszość narodowa na Białorusi 1919–2017", Studium Europy Wschodniej UW, 2020 (XII tom serii jubileuszowej)

Nie jest to na pozór temat nieznany, przynajmniej dla osób ciekawych przeszłości: Białoruś jest matecznikiem wielu kresowych wspomnień i rodowodów, powraca na poziomie kalendarza (dopiero co obchodziliśmy setną rocznicę pokoju ryskiego, który „odciął" od II RP większą część dawnych ziem Wielkiego Księstwa) i newsowych migawek, informujących o najnowszych posunięciach Łukaszenki. A przecież brakowało dotąd spojrzenia, w którego centrum znajdowałyby się losy nie „Polaków po 17 września", polskich dworków w pożodze rewolucji czy polskich komunistów robiących kariery w Mińsku czy Grodnie, lecz właśnie „polskiej mniejszości narodowej na Białorusi". Tak zdefiniowany zbiór obejmuje, zauważmy, wszystkie wyżej wymienione grupy, lecz jest od nich znacznie szerszy: idzie o wszystkich Polaków żyjących w granicach BSRS (której granice rozszerzały się kilkukrotnie – najpierw w wyniku wewnątrzsowieckich korekt granicznych w 1924 i 1926, potem, skokowo, w 1939, ostatecznie, po latach wojny, w 1945), a po 1991 – w Republice Białorusi.

Dzieje czterech pokoleń Polaków, żyjących w zmieniającej się sowieckiej i postsowieckiej rzeczywistości, spisane przez współzałożyciela Związku Polaków na Białorusi, są pierwszą próbą opisania całego tego przedziału. Widać po jej lekturze, jak wiele trzeba będzie uzupełnić: zastanawia brak systemowego opisu fenomenu, jakim była tzw. Dzierżyńszczyzna, czyli Polski Rejon Narodowy funkcjonujący w BSRS w latach 1932–1936 ze stolicą w przemianowanym na Dzierżyńsk Kojdanowie. W kilku rozdziałach razi przejście od faktów powszechnie znanych (układ Ribbentrop–Mołotow, okoliczności exodusu Armii Andersa, śmierć Stalina i następująca po niej odwilż) do danych bardzo szczegółowych, bez próby naszkicowania syntezy. Zauważalne w tekście białorutenizmy (książka ukazała się pierwotnie w języku białoruskim) w mniejszych dawkach mogą chwytać za serce, w większych stawiają pod znakiem zapytania trud redaktora, podobnie jak obfitość zdań mocno emocjonalnych, w pełni uzasadnionych na poziomie jednostkowej

eprasa.pl 579f46c997

wypowiedzi, zastanawiających jednak w pracy naukowej.

To jednak trivia, które szperaczom zainteresowanym detalami dziejów wynagrodzi choćby rozdział III w części poświęconej relacjom między polskim (akowskim) podziemiem a białoruskim ruchem narodowym w latach 1941–1945. Dotąd dość powszechne było przekonanie, że polskie i białoruskie interesy rozeszły się najboleśniej w chwili podpisania pokoju ryskiego, a następnie w latach 30. „Była to wojna, w której nie bez pomocy niemieckich struktur karnych wyniszczali się wzajemnie przedstawiciele elity polskiej i białoruskiej [...], co oczywiście było na rękę władzom radzieckim" – pisze Gawin w podrozdziale podsumowującym – by zacytować wcześniejszą książkę Eugeniusza Mironowicza – „wojnę wszystkich ze wszystkimi", jaka toczyła się w tym czasie między Bugiem a Berezyną.

Ci, którzy poszukują w podobnych pracach całościowego obrazu, w równym stopniu poruszeni będą lekturą: zestawienie represji lat 20., likwidacji polskiej oświaty (bodaj w jej czysto stalinowskiej formule) w latach 30., masowe represje w latach 1936–1937, kolejne fale okupacji, wywózek i represji w latach wojny, likwidacja polskich szkół na „Białorusi Zachodniej" w latach 40., przymusowe tworzenie kołchozów i zamykanie kościołów, przeforsowane kilka lat później, blokowanie ścieżek awansu nawet dla Polaków deklarujących całkowitą lojalność wobec Moskwy i Mińska aż do lat 80. składają się na panoramę szczególnego typu represji, wykraczających poza działania o znamionach klasycznego ludobójstwa, jakim była „Operacja Polska". Ofiarą tej ostatniej padły w granicach BSRS dziesiątki tysięcy osób. „Kulturocyd", likwidacja polskiej tożsamości zbiorowej na wszystkich poziomach, od języka, przez obyczaje, po religię, wyobrażenia przeszłości i wzorce osobowe, został zaprojektowany dla całej, kilkusettysięcznej społeczności. To, że podobnych praktyk dopuszczano się w ZSRS wobec wielu narodów, nie jest żadnym pocieszeniem. To, że w tych warunkach zachowały się bodaj elementy wspólnoty polskiej na Białorusi, zakrawa na szary, smutny cud.

Słychać szepty

Co począć ze złośliwymi, fatalnymi frazami, jakie zdarzają się poetom, historykom i biografkom, którzy jęli się przemówień lub felietonów? Można zafiksować się na tych frazach, wytykać je w twitterowych połajankach, zredukować dorobek ich autorów do pary skrzydlatych (choć w takich przypadkach raczej szponiastych) słów. Można jednak również machnąć na nie ręką, uznać je za czarną pianę gazet, plwać na skorupę i zstępować do głębi. Wybierając to drugie, wyglądam nowych wierszy Jacka Dehnela, sięgam po genealogię, która wyszła spod pióra Joanny Lichockiej.

Niewykluczone, że w przyszłych biografiach Jarosława Marka Rymkiewicza, których można zasadnie się spodziewać, jego dzieciństwo, przed- i wojenne, durna i słoneczna młodość w stalinowskich czasach, chwila debiutu zostaną opisane szczegółowo i w sposób bardziej uporządkowany. Bardzo jednak wątpię, by jakikolwiek historyk zadał sobie trud odtwarzania losów przodków poety na dwa, trzy, czasem cztery pokolenia wstecz.

Jest to oczywiście odtwarzanie w trybie eseju, opowieści odwołującej się szczodrze do wspomnień Rymkiewicza, do wywiadów z nim, ba, do jego wierszy, sztuk i powieści. Jest to więc raczej „archeologia pamięci", pogłębiana w trybie rozmów i wypraw z bohaterem książki na rodzinne groby i na gruzy mazowieckich dworków. Oczywiście, archeologia rozbudowana za sprawą wachlarza lektur (brakowało mi wśród nich świetnej biografii Borejszy pióra Eryka Krasuckiego), ale niepretendująca do monograficznej ścisłości, do pajęczyny przypisów: materią było to, co zapamiętane, czasem wyobrażone, a teraz zebrane w wielkim, wklęsłym zwierciadle.

Ta genealogia jest pisana con amore, i to także stanowić będzie o jej wartości w oczach czytelników na zawsze będących dłużnikami autora „Rozmów polskich...", „Ulicy Mandelsztama" i „Metempsychozy". I niech się krzywi filolog, który „wie, że postaci literackich nie należy mylić z rzeczywistymi": my i tak zawsze traktowaliśmy bardzo na serio rozmowy Pana Mareczka z Psujem (Księciem Ciemności) i z panem Geniem, a teraz te nasze intuicje stopione zostały w opowieść, która jest w dodatku hymnem na cześć polskości inkluzywnej, „rzeczpospolitańskiej", łączącej krwie francuskie, saskie, niderlandzkie,

Joanna Lichocka, „Rymkiewicz. Genealogia", Evviva L'arte, 2021

litewskie i tatarskie. I jest, dodajmy to koniecznie, smacznym figlem literackim poprzez wierne naśladowanie prozodii „cyklu mickiewiczowskiego" – z jej dygresjami, pochwałą nieoznaczoności, epifanią szczegółów i pańskim lekceważeniem „wymogów warsztatu". Rymkiewicz urymkiewiczowiony? To paradne.

Najważniejsza jest jednak uważność, z którą udało się nadstawić ucha w nadziei, że uda się usłyszeć przodków Jarosława Marka. Tylko takie trudy, myślę, są coś warte. Czy udało się? Owszem. Słychać szepty. A Psuj? Wściekły.

eprasa.pl 579f46c997

O postępach w procesie fuzji z Orlenem, o zielonej rewolucji w gdańskiej rafinerii, o wsparciu polskich firm przez narodowych liderów oraz o cenach paliw na polskich stacjach z Zofią Paryłą, prezes zarządu Grupy Lotos SA, rozmawia Maciej Wośko („Gazeta Bankowa")

Tworzymy silnego gracza na naszym rynku

Pani prezes, przed Grupą Lotos potężna transformacja – i wyjątkowo w tym przypadku nie mam na myśli transformacji energetycznej. Firma rozpoczęła prace nad optymalizacją struktury grupy kapitałowej, co wynika z narzuconych przez Komisję Europejską środków zaradczych, dekoncentracyjnych, niezbędnych do przejęcia Lotosu przez PKN Orlen. Wiecie już, co dokładnie oznaczać będzie ta reorganizacja kapitałowa?

Zofia Paryła: Grupa Lotos to wielopoziomowy system naczyń połączonych, które razem tworzą mechanizm pozwalający na dalszy rozwój. Opracowana przez zarząd koncepcja ma na celu dostosowanie kształtu Grupy Kapitałowej Lotos do modelu holdingowego z udziałem rafinerii processingowej. W planie jest także ustrukturyzowanie kwestii własnościowych spółek wewnątrz naszej grupy kapitałowej.

W procesie optymalizacji wnikliwie przeanalizowaliśmy wszystkie możliwe scenariusze, tak aby odbyło się to z korzyścią dla spółki oraz krajowej gospodarki. Obecnie, z powodów historycznych, działalność rafineryjna jest rozdzielona między dwa podmioty – Grupę Lotos i Lotos Asfalt. Jej integracja m.in. uprości strukturę organizacyjną oraz ujednolici zarządzanie zasobami ludzkimi w obszarze produkcji. Nowy model ma także na celu przygotowanie organizacji do wdrożenia środków zarządczych, a docelowo procesu kapitałowego przejęcia Grupy Lotos przez PKN Orlen. To z kolei pozwoli osiągnąć nam dodatkowe synergie i wzmocnić nasz potencjał inwestycyjny, a w rezultacie stworzy mocniejszego gracza na rynku.

W efekcie transakcji z PKN powstanie największy w naszym regionie

eprasa.pl 579f46c997

koncern multienergetyczny. Mówicie państwo, że to oczywiście szansa dla obu spółek, aby stworzyć podmiot zdolny do ostrej konkurencji na rynku paliw. Czy jednak fuzja nie jest też jedyną drogą, by powstał w Polsce podmiot zdolny kapitałowo ponieść koszty transformacji energetycznej?

Nasz kraj potrzebuje silnego, multienergetycznego koncernu, który wzmocni bezpieczeństwo energetyczne Polski. Czasem wydaje się, że medialne ataki na zarządy obu spółek mają na celu jedynie osłabianie polskiej gospodarki. Nie godzimy się na wykorzystywanie tej transakcji w grze politycznej. Nasz kraj jest jednym z największych producentów wodoru. Grupa Lotos ma szansę rozwijać tę technologię przy współpracy z Orlenem, który również dostrzega, jak ważne jest wspieranie paliw nisko- i zeroemisyjnych. Chociaż nasza rafineria należy do najnowocześniejszych w Europie, to nie może pozostawać jedynym filarem naszego biznesu. Po przejęciu kapitałowym przez PKN Orlen, wzmocni się sektor petrochemiczny, rozwiną się badania nad energią pozyskiwaną z OZE. Widzimy także, jak dynamicznie rośnie zaangażowanie w farmy wiatrowe na Bałtyku. Orlen, wspólnie z partnerami, kontynuuje projekt Baltic Power. W tym kontekście szansę upatrujemy w wykorzystaniu zasobów spółki Lotos Petrobaltic. Podmiot ten ma okazję zostać narodowym operatorem farm wiatrowych.

Green Deal staje się zaklęciem biznesowym – „zielone" jest modne, jest finansowane przez banki i rynek kapitałowy, wspierane przez Unię Europejską. Jak dziś Lotos realizuje założenia transformacji energetycznej i czy też będzie się „zazieleniał"?

W Grupie Lotos doskonale rozumiemy ten globalny trend, widzimy też, jakie korzyści ze sobą niesie. Dlatego wdrażamy kolejne projekty prośrodowiskowe i rozwijamy te z obszaru paliw alternatywnych. Wspomniałam już o wodorze. Warto dodać, że pracujemy nad produkcją tego surowca w najczystszej postaci. Myślę tu o programie Pure H2, który uzyskał wsparcie z funduszy unijnych. W ubiegłym roku zainicjowaliśmy także program inwestycyjny Green H2, w którego wyniku powstanie tzw. zielony wodór. Stymulujemy również popyt na ekopaliwa, co w rzeczywistości oznacza realną współpracę z samorządami. Podpisaliśmy listy intencyjne na dostawy wodoru dla takich miast jak Rzeszów, Tczew, Gdynia czy Wejherowo. Spory potencjał drzemie także w ekologicznym LNG. Razem z Remontowa LNG Systems podpisaliśmy kontrakt na budowę pilotażowej stacji dokującej LNG na stacji Lotosu w Gdańsku oraz planujemy stworzenie wodnego terminala LNG małej skali.

Pomimo trudnej sytuacji pandemicznej zrealizowaliśmy w ubiegłym roku wiele inwestycji. W grudniu rozpoczął pracę Węzeł Odzysku Wodoru, dzięki któremu zmniejszamy emisję CO_2 oraz zwiększamy produkcję wysokomarżowych produktów, takich jak LPG, benzyna, benzyna surowa i wodór. Wdrożyliśmy też projekt CEMS, pozwalający na ciągły pomiar emisji zanieczyszczeń powietrza. Rozwijamy także portfolio naszych bazowych olejów smarowych. W tym celu pracujemy nad projektem Hydrokrakingowego Bloku Olejowego. Co więcej, razem z PKN Orlen i Energą rozpoczęliśmy analizy dotyczące budowy w Gdańsku elektrowni mającej blok typu CCGT.

> Nasz kraj potrzebuje silnego, multienergetycznego koncernu, który wzmocni bezpieczeństwo energetyczne Polski

Pytam o to w kontekście potężnej inwestycji realizowanej właśnie w gdańskiej rafinerii, gdzie prowadzony jest remont „Wiosna 2017". Prace mają zapewnić rafinerii dalsze bezpieczne funkcjonowanie oraz wzrost efektywności urządzeń na instalacjach. O skali tego remontu świadczy choćby to, że firma przygotowywała się do niego półtora roku. I co najważniejsze, zaplanowanej przerwy w pracy rafinerii nie odczują jej klienci. Na czym polegają te prace remontowe?

Do tej inicjatywy przygotowywaliśmy się bardzo wnikliwie. Zgodnie z nową koncepcją mówimy tu de facto o dwóch kolejnych postojach – bieżącym i przyszłorocznym. Dzięki temu jednorazowo unieruchamiamy teraz tylko część zakładu, podczas gdy druga będzie w tym czasie nadal pracować. Pozwoli to na utrzymanie ciągłości produkcji oraz dystrybucji paliw na rynek. Od kilku lat część instalacji objęta jest specjalnym programem RBI, czyli Risk-Based Inspection. Dzięki niemu i współpracy z Urzędem Dozoru Technicznego wydłużamy okres międzyremontowy z czterech do pięciu lat. Remont powinien się zakończyć w maju, kiedy zostanie uruchomiona ostatnia instalacja z tzw. bloku olejowego.

Prace mocno poprawią efektywność zakładu, która i tak rośnie z roku na rok. Mamy świadomość, że tutaj nie ma miejsca na błędy i szczególny nacisk kładziemy na bezpieczeństwo. Urządzenia są szczegółowo monitorowane, oczyszczane. Wymieniane są katalizatory i sprawdzany stan techniczny poszczególnych podzespołów. Sporym wyzwaniem są tu także restrykcje, które narzuca pandemia. Jestem ogromnie wdzięczna pracownikom zaangażowanym w remont, którzy dokładają wszelkich starań, aby prace przebiegały z uwzględnieniem wszelkich norm sanitarnych. Stworzyliśmy także punkt medyczny, w którym przeprowadzamy testy na koronawirusa.

Zapewnienie dostaw paliw w czasie epidemii to jeden element odpowiedzialności spółki skarbu państwa. Drugim elementem jest potężny wpływ na gospodarkę Polski w sensie makro. Jednym ze sposobów jest wykorzystanie potencjału polskich przedsiębiorstw kooperujących z gigantami. Czy w wyborze wykonawców, podwykonawców tego remontu miało to znaczenie?

Blisko 100 mln zł trafi łącznie do sześciu głównych wykonawców prac remontowych i modernizacyjnych,

eprasa.pl 579f46c997

jakie w 2021 oraz 2022 r. zostaną przeprowadzone na terenie rafinerii w Gdańsku. To faktycznie polskie firmy, a co druga zlokalizowana jest na terenie województwa pomorskiego. Są to: Mostostal Pomorze, KB Pomorze, Naftoremont-Naftobudowa, ZRE Katowice, Lotos Serwis oraz Erbud Industry Pomorze. Ich wybór z odpowiednim wyprzedzeniem oraz domknięcie formalności w tym trudnym czasie były zapewne dużym wsparciem dla tych podmiotów. Podpisane z Grupą Lotos umowy oznaczają dla firm utrzymanie stabilności operacyjnej, płynności bieżącej oraz długoterminowej. To z kolei może mieć pozytywny wpływ na ich zdolność kredytową w oparciu o już zawarte kontrakty oraz stanowi referencje dla innych, potencjalnych inwestorów.

Rafineria Lotosu przerabia rocznie 10,5 mln ton ropy naftowej i pracuje cały rok przy wykorzystaniu średnio ponad 99 proc. obecnych mocy projektowych. Dzięki temu sprzedajecie ponad 11 mln ton paliw rocznie, co z kolei przekłada się na ponad 30 proc. udziału w krajowym rynku paliw. Czy uda się utrzymać taką produkcję mimo pandemii? COVID-19 musiał wpłynąć na zmiany organizacyjne w firmie – pytanie, czy ma wpływ na poziom produkcji?

Początek pandemii pokazał dość znaczne załamanie się popytu na rynku paliw oraz spadek ceny baryłki ropy. Szybko zoptymalizowaliśmy działalność naszego zakładu, wykorzystując jego dużą elastyczność oraz kompleksowość. Ograniczyliśmy produkcję paliwa lotniczego, jednocześnie maksymalizując produkcję asfaltów, które charakteryzowały się relatywnie wysokimi cenami rynkowymi. Dodatkowo, nadmorska lokalizacja rafinerii sprzyjała wykorzystywaniu okazji rynkowych, m.in. sprzedaży atrakcyjnie notowanej benzyny surowej w eksporcie morskim. Zwiększamy też obszar dystrybucji. Spółka Lotos Paliwa powiększyła sieć stacji paliw – jest ich już 513 – w tym segment MOP (Miejsc Obsługi Podróżnych), w którego ramach działają 23 obiekty. Również nasza spółka olejowa – Lotos Oil – znacznie poprawiła wyniki sprzedaży, odnotowując wzrost o 17 proc. w stosunku do roku 2019.

W rozmowie z prezes firmy produkującej paliwa nie może zabraknąć pytania o ceny na stacjach. Ropa naftowa na giełdzie paliw w USA tanieje, jednak słyszymy, że na razie nie ma co liczyć na tańsze paliwa w Polsce. W niektórych miejscach benzyna jest już po 5,50 zł, gdzieniegdzie prawie po 6 zł. Z czego to wynika?

> Jako firma odpowiedzialna społecznie i kierująca się dobrem ojczyzny pragniemy nadal aktywnie się włączać w walkę z pandemią. Przeznaczyliśmy na ten cel już ponad 12 mln zł

Kwestia cen na stacjach paliw jak zawsze pozostaje bardzo złożonym zagadnieniem. Nie możemy łączyć ich tylko z ceną baryłki ropy naftowej. To, za ile zatankujemy nasze auto, to przede wszystkim pochodna notowań giełdowych produktów naftowych na rynku europejskim oraz kursów walutowych, w szczególności kursu dolara amerykańskiego do złotego polskiego. Na ceny paliw na poszczególnych obiektach wpływają również takie czynniki jak: sytuacja na lokalnym mikrorynku, otoczenie konkurencyjne, czyli inne stacje i sklepy, położenie stacji – odległość od aglomeracji oraz węzłów komunikacyjnych, a także przyzwyczajenia i oczekiwania klientów.

Wiemy już, że COVID-19 nie jest wydarzeniem chwilowym. Musimy się przyzwyczaić do niwelowania skutków kolejnych lockdownów, zmian w turystyce, w gastronomii. Czy w związku z tym możemy się spodziewać jakiejś zmiany strategii na 2021 rok?

Ubiegły rok pokazał, jak ważnym zadaniem jest współpraca na rzecz budowy silnego koncernu multienergetycznego przygotowanego na wyzwania wynikające z transformacji energetycznej. Dlatego aktywnie współpracujemy z PKN Orlen przy realizacji środków zaradczych zgodnie z warunkową decyzją Komisji Europejskiej. Kontynuujemy także nasze kluczowe projekty inwestycyjne. Z jednej strony to konieczny element rozwoju i doskonalenia naszej działalności, szukania nowych szans biznesowych. Jednak inwestycje to również, tak jak wspomniany już postój remontowy, dodatkowe miejsca pracy i wsparcie dla wielu polskich firm. Poza tym na bieżąco analizujemy trendy, jakie pojawiają się na rynku produktów naftowych, by jak najlepiej optymalizować pracę naszego zakładu.

Jako firma odpowiedzialna społecznie i kierująca się dobrem ojczyzny pragniemy nadal aktywnie się włączać w walkę z pandemią. Przeznaczyliśmy na ten cel już ponad 12 mln zł. W porozumieniu z Ministerstwem Aktywów Państwowych zaangażowaliśmy się także w dostosowanie hal wystawienniczych AmberExpo w Gdańsku do pełnienia funkcji szpitala tymczasowego. To projekt, jakiego jeszcze w historii naszej spółki nie było. Zgodnie z decyzją ministra zdrowia z 26 marca tego roku placówka dostała zielone światło na uruchomienie docelowo 400 łóżek. To pokazuje, jak ważne dla polskiego systemu opieki zdrowotnej jest to wsparcie.

Polski Nowy Ład ma być taką strategią wychodzenia z pandemii, ale też wykorzystania jej możliwych pozytywnych skutków dla całej gospodarki i obywateli. Jak pani ocenia te założenia, które już poznaliśmy?

Nasz koncern ceni sobie współpracę z rządem i z optymizmem patrzy na projekty planowane przez gabinet premiera Mateusza Morawieckiego. Widać, że w zbieżnym do założeń Polskiego Nowego Ładu kierunku podąża również PKN Orlen. Zarząd płockiego koncernu swoimi decyzjami napędza polską gospodarkę i wzmacnia bezpieczeństwo energetyczne kraju. Grupa LOTOS również chce być częścią tej dobrej zmiany.

eprasa.pl 579f46c997

Hit tygodnia

Toyota Mirai – gdy wodór jest paliwem

Nie da się ukryć, że coraz więcej firm przestawia się na produkcję samochodów hybrydowych bądź w pełni elektrycznych. I choć to cały czas drogie rozwiązanie, to niektórzy producenci patrzą jeszcze dalej.

Toyota już od kilku lat produkuje model Mirai, w którym silnik elektryczny czerpie energię z innowacyjnych ogniw paliwowych, w których prąd powstaje w procesie łączenia wodoru z tlenem. Jaki to ma wpływ na środowisko? Żaden, gdyż mirai nie emituje spalin – efektem spalania jest po prostu woda.

Dotychczas mirai był dostępny głównie na rynku japońskim, jednak w 2021 r. sytuacja ma się zmienić i auto będzie dostępne m.in. w Polsce. Oczywiście potrzebna jest infrastruktura, by móc tankować pojazd. Pierwsza stacja tankowania wodoru ma powstać w Polsce jeszcze w pierwszej połowie tego roku.

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Jest mały, jest brzydki, prawie nic nie oferuje w środku (wykończenie wnętrza jest raczej spartańskie), ledwo dobija do 100 km/h. I w dodatku ma maksymalnie 170 km zasięgu. I w dodatku nazywa się Wuling Hongguang Mini EV. Ale oprócz tych, wydawałoby się, wad ma kilka zalet, i to całkiem sporych. Wuling to typowy niewielki, elektryczny samochód miejski, który staje się coraz popularniejszy i w Chinach (gdzie jest produkowany), i poza tym krajem. A dlaczego? Otóż podstawowa wersja Wuling Hongguang Mini EV kosztuje w przeliczeniu na złotówki... niecałe 17 tys. zł! Za najdroższą zapłacić trzeba ok. 2 tys. więcej. Jest szansa, że ten samochód pojawi się w Europie, ale czy się przyjmie? Mimo wszystko europejski kierowca przywykł do nieco lepszego standardu.

Jeszcze wiosną tego roku mają się pojawić nowe, ujednolicone oznaczenia dla pojazdów elektrycznych i stacji ładowania. Jest to zgodne z dyrektywą Unii Europejskiej w sprawie wdrażania infrastruktury paliw alternatywnych. Oznaczenia zostały opracowane przy udziale Europejskiego Stowarzyszenia Producentów Samochodów.

Firma Jaguar Land Rover poinformowała, że najpóźniej od 2025 r. wszystkie pojazdy marki Jaguar będą w pełni elektryczne, z kolei Land Rover zacznie wprowadzać modele elektryczne w 2024 r. Co się z tym wiąże? Land Rover wszystkie swoje modele przekształci w elektryki, z Jaguarem sprawa jest bardziej skomplikowana, gdyż najprawdopodobniej światła dziennego nie ujrzą już wcześniej zapowiedziane modele na silniki spalinowe.

Wszyscy lubimy piękne sportowe modele, ich sylwetki i prędkości. Ale z drugiej strony branży motoryzacyjnej są gigantyczne pojazdy służące różnym wyspecjalizowanym celom, np. monstrualne wywrotki. Właśnie powstał projekt jednej z nich, mającej ładowność – uwaga 240 t – która będzie pracować w australijskiej kopalni. Co ciekawe, pojazd będzie miał napęd elektryczny (gwoli ścisłości należy dodać, że nie będzie to pierwsza elektryczna wywrotka na świecie). Stworzeniem pojazdu zajmie się firma Williams Advanced Engineering.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

Fot. materiały prasowe (3)

eprasa.pl 579f46c997

Znamy szczegóły przyszłych innowacji w PZU!

Wiemy już, jakie innowacje interesują największego polskiego ubezpieczyciela. To dobra sonda także dla innych, ponieważ ubezpieczenia dają pole do popisu nowym technologiom jak mało która branża

Insurtech Day Powered by PZU był okazją dla zespołu Laboratorium Innowacji PZU i przedstawicieli dziewięciu start-upów z całego świata, w tym Polski, do zaprezentowania swoich rozwiązań i technologii. Podczas wydarzenia podsumowano także trzyletnią działalność Laboratorium Innowacji PZU.

– Sektor ubezpieczeniowy jest dziś wielkim poligonem testowym dla wielu innowacyjnych pomysłów i skutecznie wdraża praktyczne rozwiązania, jakie oferuje błyskawicznie rozwijająca się technologia. W Grupie PZU nie chcemy jedynie reagować na to, co się dzieje w obszarze insurtech, lecz wyprzedzać trendy, współtworzyć potrzeby klientów i odpowiadające im narzędzia. Dlatego stworzyliśmy Laboratorium Innowacji, którego zadaniem jest wyławianie najciekawszych, najbardziej obiecujących pomysłów, jakie pojawiają się na rynku, a następnie testowanie ich, dopasowywanie do naszego modelu biznesowego i wcielanie w życie w naszej działalności. To rozwiązanie sprawdza się znakomicie i już zaowocowało realizacją licznych przedsięwzięć, które nam pozwalają lepiej i szybciej spełniać oczekiwania klientów oraz zapewniają przewagę konkurencyjną – ocenia Aleksandra Agatowska, prezes PZU Życie, przewodnicząca Komitetu Innowacji.

Podczas odbywającego się pod koniec marca Insurtech Day Powered by PZU młode technologicznie firmy z Polski i świata pokazały najnowsze rozwiązania z obszaru opieki zdrowotnej, ze szczególnym uwzględnieniem osób w starszym wieku. Nie bez kozery. Z analizy przeprowadzonej przez PZU i The Heart wynika wprost, że coraz większą rolę będą odgrywać rozwiązania

eprasa.pl 579f46c997

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 37/0221/F

związane z prewencją zdrowotną oraz starzeniem się społeczeństwa. A takie rozwiązania dostarczają właśnie start-upy i insurtechy.

– Innowacje są jak cukierki w sklepie ze słodyczami. Bardzo łatwo się zgubić, bo każdy start-up i każda innowacja wyglądają bardzo atrakcyjnie. Zadajemy sobie pytanie, jakich konkretnie słodyczy poszukujemy – mówi Marcin Kurczab, dyrektor Laboratorium Innowacji PZU, które po trzech latach może pochwalić się współczynnikiem sukcesu wdrożeń nowych rozwiązań na poziomie 60 procent.

Obecnie PZU poszukuje rozwiązań z obszarów zaawansowanej analityki, cyfryzacji procesów, nowych interakcji z klientami i ekosystemów, rozwiązań z zakresu HR Pracodawca 2.0, w tym narzędzi rekrutacji i utrzymania pracowników.

SZTUCZNA INTELIGENCJA OD TRACTABLE W PROCESIE LIKWIDACJI SZKÓD

Ciekawą innowacją stosowaną już przez PZU jest system oceniający podejmowane kroki w kwestii napraw, wspomagany przez sztuczną inteligencję. To rozwiązanie z zakresu analizy obrazu – computer vision, opartego na sztucznej inteligencji, która wspiera likwidację szkód. Ocenia, czy decyzja o likwidacji szkody w warsztacie i podjętych naprawach była prawidłowa.

Poza tym WebTotem pomaga sprawdzać cyberbezpieczeństwo małych i średnich firm, a Sidly dostarcza opaski życia – PZU Life Band. Do szpitali trafiło już blisko 900 inteligentnych opasek do monitorowania pacjentów chorych na koronawirusa, które wspierają medyków w opiece nad osobami zarażonymi COVID-19.

Wśród start-upów, które wzięły udział w prezentacji, znalazły się m.in.:

- CardioSecur (Niemcy) – oferuje badanie EKG do użytku osobistego oraz profesjonalnego. W ciągu kilku sekund generuje spersonalizowaną informację zwrotną dotyczącą zmian w zdrowiu serca.
- Cognetitvity (Wielka Brytania) – wykorzystuje sztuczną inteligencję i techniki uczenia maszynowego, aby za pomocą opatentowanego testu poznawczego wykorzystującego najnowsze odkrycia w dziedzinie neuronauki umożliwić wczesne wykrycie upośledzenia związanego m.in. z demencją, a także mierzenie i kontrolowanie zdrowia mózgu;
- Dacadoo (Szwajcaria) – wspiera operatorów Life & Health w motywowaniu ich klientów do prowadzenia zdrowszego stylu życia poprzez platformę Digital Health Engagement opartą na SaaS, a także udostępnia mechanizm oceny ryzyka, który oblicza względne ryzyko śmiertelności i zachorowalności w czasie rzeczywistym;
- Etsimo (Finlandia) – oferuje platformę opieki zdrowotnej, która wykorzystuje sztuczną inteligencję i uczenie maszynowe do analizy danych dotyczących zdrowia, umożliwiając świadczeniodawcom i towarzystwom ubezpieczeniowym natychmiastowe oferowanie klientom prognostycznej i profilaktycznej opieki zdrowotnej za pośrednictwem istniejących i przyszłych kanałów cyfrowych;
- FibriCheck (Belgia) – aplikacja medyczna, która pozwala ludziom monitorować rytm serca, a tym samym wykrywać ukryte zaburzenia rytmu serca, takie jak migotanie przedsionków;
- Fjuul (Finlandia) – zapewnia platformę cyfrową, która przechwytuje i ulepsza dane biometryczne ze smartfonów i urządzeń do noszenia, aby uruchamiać spersonalizowane programy zaangażowania i dobrego samopoczucia na dużą skalę;
- LetsGetChecked (Irlandia) – platforma umożliwiająca ludziom odgrywanie aktywnej roli w utrzymaniu zdrowia, dłuższe i szczęśliwsze życie. Łącząc technologię, dane zdrowotne, wyniki diagnostyki i wsparcie kliniczne, zapewnia przydatne informacje zdrowotne, które umożliwiają podejmowanie lepszych decyzji dotyczących opieki zdrowotnej;
- Positive AAL (Polska) – to internetowa społeczność edukacyjna, która jednoczy starsze osoby wokół wspólnego celu, jakim jest jak najdłuższe utrzymanie sprawności psychicznej i fizycznej.

Wśród zaprezentowanych propozycji znalazło się kilka wartych uwagi ze względu na potencjalną skalę i zajmowanie się ważnymi potrzebami związanymi z dbaniem o zdrowie. Jest nad czym się zastanawiać, nie tylko z punktu widzenia potencjalnego klienta, jakim jest PZU.

Henry Ford podobno powiedział, że „gdybym na początku swojej kariery jako przedsiębiorcy zapytał klientów, czego chcą, wszyscy byliby zgodni: chcemy szybszych koni. Więc ich nie pytałem". Innowacyjność to umiejętność wychodzenia poza utarte schematy, wytyczania nowych ścieżek, łamania dotychczasowych zasad. Tym kierujemy się w całej Grupie PZU – ocenia Artur Kurcweil, dyrektor zarządzający ds. digitalizacji PZU.

Materiał przygotowany na podstawie artykułu Maksymiliana Wysockiego, który ukazał się pod tym samym tytułem na wGospodarce.pl

eprasa.pl 579f46c997

ANNA WINNA
BOHATERKA KSIĄŻKI I SERIALU „STULECIE WINNYCH"

Kryzysowe improwizacje

Najgorszy był kryzys. Czas, kiedy wszystko stało się szare, bure i nijakie. Nawet powojenna bieda była lepsza, bardziej godna. W sklepach świeciło pustkami. Ogołocone półki w spożywczym, nagie haki w mięsnym, znudzone ekspedientki, rozwścieczeni ludzie stojący w gigantycznych kolejkach. Nieraz tego doświadczyłam.

Wzięliśmy z Michałem na siebie ciężar zdobywania pożywienia. Podobnie Mania i Ryszard – wspomina Anna Winna w ciekawej książce „Stulecie Winnych. Notes kulinarny" (Wyd. Zwierciadło).

W pisanych w pierwszej osobie rozdziałach autorka Ałbena Grabowska oddaje głos swoim kolejnym bohaterom. Anna, którą w pokazywanym właśnie w TVP serialu gra Urszula Grabowska, przeprowadza czytelników przez lata wymuszonych koniecznością, kulinarnych kreacji: wystanej w kolejce przydziałowej zwyczajnej oraz karkówki, z której robiło się cienkie jak papier schabowe, i zbieranych na polu dzikich pieczarek, które ususzone, znakomicie sprawdzały się jako baza ulubionej przez rodzinę zupy.

Bohaterka wspomina, że choć nie cierpiały z bliźniaczką Manią ogrodnictwa i pielenia, sadziły na poletku ziemniaki do bab ziemniaczanych, buraki na barszcz ukraiński i włoszczyznę, bazę wszelkich zup. Bo jak powtarzała babcia Bronka: dobry wywar to podstawa.

W czasach, gdy zakupy były wyzwaniem, Anna robiła wszystko, by wnuczki nie odczuły, że czegoś w domu brakuje. Kanapki dla nich ozdabiała najbardziej fantazyjnymi dekoracjami wykonanymi z marynowanych pomidorów, kiszonych ogórków, konserwowych kabaczków i cukinii. Jeśli udało się dostać konserwę rybną i biały ser na chleb trafiała „awanturka".

Furorę robiły czipsy z pokrojonych na cienkie plasterki ziemniaków, oprószonych solą i różnymi przyprawami z ogródka (pietruszką, koperkiem, lebiodką, cząbrem, pieprzem, czerwoną słodką papryką), a następnie usmażonych w głębokim tłuszczu.

Podobnym działaniom poddawane były „dziwaczne krążki", które w pudełkach z napisem „krewetki" zalegały na półkach sklepów rybnych. W gorącym oleju pięknie wyrastały.

Olej, mąka, ryż, cukier trafiały do rodzinnej spiżarni Winnych dzięki paczkom z Francji. – Dobrze, że Adele wreszcie przestała napełniać je sosem pesto i truflami, łososiem oraz kaparami na rzecz najzwyczajniejszych produktów – komentuje Anna. – Jedynie z oliwy nie potrafiła zrezygnować i całe szczęście, bo tej nikt nie kradł, w przeciwieństwie do łososia.

Bohaterka wspomina deficytowe murzynki i baby, które robiło się z jednym tylko jajkiem, a wyrastały pięknie i smakowały znakomicie z domowymi, oszczędnie słodzonymi, czyli zdrowymi, konfiturami. Do pierników trafiał sztuczny miód, spody do babeczek piekło się na oleju albo margarynie, bo to częściej udawało się dostać.

Po latach Anna usłyszała od prawnuczki, że ciasto, które ona nazywa murzynkiem, to brownie. Tyle że owo brownie – z pełnym zestawem składników; z masłem, pachnącym ciemnym kakao, jajami wszelkich rodzajów – nie umywa się do tamtego kryzysowego ciasta. – Może dlatego, że byliśmy tak bardzo spragnieni wszelkich smaków – konkluduje bohaterka.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Piętka Mieszko/AKPA

Kotlety jajeczno-ziemniaczane
(przepis z książki „Stulecie Winnych. Notes kulinarny")

Składniki: 7 jajek, 3 duże ziemniaki, 2 łyżki posiekanego koperku, 1 łyżka posiekanego szczypiorku, 3 łyżki bułki tartej, 3 łyżki oleju lub masła klarowanego, sól i pieprz.

Wykonanie: 6 jajek ugotuj na twardo i obierz. Ziemniaki ugotuj, wystudź i obierz. Ziemniaki i jajka zmiel, dodaj koperek i szczypiorek, 1 surowe jajko, sól i pieprz. Dobrze wymieszaj i z przygotowanej masy formuj kotleciki. Każdy obtocz w tartej bułce i usmaż na rozgrzanym tłuszczu.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 579f46c997

SŁODKO-SŁONY

Zielona pobudka

ANNA MONICKA

Kiedy ogrodnicy robią po zimie przegląd przeterminowanych nasion, zawsze sprawdzają, które nadają się jeszcze do wysiewania. Po prostu kładą je w jakimś pojemniku na wilgotnej ligninie, przykrywają folią i stawiają na słonecznym parapecie. Po kilku dniach zraszania widać, czy niewysiane w ubiegłych latach zapasy trzeba wyrzucić, czy nadają się jeszcze do kiełkowania.

Ja takie właśnie porządki robię w przyprawach. Dzięki temu w torebkach do parzenia herbaty mam bomby z nasionami, które podrzucam w różnych miejscach ogródka i liczę na cud.

Coś wschodzi, coś nie, ale czarnuszka co roku okazuje się bardzo żywotna, podobnie gorczyca czy kolendra. Czasem są zaskoczenia, bo siedmiolatka jako jedyna przetrwała i nagle, spod zeschłych liści, wyszedł mi wiosenny szczypiorek. Startuje też właśnie rokietta siewna – odporna na wszystko, nawet na szpaki i kosy, które grzebią z zapałem w poszukiwaniu robaków.

W tym roku najpierw jednak postanowiłam wykorzystać kiełkowniki – mam nowe, z metalową siatką. Moje ulubione młode listki to od zawsze rzeżucha, por, gorczyca. Ostre w smaku i doskonale podkreślające smak pierwszych młodych warzyw. Pierwsze siewy były w lutym, ale rośliny nie kwapiły się do wyłażenia z nasion, bo brakowało im słońca. Teraz wystarczy dzień i zraszanie ciepłą wodą, a puszczają korzonki. Jeść je można po trzech–czterech dniach, do każdego posiłku. Zastępuję nimi nawet koperek na ziemniakach czy natkę pietruszki w pomidorowej.

Nieśmiało spod żywopłotu wygląda bluszczyk kurdybanek – ma przepiękne listki przypominające kształtem kwiatki. Dostałam kiedyś sadzonki od znajomej, zakopałam w ogródku, a potem mój mąż pracowicie kurdybanka wypielił, bo myślał, że to chwast. Na szczęście roślina odbiła – dodaję go do sałat, gdy na stół wjeżdża mięso. To niepozorne ziółko świetnie robi na trawienie.

W koszyku z nasionami znalazłam także nasturcje – w ogródku jeszcze dla nich za zimno, ale w donicy na parapecie będzie na tyle ciepło, że po tygodniu powinny wystawić listki – pyszne, korzenne w smaku, doskonałe do sałatek pomidorowych i wiosennych zup.

Ogródek zaczyna znów żyć.

Fot. Shutterstock, archiwum autora

WILCZYM OKIEM

Sfermentowane czy nie?

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jak to jest z jedzeniem wysokoprzetworzonym? Z jednej strony im mniej etapów pomiędzy nami a rośliną, zwierzęciem, grzybem – tym jedzenie jest zdrowsze, bogatsze w witaminy oraz mikro- i makroelementy. Rozmaite etapy obróbki tkanek mogą pozbawić je wartości. Z drugiej strony człowiek, z różnych względów, musi poddawać produkty spożywcze zaawansowanej obróbce: aby były higieniczne, łatwiej strawne itd. Mleko należy pasteryzować, aby było wolne od bakterii, dobrze też poddać je procesowi fermentacji, aby wydobyć jego korzystny wpływ na jelita itd.

Poza tym człowiek lubi pożywienie przetworzone. Najlepszym przykładem jest kawa: nasiona suszy się, pali, mieli i zaparza. Niekiedy przepuszcza się je, na najwcześniejszym etapie obróbki, przez jelita łaszowatego ssaka łaskuna muzanga *Paradoxurus hermaphroditus*. Bez tego długiego procesu nie powstałby produkt finalny, nie moglibyśmy się cieszyć czarnym naparem.

Podobnie sprawa ma się z herbatą. W Azji pija się ją po prostu jako zebrane i zaparzone liście. Europejczycy piją herbatę bardziej przetworzoną. Fakt ten jest następstwem ciekawego zdarzenia. Portugalczycy od XVI w. zawładnęli handlem z Chinami. U zarania herbacianego boomu zakontraktowali tony liści, aby dostarczyć je na rynki Hiszpanii, Francji itd. i tam zaszczepiać modę na zielony napój. Niestety źle przygotowany ładunek sfermentował w ładowniach żaglowców. Do Lizbony dotarła ciemna, mocno pachnąca masa. „Jak małpa kit" – takie powiedzonko nasuwa się na opisanie tego, jak Europejczycy rozkoszowali się naparem z zepsutych roślin. Gdy po kilkunastu miesiącach do portów znów dotarły karaki z herbatą, tym razem była idealnie wysuszona. Faktorie w Chinach zadbały o to, aby nie powtórzyć wpadki. Ludzie otrzymali pełnowartościowy azjatycki produkt. Zamiast słów uznania, posypały się reklamacje. Konsumenci z renesansowych dworów i miast oburzyli się, że z nich zakpiono, że pyszne czarne liście zastąpiono słomą. Żądano tamtej herbaty: mocnej i aromatycznej.

Choć to jedynie anegdota, to faktem jest nasza skłonność do wybierania produktów wysokoprzetworzonych. Cecha ta wyróżnia *Homo sapiens* na tle innych organizmów cudzożywnych.

eprasa.pl 579f46c997

W ŚWIECIE LUSTER

HANNA KARP

Wypłukiwanie medialnego złota

Niedawno polski koncern naftowy Orlen wykupił od niemieckiego koncernu z Bawarii prasę regionalną z 20 tytułami i portalami, które podobno odwiedza ponad 17 mln użytkowników miesięcznie. Tak przynajmniej zapewniał niedawny niemiecki właściciel. Transakcja została już oficjalnie zatwierdzona. Co wzbudziło medialną histerię wśród polityków opozycji. Ale i media zaprzyjaźnione z totalną opozycją uznały, że zmiana właściciela niemieckiego na polskiego narusza wolność słowa i medialny pluralizm. Na prezesa Orlenu wylały się gejzery różnorakich oskarżeń. Nie podobało się też, że pochodzi z Pcimia, ma dużo pieniędzy i jest lubiany przez prezesa Prawa i Sprawiedliwości.

Gdy zaś chodzi o wykup prasy regionalnej, to jeśli ktoś myśli, że fakt ów załatwia jakkolwiek sprawę ucywilizowania naszego rynku mediów, jest w błędzie. Niemiecki biznes dawno wziął kurs na wyciskanie złota z mediów w Polsce i nic nie wskazuje na to, żeby cokolwiek miało się zmienić. Zatrzymajmy się zatem przy gigantach zachodniego sąsiada. Oto jak pasą się na naszym medialnym pastwisku.

I Ringier Axel Springer Polska

Prasa: 1. „Fakt" – sprzedaż 174 357 egz., 2. „Newsweek Polska" – sprzedaż 65 133 egz., 3. „Forbes" (Polska) – sprzedaż 15 484 egz., 4. „Auto Świat" – sprzedaż 39 663 egz., 5. „Przegląd Sportowy" – sprzedaż 20 601 egz., 6. „Komputer Świat" – sprzedaż 22 671 egz. Dane dotyczą średniej sprzedaży za okres XII 2019–XI 2020 r. według ZKDP.

Internet: 1. Onet.pl – 17,4 mln użytkowników (portal kupiony w 2012 r. od TVN (25 proc. udziałów dokupiono w 2017 r.), 2. Medonet.pl – 9,8 mln RU, 3. Fakt.pl – 9,1 mln użytkowników, Businessinsider.com.pl – 7,9 RU, Ofeminin – 4,2 mln użytkowników oraz 20 serwisów i aplikacji internetowych. Łączny zasięg online GRUPY: 21,3 mln użytkowników (grudzień 2020, Mediapanel PBI Gemius). Firma ma też księgarnię internetową Literia.pl, oferuje płatne usługi na vod.pl i Sympatii, a w ostatnich latach kupiła kilka platform z usługami internetowymi: NK.pl z grami online, porównywarki Skapiec.pl i Opineo.pl, lokalizator Jakdojade.pl i serwis z ogłoszeniami o pracę No Fluff Jobs.

Przychody: Koncern odnotował w 2019 r. przychody w wysokości 592,27 mln zł, zysk netto wyniósł 28,4 mln zł. To pięć razy więcej niż w 2018 r. Według danych opublikowanych w KRS przychód ten osiągnięto, sprzedając produkty prasowe portalu Onet, „Forbesa", „Newsweeka" i „Faktu". Najwięcej, bo prawie 50 proc., osiągnięto ze sprzedaży reklam online – 290,94 mln zł. Kolejne co do wielkości przychody pochodzą ze sprzedaży prasy – 139,43 mln zł, reklam prasowych – 58,31 mln zł, i sprzedaży towarów i produktów – 39,87 mln zł. Pozostałe wyniosły 63,7 mln zł.

W 2019 r. RAS Polska zatrudniał o 70 osób więcej niż w 2018 r. Na wynagrodzenia przeznaczono 123 mln zł. Zarząd zarobił w 2019 r. 5,54 mln zł. Firma, podsumowując trudny pandemiczny rok 2020, podkreśla, że był to jednak czas rozwoju. Portal internetowy Onet przedstawiany jest jako najczęściej cytowane medium w Polsce. W ogólnym podsumowaniu przedstawiciel działu sprzedaży marki podkreśla, że pomimo trudnych czasów firma jest bardzo dobrze przygotowana do walki na rynku przez kolejne lata.

eprasa.pl 579f46c997

II Grupa RMF/Bauer

Radio: Grupa RMF – zasięg dzienny: 10,1 mln słuchaczy, udział w rynku radiowym kraju w czasie słuchania: 34,8 proc., a) RMF – zasięg dzienny: 8,7 mln słuchaczy, udział w czasie słuchania 29,2 proc., b) RMF MAXXX (z Radiem Gra) – zasięg dzienny: 1,6 mln słuchaczy, udział w czasie słuchania: 4 proc., c) RMF Classic – zasięg dzienny: 678 tys. słuchaczy, udział w czasie słuchania: 1,7 proc. (dane z okresu X–XII 2020 r. Radio Track, Kantar Polska).
Internet: Grupa RMF – 9,7 mln użytkowników i uruchomionych aplikacji, RMFon.pl – 1,3 mln użytkowników i uruchomionych aplikacji, RMF24.pl (w tym serwis Twoje Zdrowie – 6,4 mln użytkowników i uruchomionych aplikacji, RMF.fm (w tym serwis Bajeczna Polska) – 4,1 mln użytkowników i uruchomionych aplikacji; RMFMAXXX.pl – 3,1 mln użytkowników i uruchomionych aplikacji, RMF Classic.pl – 192 tys. użytkowników i uruchomionych aplikacji (za XII 2020, Mediapanel).

Do grupy kapitałowej oprócz firmy Grupa RMF, która stanowi jednostkę dominującą, należą spółki Oper FM, Aida, Radio 90 i Multimedia. 99,99 proc. akcji Grupy RMF posiada Bauer Media Invest, a 0,01 proc. należy do spółki RMF.
Przychody: W 2018 r. Grupa RMF zanotowała przychody sprzedaży w wysokości 288,22 mln zł oraz 147,16 mln zł zysku netto. Firma zatrudniała 292 pracowników. Na koniec 2018 r. firma miała na rachunkach 23,39 mln zł wolnych środków.

Rok 2020 mimo pandemii, jak podkreśla przedstawiciel Grupy RMF, przyniósł rekordowe wyniki słuchalności. Wiosną 2020 r. stacja zanotowała najwyższy w historii badań wskaźnik 30,6 proc. udziału w ogólnym czasie słuchania. Wcześniej żadna stacja radiowa w Polsce nie przekroczyła progu 30 proc. udziału słuchalności. Na antenie pojawiły się nowe formaty. Stacja zwiększyła też liczbę serwisów informacyjnych. I jest liderem na rynku reklamowym, zgarniając 40 proc. w 2019 r. i 43 proc. w 2020 r. jego udziału.

III Bauer Media Group

Prasa: „Teletydzień" – 591,2 tys. sprzedanych egz., 2,1 mln czytelników, „Życie na Gorąco" – 397,1 tys., sprzedanych egz., 1,3 mln czytelników, „Twój Styl" – 121,5 tys. sprzedanych egz., 609,6 tys. czytelników, „Kobieta i Życie" – 217,7 tys. sprzedanych egz., 457 tys. czytelników, „Świat Kobiety" – 149,4 tys. sprzedanych egz., 350 tys. czytelników, „Motor" – 63,5 tys. sprzedanych egz., 327,2 tys. czytelników, oraz 134 inne tytuły (dane z I–XII 2020, PBC, ZKDP). Wydawnictwo w 2019 r. publikowało ok. 50 tytułów prasowych z kilku kategorii tematycznych, m.in. pisma z programem TV, poradnikowe, luksusowe, kulinarne, true stories, motoryzacyjne i komputerowe.
Internet: Twójstyl.pl, Magazynauto.pl, platforma zakupowa – StyloweZakupy.pl, platforma blogerska – InfluenceMe.pl.
Przychody: Wydawnictwo Bauer należy do niemieckiego koncernu Bauer Media. W 2019 r. przychody firmy niezależnie od innych podmiotów z tej grupy kapitałowej wyniosły 5,63 mln zł, z czego 1,54 mln zł od Grupy Interia (którą Bauer Media w połowie 2020 r. sprzedał Telewizji Polsat), a 1,3 mln zł od Grupy RMF.

W roku 2019 przychody Wydawnictwa Bauer wyniosły 416,9 mln zł. Wpływy krajowe wyniosły 397,17 mln zł, a z zagranicy 18,74 mln zł. Jednocześnie zysk netto firmy poszedł w górę z 94,39 do 106,69 mln zł.

Koncern deklaruje, że mocno wierzy w siłę prasy drukowanej. Sprzedaje w Polsce ok. 16 mln egzemplarzy różnych wydawnictw miesięcznie. Jako jedyny z tak szerokim portfolio czasopism umocnił w 2020 r. udział w rynku reklamy w magazynach. W pierwszej dziesiątce najchętniej czytanych magazynów w Polsce znajduje się osiem wydawanych przez Bauer Media. Koncern planuje na gruncie polskim dalsze umacnianie swojej pozycji lidera na rynku reklamy prasowej, wkracza też w ofertę cyfrową.

IV Burda Media Polska

Prasa: 61 magazynów, w portfolio prasowym wydawnictwa jest ok. 20 tytułów, w tym magazyny luksusowe (m.in. „Gala", „Gala Men", „Glamour", „Elle"), poradnikowe (m.in. „Dobre Rady", „Claudia"), podróżnicze („National Geographic", „NG Traveler"), kulinarne („Przyślij Przepis", „Sól i Pieprz", „Smaczny Tydzień", „Moje Gotowanie") oraz popularnonaukowe (m.in. „Focus"). Ponadto firma wydaje serwisy internetowe (głównie pod markami swoich magazynów drukowanych), zajmuje się custom publishingiem i publikuje książki. 5,2 mln czytelników – to łączny zasięg, według Polskich Badań Czytelnictwa, od I do XII 2020 r.
Internet: Tworzy 13 serwisów internetowych, w tym m.in.: Przyslijprzepis.pl – 3,9 mln użytkowników, ELLE.pl – 3,7 mln użytkowników, Mojegotowanie.pl – 2,1 mln użytkowników, Gala.pl, Kobieta.pl – 1,3 mln użytkowników. Ponadto 30 profili na Facebooku, 17 na Instagramie i 19 na YouTube.

Ponadto tak zwane eventy: Róże Gali, Elle Style Awards, Gala Beauty Stars, Kobieta Roku Glamour, Travelery, Szaleństwo Zakupów, Rewear Marker, Kino Letnie.
Książki: ponad 1,2 tys. tytułów, ok. 60 nowych pozycji rocznie.
Przychody: W 2019 r. Burda Media Polska osiągnęła przychód 163,67 mln zł oraz zysk netto – 3,66 mln zł. Zatrudniała 251 osób na etacie. Wpływy reklamowe Burda Media Polska wyniosły 65,72 mln zł, a ze sprzedaży wyrobów – 60,06 mln zł, przychody ze sprzedaży towarów – 32,03 mln zł.

Przedstawiciele firmy informują, że koncern w roku pandemii bardzo poszerzył ofertę produktów w trybie online. Treści i zasięgi firmy monetyzuje się obecnie na 66 burdowych profilach. Firma, jak wynika z zapowiedzi i deklaracji, obecnie nastawia się na rozwój produktów digital pod kątem zasięgów i technologii.

Tak robi się medialny biznes w obcym kraju. Tak zagarnia się rynek prasy opiniotwórczej, codziennej i tygodnikowej, prasy kolorowej, luksusowej i poradnikowej, rozgłośnie radiowe, opiniotwórcze portale internetowe, wydawnictwa książkowe, profile mediów społecznościowych itd.

Quod erat demonstrandum...

(w publikacji danych finansowych korzystano m.in. z informacji portalu wirtualnemedia.pl)

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl 579f46c997

Odznaczenie

Alina Czerniakowska

Wracam do 1 marca – Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Stałam w Pałacu Prezydenckim w nielicznym gronie, wszyscy odpowiednio ustawieni zgodnie z protokołem i zachowaniem zasad bezpieczeństwa w czasie pandemii, oczekiwaliśmy na przybycie prezydenta Andrzeja Dudy. W pierwszym szeregu cztery osoby związane z antykomunistyczną konspiracją, które nie złożyły broni w 1945 r., bo dla nich wojna się nie skończyła, przyszła nowa okupacja, jeszcze groźniejsza, bo ukryta pod hasłami przyjaźni polsko-radzieckiej, propagowanej przez polskich komunistów i wszelkich innych ubecko-partyjnych zdrajców. Były też trzy osoby uhonorowane za upamiętnianie Żołnierzy Wyklętych, wśród których znalazłam się jako jedyna spośród dziennikarzy.

Niebywałe to dla mnie wyróżnienie, otrzymane jeszcze z rąk mojego prezydenta, z którego jestem dumna. Stojąc tam wtedy, oczekując na uroczystość, myślałam o bohaterach moich filmów. Gdy na początku lat 90., już przecież w tej niby wolnej Polsce, zaproponowałam w TVP film o gen. Fieldorfie, dyrektorzy pytali mnie: „Chcesz zrobić film o jakimś hitlerowcu?". Powiedziałam: „Tak". Scenariusza nie przeczytali i film udało się zrobić. Afera zaczęła się dopiero po kolaudacji.

Pamiętam córkę gen. Fieldorfa, jej upartą walkę o prawdę o swoim ojcu, z pochyloną głową, zmęczona wszystkim, co ją spotykało, chodziła po korytarzach sądowych III RP od drzwi do drzwi. Wyrzucana, dopominała się osądzenia tych, którzy więzili, przesłuchiwali i skazali na śmierć jej ojca, bohatera I i II wojny światowej, oficera Orderu Virtuti Militari i wielu innych wysokich odznaczeń, człowieka całkowicie oddanego Polsce. Żyli jeszcze wówczas, w latach 90. ubiegłego wieku, winni mordu sądowego na generale. Powiesili bohatera i do końca swojego życia pozostali bezkarni. Taka to była wówczas ta III RP, a miała być wolna, sprawiedliwa...

Stojąc 1 marca A.D. 2021 w Pałacu Prezydenckim, miałam przed oczami Włodzimierza Rzeczyckiego, obdarzonego niebywałym głosem (basso profondo). Ten wielki patriota i wspaniały artysta – Bernard Ładysz porównywał go do Szalapina – nie mógł realizować swojego wielkiego talentu, bo 12 najpiękniejszych lat życia spędził w ubeckich więzieniach, siedział m.in. w jednej celi z gen. Augustem Emilem Fieldorfem „Nilem". Opowiadam o nim w moim filmie dokumentalnym pt. „On wierzył w Polskę".

Jan Leonowicz „Burta", walczący na Zamojszczyźnie i Lubelszczyźnie, niezwykle odważny żołnierz, piękna postać. UB, NKWD, ścigali go, jak mówili świadkowie, z ziemi i powietrza, był nieuchwytny, uwalniał aresztowanych, mordowanych akowców, rolników, ratował zagrabiany im dobytek. Zadenuncjowała go za pieniądze nauczycielka miejscowej szkoły, na ogół zdrajcy pochodzili z bliskiego otoczenia. Eugeniusz Skraban uciekł do oddziału „Burty" z partyzantki sowieckiej. Gdy go pytałam, dlaczego to zrobił, odpowiadał krótko: „Bo tam u Sowietów to tylko kłamstwo i morderstwo". Więziony na Zamku Lubelskim, przeszedł straszne śledztwo, nigdy nie zapomnę jego umordowanej twarzy, skulony, biedny, powiedział o tym tylko: „Przesłuchiwał mnie Umer, straszny oprawca, bili każdego dnia, byłem w agonii, przeżyłem, żeby zaświadczyć" (film „Burta i inni").

Wszystkich ich miałam przed oczami 1 marca w Pałacu Prezydenckim, żołnierzy „Ognia", „Żelaznego", Łupaszki", „Zapory", uwiecznionych w kolejnym filmie pt. „O nas się jeszcze Polska upomni". Mogłam ich odszukać dzięki Lidze Republikańskiej, która pierwsza przywracała pamięć o tych zakazanych powojennych bohaterach. Młodzi wówczas – Mariusz Kamiński (obecny szef CBA), Leszek Żebrowski, historyk, autor odważnych książek na te tematy, Grzegorz Wąsowski, prawnik, upamiętniający Żołnierzy Wyklętych, wówczas czołowi działacze Ligi Republikańskiej, niezwykle odważni. Pamiętam współpracę z nimi, to było dla mnie coś niezwykłego. A potem film „Czy warto było tak żyć" o Konspiracyjnym Wojsku Polskim i ich twórcy kapitanie Stanisławie Sojczyńskim „Warszycu", niesamowicie odważnym, walecznym Polaku. Żołnierze pod jego dowództwem odbijali więźniów, rozbrajali posterunki MO i UB, dokonywali cudów, ale zawsze znalazł się jakiś płatny zdrajca... kończyli życie w męczarniach z rąk ubeckich służalców Moskwy.

Pamiętam też każdą z kobiet z filmu „Dziewczyny z tamtych lat", więzione w Fordonie i nie tylko. Wspominały (te młode piękne wówczas dziewczyny), jak były traktowane za całą okupacyjną działalność podziemną, poniżane, bite, mordowane, ale dzielne do końca.

Oni wszyscy byli tam wtedy ze mną, 1 marca, w swoje święto, nareszcie właściwie docenieni i uhonorowani. To dla nich to moje odznaczenie od prezydenta.

Dla mojego ojca, żołnierza września '39, dla mojej babci i dziadka, Marii i Stanisława Czerniakowskich, bohaterów pomagających, ukrywających żołnierzy z lasu, przechowujących Żydów, a po wojnie jako rodzina ziemiańska prześladowanych, niszczonych. Żyli w biedzie i strachu – im wszystkim dziękuję. To oni nauczyli mnie, co znaczy naprawdę kochać Polskę, czego nigdy nie wypada zrobić, jak należy żyć. Bo dla nich – Bóg, Honor, Ojczyzna – to nie były tylko hasła wypisane na kombatanckich sztandarach, jak niektórzy mówią, to było całe ich życie.

Dziękuję, panie prezydencie. Byłam bardzo zdziwiona, bo ja taki outsider, idę swoją własną drogą, niezależną, a tu nagle dostaję informację o odznaczeniu Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Dziękuję bardzo w imieniu wszystkich bohaterów moich filmów dokumentalnych, żyjących w kraju i na obczyźnie, wielkich Polaków. Cały czas ich odszukuję i opowiadam o nich.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Autopromocja

eprasa.pl 579f46c997

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE / PL

OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**

Zaraza

Lech Makowiecki

„Już w gruzach leżą Maurów posady/Naród ich dźwiga żelaza/Bronią się jeszcze twierdze Grenady /Ale w Grenadzie zaraza...” – pieśń Wajdeloty z „Konrada Wallenroda”. Adam Mickiewicz nie byłby wieszczem, gdyby nie przewidział możliwości użycia broni biologicznej – tego desperackiego oręża słabszego, przegranego przeciwnika.

Filmowy megahit „Wojna światów” (2005 r., z Tomem Cruise'em w roli głównej) ukazywał starcie kosmitów i ludzi – bez najmniejszych szans na zwycięstwo tych ostatnich. W sukurs mieszkańcom Ziemi przyszedł niewidoczny gołym okiem wirus – nieszkodliwy dla tubylców, zabójczy dla obcych. W tzw. realu populacja Azteków została wytrzebiona głównie przez epidemie (z 25 mln do 1 mln!), hiszpańscy konkwistadorzy przywlekli bowiem ze sobą choroby, na które sami byli uodpornieni. Znaczny udział w depopulacji Ameryki Północnej (większy niż legendarni zdobywcy Dzikiego Zachodu) miały zarazki ospy, podrzucone Indianom w zakażonych kocach. W zdrowym ciele zdrowy duch! Wojnę peloponeską wygrali dbający o tężyznę fizyczną Spartanie, oblężonych ateńskich „imprezujących intelektualistów” zdziesiątkowała wspomniana już ospa. Kolejne jej mutacje spowodowały m.in. upadek Cesarstwa Rzymskiego i wyludnienie średniowiecznej Europy. Naturalna selekcja pozostawiała przy życiu tych najsilniejszych.

Zaobserwowano, że przechorowanie daje nam odporność na zakażenia, stąd wziął się zapewne pomysł na szczepionki, uaktywniające nasz system immunologiczny. Równolegle pojawiła się pokusa na wykorzystanie pandemii jako taniej, skutecznej, niedestrukcyjnej dla infrastruktury i... anonimowej broni biologicznej.

Doświadczenie mówi nam, że każda następna wojna światowa będzie nieporównywalnie bardziej krwawa niż jej poprzedniczka. Zmodyfikowane laboratoryjnie wirusy czy bakterie są w stanie zabić miliardy istnień. Mam nadzieję, że w BBN już to wiedzą. Że powołano odpowiedni sztab ekspertów i podjęto działania zabezpieczające.

Sojusz i furia

Piotr Cywiński

Niby krótka informacja potwierdzająca, co wszyscy już wiedzą, a jaki rozbryzg! Dziennik „Corriere della Sera”, a za nim inne media doniosły o planowanym spotkaniu polityków Włoch, Węgier i Polski – Salviniego, byłego wicepremiera, cieszącego się dziś w Italii wielką popularnością lidera najwyżej notowanej w sondażach Ligi, oraz premierów Viktora Orbána i Mateusza Morawieckiego. Temat też dobrze znany, bo panowie od dawna dyskutują o możliwościach konsolidacji demokratycznej prawicy w europarlamencie, jako przeciwwagi dla dominujących grup zlewaciałych ludowców i socjalistów.

Do tej nowej grupy mają wejść partie kultywujące chrześcijańskie wartości i tradycje Europy, broniące państwowej niezależności i narodowej tożsamości, sprzeciwiające się sobiepaństwu Brukseli, narzucanej polityce imigracyjnej, budowie społeczeństwa multikulti, opowiadające się za ochroną rodziny, bez popadania – jak to określił Orbán – w „obłęd LGBTQ”, przeciwne adopcji dzieci przez homoseksualistów, a także liberalizacji aborcji i eutanazji.

Nawiasem mówiąc, o zespoleniu sił Salvini dyskutował m.in. z szefem polskiego rządu i zarządem PiS już w 2019 r., w tym celu specjalnie przyjechał do Warszawy, a rozmów z Orbánem na ten temat nie sposób zliczyć. W optymistycznym wariancie nowa grupa może skupiać konserwatywnych reprezentantów z ponad 20 państw wspólnoty i stanowić drugą siłę w europarlamencie.

Nic więc dziwnego, że krótka informacja o naradzie inicjatorów tej grupy wywołała taką lawinę internetowych komentarzy. Oto ich wyciąg, pisownia zgodna z oryginałem: „Plankton faszystowki stroszy piórka, taki krzyk rozpaczy przegranych”, „tego morawieckiego lepiej zalatwic i nie dopuscic zeby on dalej cos tam robil”, „A gdzie reszta Wyszechradu?, gdzie marionetkowe państwa Litwa, Łotwa i Estonia?”, „Orban to nasz śmiertelny wróg jak Anglia Francja USA – Morawiecki czas ucieka piekło czeka”, „psy Putina, do budy!”, „Oby Europa wycięła te wrzody”, „przynoszą nam wstyd ciemniaki”, „Banda byłych członków PZPR, SBków, współpracowników SB pod nazwą PiS”, „Katole-naziole”, „Mafijnaa frakcję chcą sprowadzić, że Costra czy Al Capone zazdroszczą wprost z grrobów”, „morawiecki to typowy pisowski debil i kłamca. ***** kaczyńskiego”, „Krętacz, kłamca i mitoman sterowany przez starego karła – pierdołę. Nowy Pakt Trzech – błaznów”, „Zaściankowe Zjeby”, „yebane nazistowskie świnie” itd., itp. wpisy zorientowanych inaczej.

Ale był też taki: „Widze tu wpisy troli z soku buraka”. Z buraka czy nie, w każdym razie sok z głupoty...

eprasa.pl 579f46c997

Michał Korsun prezentuje: Sędzia Małgorzata Krupska-Świstak przyjazna pijanym kierowcom

Fot. w tle Shutterstock

Wycinki z przeszłości

Egzaminy wszelkiego rodzaju za pasem, sięgamy zatem do humoru z zeszytów szkolnych. Tym razem za „Przekrojem" z wiosny 1960 r.

Rośliny poruszają się. Np. jak wieje wiatr.

Żaby zaliczamy do stawonogów, bo żyją w stawach i mają nogi.

Mieszko I przyjął chrzest, bo się zakochał w Dąbrówce i chciał się z nią pobrać.

Ludzie przedhistoryczni, zakładając rodzinę, używali bardzo prymitywnych narzędzi.

Orzeszkowa, mając lat szesnaście, wyszła za mąż i dopiero wówczas poznała ciężką pracę chłopa.

Wyspiański napisał w „Weselu" prawdziwy dramat Rydla, który się ożenił.

Mickiewicz pisał tak czule, że czytały go tylko służące, a szlachta za drzwiami tylko się podśmiewała.

„Pan Tadeusz" to jest narodowa epopeja pisana wierszem, ale zrozumiała.

Na łące leżała Telimena, a środkiem niej płynął strumyk.

Płatnerz – wyraz ten jest archaizmem, dziś powiemy „płatnik", czyli ten, co wypłaca pieniądze.

Na zdjęciu znaczek pocztowy z tej samej epoki.

(mk)

Wielkanoc w górach (Drogą przez Emaus...)

Leszek Długosz

Topnieją śniegi jak gorzkie żale
I żale w końcu wniwecz spłyną
Wszystkie
Nie, nie ma przerwy
Jakiejś przestrzeni neutralnej
– M i ę d z y –
Pomiędzy życiem i śmiercią
Nie ma nawet blizny
– Natychmiast
Momentalnie
Jeszcze spod zwałów śniegu
Przez marcowe okopy
Armia krokusów
Jak ongiś w Alpach wojska Hannibala
Na tegoroczny podbój rusza
Na strzępach zimy
Kolejna wiosna
Rozdział następny pisze
Bóg Zmartwychwstały na Polanie
– Bladziuchny, słaby jeszcze
ale uśmiechnięty
(Po takich przejściach, po takiej męce)
Znów w hostii kruchej wzniesiony wysoko
Błogosławi
– Czasom i chwili
I ludziom przynależnym chwili
I obłokom
Kiedyś
W dniu takim samym lecz bez nas
– W innym rozdziale
Pod chorągiewką wielkanocnej daty
Znów tędy będą szli turyści
Tym samym po nas szlakiem
– Na Ornak
Drogą przez Emaus.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 579f46c997

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Sok w... głowie

W sprawie SokuzBuraka dużo do powiedzenia mieliby psychologowie społeczni, psychiatrzy, kognitywiści, tudzież psychoterapeuci. Jakoś nie słychać jednak, by kwapili się do zademonstrowania na tym przykładzie swoich narzędzi analitycznych z taką gorliwością, jak zdarza im się to w przypadku „diagnozowania" sposobów myślenia przedstawicieli dobrej zmiany. Najwyraźniej ich talenty, wykształcenie i doświadczenie zawodowe nie mają przede wszystkim służyć dobru wspólnemu, lecz raczej interesom plemiennym, osobistym, tudzież czysto politycznym. Niby nic nowego pod słońcem...

Wyobraźmy sobie jednak, że badacz ludzkiej psychiki pochyli się nad fenomenem takiego politycznie zorganizowanego narzędzia destrukcji, jakim jest ów SzB oraz pokrewne hejterskie przedsięwzięcia. Taki psycholog mógłby przypomnieć, że istnieje np. mechanizm pracy umysłu polegający na tym, że osoba rozgniewana traci zdolność przyswajania informacji, wskazujących na to, że może się mylić. Co więcej, w ogóle nie czuje potrzeby weryfikowania swoich przekonań. Na tym właśnie polega pewna efektywność trollowania, opartego na najbardziej chamskim obrażaniu innych ludzi – rozgniewać, żeby zaślepić.

Czytając w internecie iście nieludzkie rynsztoki wyzwisk, czasem nie można się nadziwić, co się z nami ludźmi, nami Polakami porobiło. Tymczasem w tym szaleństwie jest – racjonalna i w pewnych granicach skuteczna – metoda. Obrażanie drugich ma sprzyjać mobilizacji swoich. Na tym m.in. polega syndrom antypisu, który niedawno tu analizowaliśmy.

Jednak eksperci(?), którzy buraczanym propagandzistom zalecili trollowanie przez chamstwo i kłamstwa, przegapili ważny mechanizm dzisiejszej komunikacji społecznej. By paskudny mem uderzył w przeciwnika, najpierw musi być tysiąckrotnie powielony przez swoich. I to oni właśnie okazali się pierwszą ofiarą mentalności fejkowej i agresywnej. Uwierzyli w ten szajs, który pomagali rozpuszczać po internecie. Ufając, że odsłaniają prawdziwe, złe oblicze pisiorów, na co dzień posługując się chamstwem, przerysowaniem, agresją, sami wepchnęli się w pułapkę. Stali się frustratami, którzy na swoich Facebookach powielają agresywne sfabrykowane informacje, zarazem – w zaślepieniu – utwierdzają się w przekonaniu, że w ten sposób walczą ze złem. Dają obywatelski odpór.

By paskudny mem uderzył w przeciwnika, najpierw musi być tysiąckrotnie powielony przez swoich

Ofiarą soczystych fake newsów wcale nie są jedynie przeciwnicy polityczni jaśnie oświeconych liberałów. Ofiarą padają także środowiska sympatyzujące z dzisiejszą opozycją, w tym przedstawiciele świata uniwersyteckiego. Zerknęliśmy na facebookowe posty poważnych skądinąd profesorów (z jednym z nich nawet ongiś się przyjaźniliśmy) i linki do SzB znaleźliśmy.

Gdy na Twitterze niedawno współautor tego felietonu wpisał: „Osoby karmiące się SokiemzBuraka nie są w stanie zrozumieć zła, jakie ich umysłom wyrządził SokzBuraka", w reakcji pojawiły się głosy, że to samo dotyczy TVP. Choć TVP ma na swoim koncie grzechy i grzeszki, to jednak takiej symetrii nie ma. Powodów jest sporo, skupmy się na trzech.

Po pierwsze, każdego dnia w telewizji publicznej licznie występują przedstawiciele opozycji. Chociaż na antenie nie zawsze mają łatwo (np. gdy prowadzący utrudnia), to jednak nie tylko każdego dnia krytykują rządzących, ale także telewizję, w której goszczą.

Po drugie, jak wykazały badania, oglądający TVP sympatycy Prawa i Sprawiedliwości o wiele częściej zaglądają do popierającej opozycję TVN 24 niż odwrotnie. To chroni ich przed jednostronnością myślenia.

Po trzecie, jak pokazała ogłoszona w 2019 r. analiza Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW, zwolennicy opozycji nienawidzą zwolenników PiS bardziej niż odwrotnie.

Naszym zdaniem to efekt samookreślenia się przez Platformę, już w roku 2016, mianem opozycji totalnej oraz buraczanej komunikacji, która za tym poszła. Paradoksalnie postawienie na totalność i hejt nie doprowadziło – jak oczekiwano – do „przyduszenia" PiS; przyniosło degradację nie tylko wyobraźni ludu platformerskiego, ale i jego politycznych przywódców.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 579f46c997

ZAMÓW E-PRENUMERATĘ SIECI I OSZCZĘDŹ -50%

Dostęp na
1 miesiąc
~~19,99 zł~~
9,99 zł
Oszczędzasz 10 zł
KUP TERAZ

Najpopularniejszy
Dostęp na
12 miesięcy
~~159,99 zł~~
89,99 zł
Oszczędzasz aż 70 zł
KUP TERAZ

Dostęp na
6 miesięcy
89,99 zł
KUP TERAZ

BĄDŹ BLISKO POLSKI
gdziekolwiek jesteś

ZAMÓW JUŻ DZIŚ: www.SiecPrzyjaciol.pl

eprasa.pl 579f46c997

Już w poniedziałek 12 kwietnia

w tygodniku SIECI druga część nowego cyklu dodatków

Giganci nauki PL

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych

TADEUSZ APOLINARY WENDA – w latach 1920–1937 kierował budową portu w Gdyni, więc jest prawdziwym ojcem miasta (mimo że często przypisuje się to Eugeniuszowi Kwiatkowskiemu)

EUGENIUSZ KWIATKOWSKI - w latach 1926–1930 jako minister przemysłu i handlu mocno wspierał budowę portu w Gdyni, co zapamiętano jako jego wielką zasługę, w latach 1935–1937 był wicepremierem ds. gospodarczych i wtedy zainicjował stworzenie Centralnego Okręgu Przemysłowego

Więcej o bohaterach tego dodatku i następnych dodatków z serii „Giganci nauki PL" w serwisie YouTube na kanale: IPNtv

rys. Krzysztof Wyrzykowski

PARTNERZY MERYTORYCZNI

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PAN HN

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl 579f46c997